TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI:
Co łączyło Wojtyłę i Tymieniecką
Kapitalizm chce mieć dzieci
Holland i uśmiech Kafki
Złodzieje kochają Luwr

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
Kraków 5 – 11 listopada 2025 nr 45 (3983)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)
TygodnikPowszechny.pl



11.11

Marcin Napiórkowski i Ziemowit Szczerek: niepodległość i Polska znów coś znaczą

STRONY 12–16, 24–27

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

ALUPROF selt by ALUPROF

PANUJ NAD KLIMATEM
PANUJ NAD KOSZTAMI

OKNA | DRZWI | FASADY | OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE | PERGOLE



www.aluprof.com/dom

KS. ADAM

Boniecki: *Sens 11 listopada*

Listopadowe święto narodowe było przed wojną obchodzone zaledwie dwa razy. Wcześniej, od roku 1918, było ono świętem wojskowym i dopiero w 1937 r. zostało ogłoszone państwowym. Zaledwie dwa razy, a potem przyszła okupacja, kiedy mogło ono być co najwyżej sygnalizowane przez dzielnych Polaków, z wielkim ryzykiem. Potem, za czasów komunistycznych, musieliśmy je zastąpić świętem 22 lipca. Lipcowe znikło i wróciło listopadowe dopiero w 1989 r. I dobrze, że wróciło, bo powrót niepodległości po 123 latach nieistnienia Polski był wydarzeniem większym niż inne, obchodzone i czczone w naszej historii.

Przecież nie było wiadomo mnóstwa rzeczy. W sumie nie było wiadomo, jaki będzie ostateczny wynik podejmowanych działań. Wizja Józefa Piłsudskiego mogła rozminąć się z rzeczywistością. Tylko patrząc *ex post*, możemy być spokojni. Ci, którzy wtedy walczyli, tego luksusu nie mieli, płacili śmiertelnym ryzykiem lub po prostu życiem, nie wiedząc, czy cel zostanie osiągnięty. Dwadzieścia międzywojennych lat uleczyło wiele ran, lecz nie wszystkie i nie całkowicie.

Tamte dramatyczne lata odzyskiwania niepodległości są mojemu pokoleniu bliskie. Mój ojciec brał w tym udział. Ale już dziś dla wielu ludzi własny, niepodległy kraj to granica ich świadomości. Dlatego uważam święto 11 listopada za ważne. Nie bardzo jesteśmy świadomi, że Polski mogło wcale nie być, że gdyby nie okoliczności i dzielni ludzie, którzy ryzykowali życie, rozpłynęlibyśmy się w masie narodów po tym, jak mocarstwa rozbiorowe się Polską podzieliły. Właśnie 11 listopada każe się zastanowić, co z tym odzyskanym, opłaconym życiem wspaniałych ludzi, krajem robimy, dlaczego wciąż się z taką nienawiścią kłócimy, dlaczego, zamiast szukać zgody, eksponujemy dzielące nas różnice, a te różnice zmieniamy w nienawiść właśnie. Dlaczego jesteśmy coraz bardziej podzieleni.



GRAŻYNA MAKARA

Oczywiście, wtedy i teraz są ludzie myślący wbrew – jak się wydaje – oczywistym faktom, są też ludzie o innym niż nasz systemie wartości, i dlatego konieczny jest sposób podejmowania decyzji, który chroni od błędu w ich podejmowaniu, i który ma na względzie dobro wspólne. Choć błędy zawsze mogą się trafiać, choć niekiedy pomysły wariackie mogą okazać się najtrafniejsze, system podejmowania decyzji jest ważny i należy go konsekwentnie chronić. Decyzje, które doprowadziły do odzyskania przez Polskę niepodległości, w oczach wielu były szalone, nierealne. Czasem nasze własne myślenie trzeba całkowicie zrewidować, czasem trzeba pozwolić działać innym, nie forsować *per fas et nefas* własnego pomysłu, zaryzykować, przyjąć, że ktoś inny ma rację. Jest to ważne zwłaszcza w przypadku ludzi o wybujałych ambicjach osobistych.

Nasza historia jest inna niż historia państw o długiej pokojowej historii. Nasza historia sprzyjała dzielnym, bezinteresownym ludziom, ale sprzyjała też egoistom myślącym przede wszystkim o własnych ambicjach lub własnym interesie. To w nas siedzi i nami powoduje.

Obchodzenie historycznych rocznic może być bez znaczenia lub mieć niewielką wagę. Listopadowa rocznica jest jedyna w swoim rodzaju, bo przypomina, że żadne dobro nie jest absolutne, że każde można stracić i nikt się nami wtedy, gdy je stracimy, nie przejmie. Może więc warto bardziej to dobro cenić i jakoś mądrzej je pielęgnować. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

TP JUŻ W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA”:

STEFAN SĘKOWSKI:
Czy Polska jest już na tyle atrakcyjna, że powinniśmy zacząć myśleć o sprowadzaniu imigrantów z biedniejszych krajów Unii?

KAROLINA KRAWCZYK:
Możemy nauczyć się żyć ze wstydem. Tylko pozwólmy sobie na odrobinę dobroci, współczucia i zrozumienia dla siebie.

IGNACY DUDKIEWICZ:
Reportaż o młodych mężczyznach, którzy chcieliby zostać księżmi, ale się boją. Co to mówi o zmianach w postrzeganiu Kościoła i kapłaństwa?

Pytanie na **DZIEŃ NIEPODLEGŁOŚCI**: czym jest **PATRIOTYZM** w czasach, gdy dyskonty zarabiają na plecakach „ewakuacyjnych”? Jeszcze niedawno, u szczytu politycznej polaryzacji, łatwo było sobie zdefiniować to pojęcie – sobie, czy raczej wobec „tych drugich”, w ramach bańkowych stereotypów. I tak patriotyzmem było uczęszczanie na rodzinne marsze niepodległości i t-shirt z żołnierzami wyklętymi lub sprzątanie po psiecku i płacenie podatku VAT wliczonego w latte na sojowym. Nie miało to nic wspólnego z tym, jacy jesteśmy naprawdę, ale sprawnie konsolidowało fronty w polityce i mediach społecznościowych.

O tym, jak odzyskać ducha wspólnoty, gdy znów patriotyzm wiąże się z wiszącym nad Polską widmem zagrożenia, pisze w tym numerze **MARCIN NAPIÓRKOWSKI**. Czasy wymagają odporności, zauważa autor „1989. Pozytywnego mitu”, a więc i **ODPORNEGO PATRIOTYZMU**. Na początek więc „musimy wspierać bogactwo form przeżywania polskiej tożsamości, które by jednocześnie nie prowadziło do (...) rozpadu na niepowiązane regiony czy wręcz atomizacji i zanegowania sensu przestrzeni wspólnej w ogóle”.

Gdzie takich przestrzeni szukać? Tropy znajdą Państwo w tekście **ZIEMOWITA SZCZERKA**, który w prywatnej ankiecie zapytał, co się w Polsce udało, z czego jesteśmy **ZADOWOLENI**. Oprócz zachwytów infrastrukturalnych (drogi, kolej, cyfryzacja), cieszącą nas nowością okazuje się też np. uprzejmość w urzędach, czyli tam, gdzie na co dzień spotykamy się z państwem, które wciąż krytykujemy, ale konstruktywniej. Na temat zaś owego minimum wspólnej przestrzeni przy różnych sposobach przeżywania polskiej tożsamości czyni Szczerek i tę trzeźwą uwagę, że „o ile biznes z patriotyczną odzieżą faktycznie miał po części nacjonalistyczne pochodzenie, to przecież ludzie, którzy te koszulki z Polską Walczącą czy Żołnierzami Wyklętymi nosili, niekoniecznie byli nacjonalistami”. I, dodajmy, też płacili/płacą podatki.

Na okładce autorstwa **KUBY SOWIŃSKIEGO** siedzimy na narodowej kasztance tacy, jacy jesteśmy, razem z naszą przeszłością, taką jaka była. Nie jest to już pstry koń, ale wciąż potrafi ponieść. Jeśli więc w tej wspólnej przestrzeni nie będziemy się rozmaitym manipulatorom dawali robić w konia, to już będzie dużo. ©℗

MICHAŁ KUŹMIŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY



Pełniący obowiązki redaktora naczelnego, twórca podkastu „TP”, współautor powieści kryminalnych i wywiadu-rzeki „Ścigając zło”, autor popularnonaukowej książki „Nauka w kuchni”. W „Tygodniku” od 2001 r.



24 Ileż można narzekać
ZIEMOWIT SZCZEREK
Co w Polsce działa, co się udało? Zrobiłem w mediach społecznościowych prywatną ankietę. Okazało się, że tradycyjne polskie narzekanie wymaga dziś coraz więcej wysiłku.



40 Filozofia miłości
MONIKA BIAŁKOWSKA
Tymieniecka kochała Wojtyłę i pisała mu o tym wprost. Jaka miłość ich łączyła? Romantyczna, choć wysublimowana? Mistyczna, skoro oboje zanurzali ją w Bogu? Spróbujmy odpowiedzieć.



64 Twarze Kafki
ŁUKASZ MUSIAŁ
Poznajmy niezmordowanego wioślarza i piechura. Flirciarza, ale też czułego kochanka. W wolnych chwilach motocyklistę, ogrodnika i stolarza. Agnieszka Holland zrywa z ograniem do znudzenia repertuarem kafkowskich stereotypów.

GRAŻYNA MAKARA // ZUZANNA KOWALSKA DLA „TP” // CHRIS NIEDENTHAL / FORUM // MARLENE FILM PRODUCTION / KINO ŚWIAT

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 W trójkącie mocarstw
MARIA WIŚNIEWSKA

7–11 Komentarze i wydarzenia

38 Tygodnik czytelników

■ ■ KRAJ

18 Czy ktoś zobaczy złoty wiek
MARCIN KĘDZIERSKI: *Kapitalizm zabija dzietność, ale bez dzieci sam będzie martwy, gdyż nie zdoła przetrwać bez pracowników i bez konsumentów*

21 Bieda ma twarz kobiety
ANNA KORYTOWSKA: *Ubóstwo w Polsce dotyka milionów kobiet*

24 Ileż można narzekać
ZIEMOWIT SZCZEREK

■ ■ ŚWIAT

30 Trzy lata Meloni
PAWEŁ BRAVO: *Giorgia Meloni okazała się sprawną szefową rządu. Dlaczego więc Włochy wciąż tkwią w zastoju?*

33 Wojna cieni nad Bałtykiem
FILIP RUDNIK: *Rosja nasiliła szpiegowską i dywersyjną aktywność w Estonii. Jednak trafiła kosa na kamień*

36 Śmierć przy szachownicy
ŁUKASZ KWIATEK; *Geniusz szachowy Daniel Naroditsky ofiarą cyberprzemocy*

■ ■ WIARA

40 Filozofia miłości
MONIKA BIAŁKOWSKA

44 Beczka na barkach
ROZMOWA Z O. PAWŁEM SZYLAKIEM OP, DUSZPASTERZEM AKADEMICKIM: *Do Beczki trafiają ludzie, którzy niekoniecznie są blisko Boga i Kościoła, ale tu odnajdują ich na nowo*

47 Deklaracja to za mało
S. KATARZYNA KOWALSKA NDS: *Czy Kościół w Polsce przyjmie deklarację „Nostra aetate”?*

TEMAT TYGODNIKA



APAYO / PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP”

12
Patrioci idą w las
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Jakiej pamięci potrzebujemy, by ożywić ducha wspólnoty w dobie polaryzacji i mediów społecznościowych? Oto lekcje znad Grobu Nieznanego Żołnierza.

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
28 OLGA DRENDA
60 ELIZA KĄCKA
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
KUBA SOWIŃSKI DLA „TP”
/ FOT. GRZEGORZ MOMOT / PAP

49 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

52 Gwiazda Polski
MIKOŁAJ GÓRSKI: *W II RP polscy naukowcy wyprzedzali światową czołówkę w badaniach promieniowania kosmicznego i lotach balonowych*

■ ■ NAUKA

56 Wszystko dla dzieci
ROZMOWA Z SUSANĄ CARMONĄ, NEUROBIOLOŻKĄ: *Ciąża to najbardziej znacząca przemiana, przez jaką przejść może człowiek. Także na poziomie mózgu*

■ ■ KULTURA

64 Twarze Kafki
ŁUKASZ MUSIAŁ

68 Cały czas noc
ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM GILEM, ARTYSTĄ WIZUALNYM: *Słowo tajsa oznacza jednocześnie „wczoraj” i „jutro”. Dla mnie to zarówno metafora samego czasu, jak i powracających prześladowań Romów*

71 W szafranowej okładce
MAGDA HEYDEL *o odkrytym właśnie „Żywocie Violety” Virginii Woolf*

73 Polecamy

74 To o nas
ANITA PIOTROWSKA *o „Domu dobrym” Wojciecha Smarzowskiego*

75 Podróż
LEKTOR *o książce rozmów z Hanną Krall „Pożegnanie z Narwią”*

■ ■ ZMYSŁY

78 Siedem minut w Luwrze
DOROTA MALINA: *Czy skradzione kosztowności odnajdą się niczym szmaragd w komiksie o Tintinie?*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK” JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ AKTUALNĄ OFERTĘ NA STRONIE 29

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ TYGODNIA

W TRÓJKĄCIE MOCARSTW

Na ich uścisk dłoni czekano w napięciu. Spotkanie Trumpa i Xi Jinpinga, przywódców dwóch największych potęg świata, miało miejsce po kilku miesiącach ostrego konfliktu handlowego. Konfliktu, który miał być pokazem siły gospodarki USA, ale do którego, jak się okazało, Trump nie był przygotowany. Nie dostrzegł, jak bardzo od jego pierwszej kadencji zmienił się układ sił między Stanami a Chinami – na korzyść tych drugich.

Spotkanie, którego wynik Trump nader entuzjastycznie ocenił jako „12 na 10", nie oznacza zakopania topora wojennego. Daje jednak chwilowe wytchnienie rywalom – i w efekcie także reszcie świata, która ostatnio znalazła się w gospodarczym potrzasku.

Tuż przed spotkaniem z Xi Jinpingiem prezydent USA ogłosił, że po ponad 30 latach Stany wznowią testy broni jądrowej. Czy krok ten wynika z poczucia bezsilności wobec Chin, które są górą w sporze handlowym? Czy też to pokaz siły wobec Putina?

MARIA WIŚNIEWSKA

POWYŻEJ:
Donald Trump i prezydent Chin Xi Jinping na lotnisku w Busan w Korei Południowej. 30 października 2025 r.

TROCHĘ USTĘPSTW | Xi i Trump uzgodnili, że w kwietniu 2026 r. spotkają się znów, tym razem w Pekinie. Na razie zaś każda ze stron uzyskała pewne ustępstwa. Pekin otrzymał obniżkę amerykańskich taryf celnych o 10 punktów procentowych – w zamian za obietnicę powstrzymania przepływu do USA półproduktów do produkcji fentanylu. Z kolei Trump wywalczył wznowienie przez Chiny zakupów amerykańskiej soi, której produkcja jest kluczowym źródłem utrzymania dla jego bazy wyborczej na Środkowym Zachodzie USA.

Największą ulgę na światowych rynkach przyniosła jednak decyzja Pekinu o czasowym zawieszeniu części restrykcji eksportowych na metale ziem rzadkich (to w zamian za analogiczną koncesję USA w obszarze technologii). Niedawne zaostrzenie

tych ograniczeń wzbudziło obawy na całym świecie o dostęp do surowców, gdyż Chiny kontrolują 70 proc. ich wydobycia i 90 proc. obróbki. Tymczasem metale te używane są do produkcji wszelkich nowoczesnych urządzeń: od smartfonów, przez auta elektryczne, po drony bojowe.

SZERSZY PROBLEM | Choć decyzja Pekinu o zawieszeniu restrykcji uspokoiła sytuację, groźba ich ponownego wprowadzenia jest realna. – Restrykcje okazały się potężnym środkiem nacisku i są swoistą polisą ubezpieczeniową dla Chin – ocenia w rozmowie z „Tygodnikiem" Feng Chucheng z firmy doradczej Hutong Research. – Jeśli USA zdecydują się w przyszłości na eskalację, ten zakaz może wrócić w każdej chwili.

Z kolei zdaniem Rusha Doshiego, analityka ds. Chin i byłego doradcy Bidena, kwestia uzależnienia świata od chińskich metali ziem rzadkich to fragment szerszego problemu. Przez dekady globalizacji Zachód w dużej mierze „odpuścił" przemysł, ustępując niemal całkowicie miejsca Chinom, nie tylko w sektorze surowcowym, ale też bateryjnym i farmaceutycznym. „Dziś wiemy, i oni też to wiedzą, że mają narzędzia, by wymuszać na nas ustępstwa. To daje im władzę" – uważa Doshi.

TESTY NA NOWO | Być może właśnie z poczucia bezsilności Trump zdecydował się na zaskakujący pokaz – i to tuż przed spotkaniem z Xi Jinpingiem: ogłosił, że po ponad 30 latach USA wznowią testy broni jądrowej. Uzasadnił to tym, że takie testy prowadzą inne mocarstwa nuklearne i wymienił Rosję oraz Chiny. Pytanie o konkrety – np. czy USA będą znów prowadzić testowe eksplozje (ostatnia miała miejsce w 1991 r.) – pozostaje otwarte, jak często u Trumpa.

Otwarta jest też kwestia, kto jest adresatem tej deklaracji: Pekin czy Moskwa. Nie mogąc pokonać Ukrainy ani zniechęcić Zachodu do pomagania Ukraińcom, Putin ostatnio znów sięgał po atomowy „straszak", chwaląc się rzekomo nowymi rodzajami superbroni. W takiej perspektywie zapowiedź Trumpa można by uznać za odpowiedź Putinowi: że USA są gotowe stawić czoło jego groźbom, a doktryna odstraszania (amerykański „parasol" nad Europą) pozostaje aktualna. ©

MARK SCHIEFELBEIN / AP / EAST NEWS



Niepokojący sygnał z Pentagonu

PIOTR OLEKSY

Stany Zjednoczone zapowiedziały, że zmniejszą liczebność swoich wojsk w Rumunii. Ukraiński dziennik „Kyiv Post" informuje zaś, że to początek szerszego procesu – następne w kolejce mają być Bułgaria, Słowacja i Węgry. Decyzje Waszyngtonu nie wpływają – jak na razie – w sposób istotny na zdolności obronne NATO jako całości. Są jednak niepokojącym sygnałem dla całej wschodniej flanki Sojuszu.

Bukareszt robi dobrą minę do tej gry i zapewnia, że zmniejszenie liczby żołnierzy USA, stacjonujących w Rumunii, to krok spodziewany i konsultowany. Redukcja dotyczy bazy lotniczej Mihai Kogălniceanu u wybrzeży Morza Czarnego. To multimodalny węzeł transportowy, będący kluczowym miejscem dla rotacyjnej obecności wojsk amerykańskich (i natowskich w ogóle) w regionie czarnomorskim. Po rosyjskiej inwazji na Ukrainę w bazie tej stacjonowało 1700 żołnierzy USA. Teraz pozostanie ich około tysiąca. Przy czym warto zaznaczyć, że przed lutym 2022 r. było ich około 1300.

Nie jest to więc decyzja radykalna, zwłaszcza że w Rumunii wojska NATO, których głównym komponentem są Amerykanie, stacjonują jeszcze w dwóch miejscach: w Câmpia Turzii i Deveselu. W tej drugiej bazie ulokowane są trzy baterie pocisków SM-3, będące kluczowym element natowskiego (a obsługiwanego przez armię USA) systemu obrony przeciwrakietowej.

Waszyngton od dawna zapowiadał redukcję swej obecności wojskowej w Europie i większe skupienie się na regionie Indo-Pacyfiku. Niedawne decyzje mają wymiar bardziej polityczno-symboliczny niż militarny. Daniel Fried, były ambasador USA w Polsce, komentując tę decyzję stwierdził, że została podjęta w dużej mierze na potrzeby wewnętrznej debaty w amerykańskiej administracji nad celowością i tempem tej redukcji.

Pentagon pokazuje w ten sposób, że zapowiadane zmiany stają się faktem, zadowalając ich zwolenników i ograniczając nadzieje przeciwników. Jest to też kolejny komunikat dla partnerów europejskich, że bezpieczeństwo kontynentu będzie w większym stopniu spoczywać na ich barkach. Fried podkreślił jednak, że w jego opinii jest to zły – bo ośmielający – sygnał dla Putina.

W Polsce natychmiast popłynęły sygnały uspokajające – Amerykanie nie zamierzają ograniczać swej obecności ani u nas, ani w państwach bałtyckich. Nie powinno nas to jednak nadmiernie uspokajać lub demotywować do własnych wysiłków na rzecz bezpieczeństwa i współpracy z partnerami z regionu.

Wschodnia flanka NATO to system naczyń połączonych. Decyzje USA wskazują zaś na rysującą się dysproporcję w podejściu do jej północnej i południowej części. Fakt jest taki, że NATO jest znacznie silniejsze nad Bałtykiem niż nad Morzem Czarnym. Tymczasem również ten drugi akwen ma fundamentalne znaczenie – zarówno dla Ukrainy, jak i Rosji. Pierwszej umożliwia przetrwanie, drugiej daje perspektywę ekspansji.

Jeśli południowa część wschodniej flanki stanie się jej miękkim podbrzuszem, odbije się to także na naszym bezpieczeństwie i zdolnościach nacisku na Rosję. ©



JEAN-CHRISTIAN TIRAT / AFP / EAST NEWS

Manewry wojsk NATO „Jesień 2025" w Rumunii, 29 października 2025 r.



Żurek włączył tryb turbo

MAREK KĘSKRAWIEC

Rozliczanie afer PiS szło tak opornie, że ostatnio częściej słyszeliśmy o stawianiu zarzutów Donaldowi Tuskowi – w ten sposób politycy obozu dawnej władzy reagowali na dołujące sondaże partii premiera oraz fatalne oceny rządu. Dziś wygląda na to, że minister sprawiedliwości Waldemar Żurek, pełniący funkcję prokuratora generalnego, znalazł sposób na przypomnienie powodów, dla których Zjednoczona Prawica straciła władzę.

Zbigniew Ziobro, miesiącami ośmieszający komisję ds. Pegasusa, otrzymał właśnie zarzut działania na szkodę państwa oraz kierowania grupą przestępczą, która okradła Fundusz Sprawiedliwości na 150 mln zł. Od podpisywania dokumentów byli co prawda ludzie pokroju Mateckiego, Romanowskiego i Wosia, ale prokuratura twierdzi, że nietrudno będzie jej w sądzie złożyć puzzle, które ukażą twarz byłego ministra – wcześniej zaś Ziobro ma trafić do aresztu. To istotne, bo w innej sprawie, ustawianych konkursów w Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, śledczy dotychczas zatrzymywali się na jej prezesie. Ostatnio pojawiają się jednak informacje, iż sięgną też po byłego premiera Mateusza Morawieckiego. I dlatego nie wzywają go na świadka, bo chcą go wezwać już jako podejrzanego.

Minister Żurek bierze na cel dwie potężne, choć skonfliktowane postaci poprzedniej władzy. Zapewne wie, że do wyborów nie uda mu się doprowadzić do ich prawomocnego skazania, a jeśli nawet, to osądzonych szybko ułaskawi prezydent Karol Nawrocki. Ale zanim to nastąpi, będzie można przypominać opinii publicznej, jak ta poprzednia, patriotyczna władza traktowała nasz wspólny majątek. Czy to się okaże skuteczne? Mam obawę, że tyle samo zależy od siły dowodów w sądzie, co od umiejętności narzucenia narracji w mediach, także tych społecznościowych, gdzie politycy prawicy mają ogromną przewagę. W skrócie: czy zwycięży opowieść o łapaniu złodziei, czy ta o dyktatorze Tusku, którego po zwycięstwie w 2027 r. należy wsadzić za kraty.

Przyspieszenie Żurka sprawiło, że KO wyraźnie lideruje w sondażach, ale przy okazji „zjada" sojuszników i może się okazać, że za dwa lata będzie w sytuacji PiS z 2023 r. – wygra, ale nie stworzy rządu. PiS-owi zaś, by wrócić do władzy, może być potrzebna nie tylko Konfederacja, ale też Braun. Nawet nie chcę sobie wyobrażać, jakie koncesje na jego rzecz poczyni Kaczyński, by móc dopaść Tuska. ©℗



JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

Zbigniew Ziobro w drodze na komisję śledczą ds. Pegasusa. Warszawa, 29 września 2025 r.



Sukces i pytania

ANNA GOC

Sukces rządu ogłosił rzecznik prasowy Adam Szłapka. „Długo wyczekiwana i pierwsza tak kompleksowa regulacja, która wprowadza stały, stabilny i dostępny w całym kraju system wsparcia dla osób z niepełnosprawnościami" – mówił o przyjętym 28 października przez Radę Ministrów projekcie ustawy o asystencji osobistej osób z niepełnosprawnościami (AOON). Dodał, że wsparcie ma być dostosowane do potrzeb konkretnej osoby i może obejmować od 20 do 240 godzin miesięcznie, a z asystencji będą mogli skorzystać dorośli między 18. a 65. rokiem życia. Wynagrodzenie asystentów ma wynieść od 49 do 55 zł brutto za godzinę.

W konsultacjach społecznych ustawy wzięło udział ponad tysiąc osób, a projekt miał wsparcie także wielu osób z niepełnosprawnościami (OzN) i środowiska. Dlaczego więc sukcesu nie świętują wszyscy? Wyjaśnia to Małgorzata Szumowska, prezeska Fundacji Centrum Edukacji Niewidzialna, działaczka na rzecz praw OzN, która brała udział w prekonsultacjach i konsultacjach społecznych projektu ustawy, a także organizowała protesty przed Sejmem, by ustawa weszła w życie. Zanim wyliczy zastrzeżenia, podkreśla, że niewątpliwym sukcesem jest to, że dzisiaj w społeczeństwie jest szeroka świadomość, po co OzN asystent.

Jeszcze dwa lata temu słyszała, że asystentów potrzebują, ale zarządy.

– Dotąd działała tylko asystencja projektowa, realizowana przez samorządy i organizacje pozarządowe. Z danych, które mamy, wynika, że około 10 proc. budżetu tych projektów przeznaczano na rekrutację, administrację czy koordynację. W ustawowej AOON na te zadania przeznaczono zaledwie 3 proc. z budżetu i już teraz możemy mieć pewność, że pojawi się problem z ich realizacją – mówi. – Po drugie, kandydat na asystenta będzie musiał przedstawić udokumentowaną minimum półroczną pracę lub wolontariat na rzecz OzN. Choć w tej grupie są osoby, którym – mimo świadczenia tych usług – nie uda się wykazać stażu pracy, a więc wypadną z puli asystentów w danym powiecie.

I zadaje jeszcze jedno pytanie: – Jeśli projekt ustawy zostanie podpisany przez prezydenta, wejdzie w życie w 2027 roku. Jednak obejmie tylko grupę 18-65. A co z młodzieżą od 13. do 18. roku życia? Oni nie mogą czekać do 2030 r. na przyznanie asystenta, bo – podobnie jak ich rówieśnicy – chcą być samodzielni i niezależni. ©℗

NA PUNKTY

POCIĄG
Wirtualna Polska opisała okoliczności sprzedaży działki położonej w pobliżu planowanego lotniska CPK wiceprezesowi firmy Dawtona; stało się to tuż przed oddaniem władzy przez PiS. Wartość terenu, przez który ma przebiegać linia kolei dużej prędkości, wielokrotnie wzrosła, a nowe władze przez blisko dwa lata nie podjęły działań mających na celu jej odzyskanie.

SAMOCHÓD
Gdybyśmy już mieli tę kolej, poseł Łukasz Mejza z PiS nie przekroczyłby prędkości na drodze S3. Spieszący się ponoć na samolot parlamentarzysta jechał 200 km/h i nie przyjął mandatu, zasłaniając się immunitetem; dopiero teraz Komendant Główny Policji wnosi o jego ukaranie.

WÓZEK Z ZAKUPAMI
À propos mandatu: nie milkną echa wyniesienia przez Konrada Berkowicza części zakupów ze sklepu Ikea (zatrzymany przez ochronę, musiał dopłacić 390 zł, m.in. za patelnię). Koledzy z Konfederacji tłumaczą posła roztrzepaniem, roztargnieniem i udziałem w przyjęciu weselnym dzień wcześniej. ©℗



Biskupi ułatwiają sobie pracę

ARTUR SPORNIAK

Od pierwszej Niedzieli Adwentu Konferencja Episkopatu Polski będzie funkcjonować według nowych zasad przewidzianych w znowelizowanym statucie. Dokument został przyjęty przez biskupów diecezjalnych zebranych w sierpniu na Jasnej Górze. We wrześniu zatwierdził go Watykan, a 28 października promulgował przewodniczący KEP abp Tadeusz Wojda (na zdjęciu).



Zmiany przede wszystkim mają charakter praktyczny – ułatwiają pracę biskupom. Wszystkie gremia Episkopatu prócz zebrania plenarnego – a więc Rada Stała, Prezydium, kontrolująca sprawy ekonomiczne Komisja Rewizyjna, rady, komisje i zespoły – mogą spotykać się online. Zebranie plenarne zdalnie może odbyć się tylko w sytuacji nadzwyczajnej, ale nie może wtedy podejmować żadnych ważnych decyzji (np. nominować na stanowiska funkcyjne). To spadek po pandemii – w statucie pojawił się zresztą osobny punkt regulujący pracę KEP w takich sytuacjach. Pilne decyzje może wtedy podejmować przewodniczący po konsultacji z Prezydium.

Drugą upraszczającą funkcjonowanie Konferencji zmianą jest likwidacja ograniczenia trwania do dwóch pięcioletnich kadencji mniej ważnych stanowisk w Episkopacie, jak krajowi duszpasterze czy przewodniczący rad, komisji i zespołów.

Ze statutu zniknęła „rada biskupów diecezjalnych", co nie znaczy, że teraz przewodniczący KEP nie będzie zwoływać samych biskupów diecezjalnych, jak to się działo dotychczas zwykle dwa razy do roku. Statut zwiększył natomiast liczbę – z 2 do 3 – zebrań plenarnych KEP, w których mogą uczestniczyć z prawem głosu także biskupi pomocniczy, a ich jest większość.

Najbardziej rzucająca się w oczy zmiana dotyczy dopuszczenia księży do pełnienia funkcji sekretarza generalnego KEP – do tej pory kandydaci wybierani byli tylko spośród biskupów pomocniczych (tradycja jeszcze z czasów PRL). Nie jest to jednak wyraz otwarcia się na nowe czasy polskiego Episkopatu. W Niemczech czy w Holandii funkcję tę od lat z powodzeniem pełnią kobiety. ©℗

JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



Rząd się sam wykształci

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

To wynik najwyższy w III RP, a w każdym razie od roku szkolnego 1998/99, odkąd CBOS bada wydatki edukacyjne Polaków. Już ośmioro na dziesięcioro rodziców wydaje pieniądze na zajęcia dodatkowe swoich dzieci, w tym co trzeci na korepetycje i kursy przygotowawcze, a 57 proc. na zajęcia sportowe. Przeciętna miesięczna kwota przeznaczana przez rodzinę z dzieckiem bądź dziećmi na różne płatne zajęcia (popularne są też te językowe i artystyczne) jest również rekordowa, i wynosi w obecnym roku szkolnym 944 zł.

Te dane można opowiedzieć na dwa skrajnie różne sposoby. Pierwszy: bogacimy się, rosną nasze aspiracje, a wraz z nimi wydatki. Drugi: 20 proc. polskich rodziców nie stać na żadne płatne zajęcia, a ponad 60 proc. nie funduje potomstwu korepetycji. Czy na pewno „nie stać" to najlepsze określenie? Raport CBOS pokazuje, że o posyłaniu bądź nieposyłaniu dziecka na zajęcia decyduje w głównej mierze wykształcenie rodziców (dodatkowe fundusze na rozwój znajduje w swoim budżecie 88 proc. opiekunów z wykształceniem wyższym, przy 66 proc. tych z zasadniczym zawodowym lub niższym). W ten sposób rosnące edukacyjne wydatki pogłębiają szkolne nierówności, a publiczny system oświaty nie potrafi na nie zareagować.

Że politycy zaczęli dostrzegać ten temat, wiemy nie od dziś. Walkę ze szkolnymi nierównościami miał wypisaną na sztandarach PiS, choć działał wbrew własnym hasłom (likwidacja gimnazjów i rezygnacja z posyłania 6-letnich dzieci do szkół mogła, wedle ekspertów, tylko wzmóc rozwarstwienie). Koalicja Obywatelska ograniczyła zadawanie prac domowych, i dumnie „zazieleniła" – a więc uznała za spełniony – posiadający ten postulat punkt 45. „stu konkretów". Tyle że ten sam punkt zawiera zdanie: „Zapewnimy pomoc w szkole zamiast korepetycji w domu", a także deklaracje wprowadzenia szerokiej oferty bezpłatnych zajęć pozalekcyjnych.

Tam, gdzie państwo polskie nie realizuje usług publicznych, państwo Kowalscy zamawiają sobie usługi prywatne. Szkoda, że te drugie są tylko dla wybranych. ©℗

POŻEGNANIE

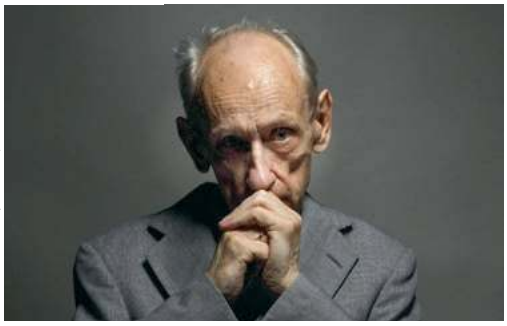

PIOTR BERNAŚ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jan Turnau, 2005 r.

Nie wywracał wiary

Trudno uwierzyć, że go nie ma. Tyle lat towarzyszył nam swoimi myślami, zaskakująco wnikliwymi. Znaliśmy się bardzo długo. Był ode mnie rok starszy. Pamiętam, jak spotkaliśmy się pierwszy raz, w Lublinie. To mógł być rok 1961. Po święceniach kapłańskich mój zakon skierował mnie na dalsze studia. On chyba znalazł się tam przypadkowo. Był absolwentem polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim, zaczął studiować teologię w Warszawie, na Akademii Teologii Katolickiej, i tłumaczył mi, jak beznadziejnym pomysłem jest studiowanie na KUL. Ale krytykując, nie starał się wzbudzać odrazy. Odradzał, ale nie obrzydzał. Tylko stawiał znaki zapytania.

Potem przez wiele lat był redaktorem „Więzi". Organizatorem ekumenicznych spotkań. Choć szerzej dał się poznać, gdy powstała „Gazeta Wyborcza" i zaczął w niej prowadzić rubrykę „Arka Noego" – maleńki, ale bardzo ważny element gazety. Krótkie refleksje nad życiem, ludźmi, światem. One pokazywały, jak bardzo był nieschematyczny, choć jednocześnie bardzo ortodoksyjny. Nie wywracał wiary. Tylko sięgał poza schematy. Wydaje się, że pisanie krótkich tekstów jest proste, a to jest bardzo trudne. Jan był w tym niedościgły.

Ale też nigdy nie cytował tych tekstów, nie rozmawiał o nich. Teksty to jedno, przyjacielskie rozmowy – to drugie. Był ciepłym, serdecznym człowiekiem, z którym rozmawiało się bez trudu. To były zawsze proste, spontaniczne rozmowy. Zawsze pełen życia, energii, wyobraźni, pogody.

Gdy się go spotykało, choćby minęło wiele czasu, miało się wrażenie, jakbyśmy ostatni raz widzieli się wczoraj. Przyjaciel, którego nie trzeba widywać ciągle, by mieć poczucie bliskości.

Był bardzo pokorny, nawet pewnie o tym nie wiedząc. Nigdy nie nadymał się swoją mądrością i wnikliwością. A przecież był bardzo mądry. Tej mądrości Jana będzie nam bardzo brakowało.

Jan Turnau zmarł 31 października. Miał 92 lata.

©℗ KS. ADAM BONIECKI, NOT. EA

Jak psujemy dzieciom przyjemność z lektury

SZKOŁA ▪ Fundacja Ergo Hestia sprawdziła, co i dlaczego czytają nasze dzieci. Z wyników przeprowadzonego wśród nastolatek i nastolatków badania płyną dobre i złe wiadomości. Dobre są takie, że ponad połowie ankietowanych czytanie sprawia przyjemność, większą niż oglądanie filmów czy seriali. Złe – przyjemność tę psuje im prędzej czy później szkoła.

W pierwszej połowie roku 70 proc. dzieci w wieku od 10. do 15. roku życia przeczytało co najmniej 3 książki. Większość dobiera sobie lektury samodzielnie, choć młodsze nastolatki nie mają nic przeciwko wspólnemu czytaniu, nawet na głos, z rodzicami. Dzieci – co widać od kilku lat na wszystkich targach książki – wolą też tradycyjne egzemplarze papierowe (92 proc. ankietowanych) niż lekturę na ekranie czytnika czy telefonu. Po e-booki i audiobooki sięgają dopiero ci starsi czytelnicy, kończący szkołę podstawową.

Jakie książki uważają za ciekawe i sprawiające frajdę? Głównie przygodowe, a więc takie, które mają wciągającą, pełną zwrotów akcję (54 proc. odpowiedzi), pozwalają oderwać się od codzienności (38 proc.), są zabawne (32 proc.), a do tego mają bohatera lub bohaterkę, którzy w jakimś stopniu są do nich podobni (30 proc.). Wedle informacji zaprezentowanych na październikowych Targach Książki we Frankfurcie, najpopularniejszą na świecie książką dla dzieci i młodzieży był w tym roku „Wschód słońca w dniu dożynek" Suzanne Collins, powieść należąca do popularnej serii „Igrzyska śmierci".

Ponieważ młodzi czytelnicy chętniej wybierają fantastykę i komiksy, tylko 11 proc. ankietowanych (co dziesiąte dziecko) pozytywnie ocenia szkolne lektury. W ankietach widać zresztą, że im starsze dzieci, tym częściej rezygnują w ogóle ze sprawdzania, czy książki polecone przez nauczycieli polskiego będą interesujące. Z zasady lektur nie czytają. Czy to dziwne? Pozycje obowiązkowe dla klasy 7 i 8 to „Zemsta" Fredry (jej autor uważał, że dramat nie jest do czytania, a do oglądania w teatrze), „Kamienie na szaniec" Kamińskiego i II część „Dziadów" Mickiewicza. Jak odnajduje się w nich czternastoletnia dziewczynka?

W odpowiedzi na rosnący odsetek dzieci, które nie widzą niczego przyjemnego w lekturze, fundatorzy najbardziej prestiżowej nagrody literackiej w Wielkiej Brytanii postanowili przygotować jej edycję dziecięcą. Nagrodę Bookera będą odtąd otrzymywać także twórcy literatury dla dzieci w wieku od 8 do 12 lat. Obok trójki dorosłych jurorów w kapitule znajdzie się troje sędziów dziecięcych – i to oni ostatecznie wyłonią zwycięzcę. Nabór rozpocznie się wiosną, a finalistów poznamy dokładnie za rok. Autorka bądź autor, poza nagrodą pieniężną w wysokości 50 tys. funtów, może liczyć na bonus – zwycięski tytuł zostanie rozesłany na koszt Bookera do dzieci w całym kraju.

Zanim i my pójdziemy tą drogą, warto się zastanowić, czy nie ma łatwiejszego sposobu odwracania trendów, które sami uparcie kreujemy.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA



RAFAŁ GUZ / PAP

Targi Książki w Warszawie, 15 maja 2025 r.

Zmiana języka życia. Przełom w genetyce

SZTUCZNE ŻYCIE ▪ W najnowszym numerze czasopisma „Science” opisano szczep bakterii, któremu biotechnolodzy podłubali nieco w kodzie genetycznym. To jedno z tych doniesień naukowych, które przypominają nam, jak daleko już zaszliśmy jako gatunek.

Zacznijmy od wyjaśnienia: nie mówimy „tylko” o edycji genomu, lecz o edycji kodu genetycznego. O tej pierwszej można pomyśleć jako o korekcie literówek w książce kucharskiej opisującej składniki naszego ciała. Do tego już troszkę przywykliśmy – terapie genetyczne człowieka są nie tylko wykonalne, ale i bywają rzeczywistością. Ot, w maju ubiegłego roku zespół medyczny z Uniwersytetu Harvarda doniósł o częściowym przywróceniu wzroku u 11 osób, u których ślepota wynikała z przyczyn genetycznych – właśnie poprzez korektę „literówek” w odpowiednich genach.

Tu mówimy o czymś głębszym – edycji kodu genetycznego, czyli języka, w którym

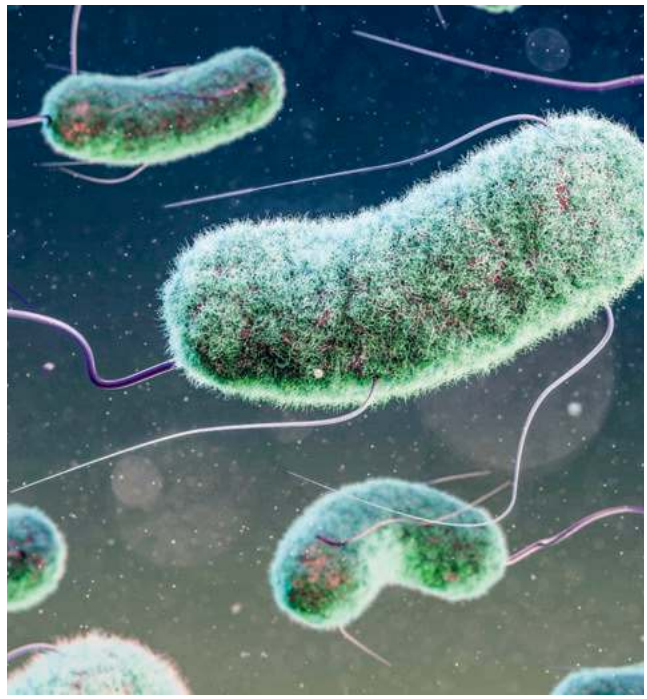

THOM LEACH / SCIENCE PHOTO LIBRARY RF / EAST NEWS

Ze względu na swoją prostotę bakteria pałeczki okrężnicy (E. coli; przedstawiona na ilustracji powyżej) wykorzystywana jest jako organizm modelowy w biologii.

zapisane są informacje genetyczne. Istotna informacja – kod genetyczny jest „nadmiarowy”: dokładnie tę samą informację można zapisać na kilka sposobów (pomyślmy choćby o różnych formach tej samej litery: a, ɑ, A). Wesley E. Robertson z Uniwersytetu w Cambridge i współpracownicy usunęli tego typu nadmiarowe warianty, zwalniając aż 7 elementarnych „sylab” języka genetycznego zwanych kodonami. Wymagało to, bagatela, syntezy od zera całego genomu i pracowitego wklejenia go do żywej bakterii *E. coli*. Powstały w ten sposób szczep, zwany Syn57, ma więc genom nie tylko syntetyczny, ale w dodatku zapisany trochę nietypowym językiem.

Po co to wszystko? Choć bakteria Syn57 żyje zupełnie normalnie, nawet nie zauważając, że jej własna genetyczna książka kucharska jest tak szczególna, wirus skonfrontowany z nią po prostu głupieje, nie umiejąc rozpoznać fragmentów genomu, do których zwykle by się przyczepił. Badacze chwalą się więc, że ich komórki są wyjątkowo odporne na infekcje. Można jednak myśleć jeszcze odważniej. Skoro mamy teraz 7 wolnych „sylab”, możemy spróbować wyrazić nimi zupełnie nowe treści i zmusić bakterie do produkowania substancji niespotykanych w świecie ożywionym. Przy pomocy „zwykłych” kodonów można opisać tylko przepisy na białka – teraz genetycy kombinują już, jak przy pomocy 7 nieużywanych chwilowo sylab zawrzeć w genomie opis, przykładowo, zupełnie nowych polimerów. Bakterie już od dawna są naszymi małymi fabryczkami; teraz otwiera się możliwość przeprojektowania niemal od podstaw tego, w jaki sposób funkcjonują. W końcu – cóż może pójść nie tak? ©℗ **ŁUKASZ LAMŻA**

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

PATRIOCI IDĄ W LAS

Jakiej pamięci potrzebujemy, by ożywić ducha wspólnoty w dobie polaryzacji i mediów społecznościowych? Oto lekcje znad Grobu Nieznanego Żołnierza.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI



APAYO / PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Odporne społeczeństwo jest jak stary las.

Nie ma w nim dwóch takich samych drzew, nie ma dwóch identycznych polan. Nie ma też dwóch takich samych dni, bo las, żeby trwać, nieustannie się zmienia. Dlatego każde odwiedziny w nim są tak fascynującym i kojącym doświadczeniem.

Wiele lat temu las, w którym mieszkaliśmy, został wycięty i spalony. Potem nie mógł się odrodzić, bo zamieniono go w przemysłową plantację drewna. Dębowe mateczniki w głębi i brzozowe zagajniki na obrzeżach zastąpiono równymi rzędami szybkorosnących sosen.

Ale ziemia pamięta. Spytajcie rolnika, spytajcie przyrodniczki – powiedzą to samo. Gdzieś głęboko wciąż trwają żywe ślady lasu. Układ wzgórz, rytm deszczów, kierunki wiatru będą sprzyjać jego odtwarzaniu.

To nie będzie ten sam las, ale może stać się równie bogaty. Znów różnorodny, inny o każdej porze roku, na nowo scalony niedostępną dla ludzkiego oka podziemną plątaniną korzeni. Znów odporny.

Jeśli tylko pozwolimy mu się odrodzić.

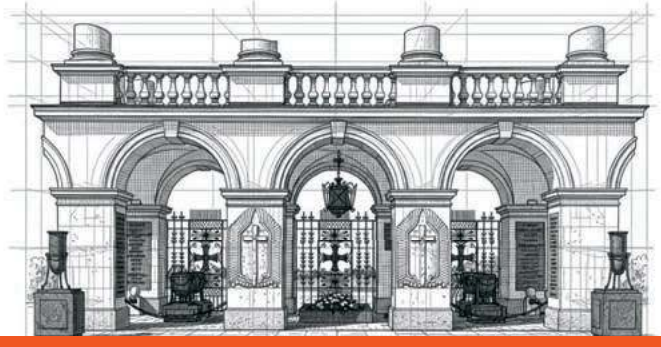

Sto lat temu

Nie robimy tego po raz pierwszy. Po roku 1918 pokolenie pradziadków stanęło przed tym samym dylematem. Jedną z odpowiedzi na potrzebę zakorzenienia społeczeństwa w nowej rzeczywistości stał się Grób Nieznanego Żołnierza. Kilka dni temu świętowaliśmy stulecie jego odsłonięcia, ale nie tylko dlatego warto przyjrzeć się kulisom tej inicjatywy.

Przede wszystkim to nie przypadek, że Grób Nieznanego Żołnierza uroczyście zainaugurowano 2 listopada, w Dzień Zaduszny. Zwolennicy tej inicjatywy rozumieli, że nowe opowieści, mity i rytuały nie mogą być tworzone w pustce. Przyjmą się tylko, jeśli będą wyrastać z tego, co ludzie już znają, czują i robią.

Nie ma wspólnoty pamięci bez kalendarza świąt. Ale – jak zauważa Paul Connerton, jeden z twórców współczesnych badań nad pamięcią – nowe i stare kalendarze muszą współistnieć. Dlatego właśnie Boże Narodzenie celebrujemy w okolicach zimowego przesilenia, w miejscu rzymskiego święta Sol Invictus. W ten sposób chrześcijaństwa nie trzeba było uczyć „od nowa" – Chrystus stawał się po prostu nowym wcieleniem dawnych bóstw solarnych, zakorzeniał w tym, co znane.

Podobnie Nieznany Żołnierz, choć symbolizował nową, obcą wielu ówczesnym Polakom wspólnotę, od razu przejmował na siebie wiele cech bliskich zmarłych, wspominanych w Dzień Zaduszny, a wcześniej, oczywiście, podczas dziadów.

W obcym kraju

Jak bardzo obca była ta nowa wspólnota i jak bardzo wymagała opowiedzenia, pokazują broszury edukacyjne z początku dwudziestolecia międzywojennego. Mieszkańcom wsi czy miasteczek, jeszcze niedawno poddanym tego czy innego imperium, przez pokolenia rusyfikowanym czy germanizowanym, naprawdę niełatwo było zrozumieć, czemu w ogóle powinna obchodzić ich niepodległość. ↦

↦ Autorzy poradnika „Dlaczego świętujemy dziesiątą rocznicę odzyskania Niepodległości?", wydanego – jak łatwo policzyć – w roku 1928, przyjmują prostą strategię odwołania do tego, co bliskie – zakorzenienia niepodległości w pamięci lokalnej i rodzinnej. „Naród polski jest jak jedna wielka rodzina, a przecież i w rodzinie również, kiedy nadchodzi dzień rocznicy ślubu czy wesela, dzień imienin czy innego radosnego zdarzenia – zbierają się wszyscy, do rodziny należący, składają sobie życzenia, weselą się i uroczystość obchodzą cały dzień. W takich chwilach wszyscy członkowie rodziny, zebrani razem, czują się związani miłością i szacunkiem wzajemnym, czują się jakby jednem nierozerwalnym ciałem".

W innej książeczce, „Dzień 11 listopada. Święto państwowe Rzeczpospolitej Polskiej", zastosowana zostaje odwrotna strategia – usytuowanie polskości na mapie świata. „Czym 14 lipca dla Francuzów, tym ów dzień dla nas Polaków". Później dostajemy jeszcze odniesienie do symboliki religijnej: „[to] dzień Zmartwychwstania Polski, (...) w którym sprawiedliwość dziejowa wydała wyrok na zaborców, naprawiając zbrodnię popełnioną sto kilkanaście lat temu".

Ale potem znów wykorzystany zostaje obraz bardzo swojski: „Jak skrzętny gospodarz – po znojnym dniu pracy zasiadłszy przy stole w gronie rodziny, z radością ogląda owoce swych dziennych trudów i zastanawia się nad tym, co pozostaje mu w dniu jutrzejszym do wykonania, tak też i my zdajemy w dniu 11 listopada rachunek z dotychczasowych czynów, a równocześnie układamy plany dalszych prac".

To nie przypadek, że sięgnięto wtedy do opowieści o tym, że Polska jest jak dom albo jak miejscowość, o którą się wspólnie troszczymy. Pamięć rodzinna, lokalna, regionalna, trwająca mimo wysiłków zaborców, jest zawsze najbardziej żywotna. Najtrudniej ją wykorzenić.

Gloria victis

Grób Nieznanego Żołnierza wyrósł z potrzeby opowiedzenia, że Polska nie jest gdzieś daleko, tylko tutaj. To obywatele zaproponowali tę ideę politykom, a nie odwrotnie.

Po ponad stuleciu powstań narodowych mogiły partyzantów były czymś powszechnym. Na wpół zapomniane lub – przeciwnie – w sekrecie czczone przez lokalną społeczność – stanowiły rozpoznawalny znak pamięci, o czym przypominała choćby Eliza Orzeszkowa w „Gloria victis".

Już jesienią 1920 r. u wylotu alei 3 Maja mieszkańcy Warszawy ustawili sarkofag zwieńczony orłem z tablicą „Poległym za Ojczyznę". Był to rodzaj improwizowanego pomnika, odpowiadającego na potrzebę chwili. Doczekał się on zresztą pewnej akceptacji ze strony władz – w Święto Zmarłych odbyły się pod nim uroczystości z udziałem premiera Wincentego Witosa i marszałka Sejmu Wojciecha Trąmpczyńskiego.

Niedługo po tym, jak tymczasowy monument zniknął z pejzażu stolicy, zawiązał się w Warszawie Komitet Uczczenia Poległych 1914-1920, wysuwający inicjatywę zbudowania w katedrze św. Jana kapliczki dla uczczenia „600 000 bohaterskich Synów Polski poległych za Ojczyznę". Równolegle uformowało się stowarzyszenie Polski Żałobny Krzyż, promujące ideę zbudowania obok parku Skaryszewskiego pomnika ku czci Polskiego Nieznanego Żołnierza.

Pomysł „budowy Grobu Nieznanego Żołnierza na wzór francuski" narodził się najprawdopodobniej w redakcji „Polski Zbrojnej" ok. 1922 r. Wobec kłopotów z finansowaniem, na początku 1925 r. płk Gustaw Paszkiewicz występuje na łamach pisma z apelem do kawalerów orderu Virtuti Militari o przeznaczenie na ten cel 1 proc. pensji orderowej.

Pomnik na placu

Wreszcie pomysł doczekał się oficjalnego uznania. 30 listopada 1923 r. powołany zostaje tymczasowy komitet organizacyjny, z generałami Hallerem i Rozwadowskim na czele. 24 stycznia 1925 r. minister Władysław Sikorski przedstawia Radzie Ministrów wniosek w sprawie ustanowienia i budowy pomnika na cześć Bojowników o Niepodległość Ojczyzny w arkadach Pałacu Saskiego. Szczegóły wyboru pola bitwy i ekshumacji szczątków reguluje Rozkaz Dzienny nr 33 Ministerstwa Spraw Wojskowych z 31 marca 1925 r. Spośród piętnastu wstępnie wytypowanych pól bitwy wylosowano to, z którego ostatecznie ekshumowany zostanie „nieznany żołnierz". Ich wybór uzasadniono następująco: „[konieczna jest] wielka liczba poległych na ograniczonej przestrzeni. Tylko w tych bowiem warunkach może być mowa o żołnierzu nieznanym, jako jednym z wielu poległych w walce ciężkiej i krwawej".

2 listopada 1925 r. odbywa się w obecności najważniejszych dostojników i tłumów zgromadzonych na placu Saskim uroczysty pogrzeb zwłok Nieznanego Żołnierza Polskiego, poległego w walce za wolność Ojczyzny. Ceremonia ma formę pogrzebu z konduktem i przywodzi na myśl wszystkie oddolne manifestacje żałobne, jakie ożywiały ducha narodowego przez ponad stulecie zaborów, np. pogrzeb Staszica i wdowy po generale Sowińskim. Trumna złożona na łożu działowym spuszczona zostaje do grobu przy akompaniamencie salw honorowych. Nieznany Żołnierz dołącza do panteonu królów i bohaterów, dla których dotychczas ceremoniał ten był zarezerwowany.

Grób Nieznanego Żołnierza szybko staje się jednym z najważniejszych miejsc pamięci na mapie Polski. Odbywają się tu uroczystości związane z odzyskaniem niepodległości i pamięcią wojny polsko-bolszewickiej. Ale o jego sile przesądza fakt, że w jakiś sposób wyrasta z tysięcy podobnych mogił rozsypanych po całej Polsce i poza jej granicami. Czerpie z nich siłę, symbolizuje je, nadaje im wspólny sens.

Szeregowi na cokole

Ale była to inicjatywa oddolna i zakorzeniona w jeszcze jednym sensie. Wspomniany już wcześniej Paul Connerton w książce „The Spirit of Mourning: History, Memory and the Body" przekonuje, że współczesna kultura pamięci „wyrosła z ducha żałoby", a największym wyzwaniem dla społeczeństw XX wieku było to, by technologia tej żałoby nadążyła za technologią zabijania.

Gdybyśmy sięgnęli do najdawniejszych przedstawień konfliktów zbrojnych, odnaleźlibyśmy powtarzający się przez tysiąclecia obraz zwycięskiego wodza czy bohatera. Ogromny faraon góruje nad szeregami rzuconych na kolana wrogów. Rzymski cesarz wznosi kolumnę, na której jako triumfator wiedzie zastępy pokonanych. Karol Wielki pędzi konno z wznie-

sioną bronią, a jego wrogowie kładą się niczym smagana wiatrem trzcina. Dziedzictwem tej tradycji są wszystkie niemal pomniki, aż do XIX wieku upamiętniające bitwy i wojny. Pokonani, ofiary cywilne, ale też zwykli żołnierze w ogóle nie mieli swoich miejsc pamięci.

I wojna światowa przyniosła horror, z którym nie potrafiliśmy sobie poradzić, wykorzystując dawne formy pamiętania, dopasowane do starego typu bitew: „detalicznego", a nie „hurtowego" odbierania życia. Nowe formy mobilizacji i nowe technologie zabijania zrodziły potrzebę nowych form upamiętnienia.

Nieznanym żołnierzom

Jedną z nich były popularne do dziś tablice z imionami i nazwiskami albo z samą tylko liczbą poległych. Stanowiły wymowny znak nowej, przerażającej epoki, zarazem jednak rozpraszały żałobę pomiędzy wiele różnych osób. Nie miały tej mitologizującej mocy, jaką dysponowały dawne figury osobowych bohaterów.

Stąd stopniowo wyłoniła się potrzeba skoncentrowania energii żałoby na jednym żołnierzu, który – wciąż anonimowy – będzie w sposób wyobrażony reprezentował zbiorowość. Tak narodził się Nieznany Żołnierz, bohater przerażających czasów masowej mobilizacji.

Nasz Grób Nieznanego Żołnierza nie jest, oczywiście, pierwszy. Tym większa jest jednak jego siła, że polskie doświadczenie wpisuje w globalną wspólnotę losu – a przynajmniej we wspólnotę losu Zachodu, bo przecież wiele narodów dopiero znacznie później dostało szansę opowiedzenia o swych bliskich poległych na polach nowoczesnych bitew.

Gdzieś głęboko pod ziemią ciągną się więc korzenie pamięci, które plac Piłsudskiego łączą z jednej strony z Paryżem, Londynem czy cmentarzem w Arlington w Wirginii, z drugiej zaś z Dubienką, Ostrołęką i Siemiatyczami.

Odporny patriotyzm

Jaka lekcja płynie z tych doświadczeń? Jakiej pamięci potrzebujemy, by podtrzymać i ożywić ducha wspólnoty w czasach mediów społecznościowych i wojen hybrydowych?

Od pewnego czasu karierę w kilku na pozór niepowiązanych obszarach debaty publicznej (np. bezpieczeństwo, psychologia, finanse, żywienie) robi angielskie pojęcie *resilience*. Dość trudno przełożyć je na polski, ponieważ oznacza zarówno odporność – która kojarzy się zwykle z jakimś rodzajem twardości czy pancerza – jak i elastyczność, a więc zdolność do adaptacji i odzyskiwania równowagi.

System, który określimy jako *resilient*, jest więc silny raczej siłą trawy niż dębu. Potrafi się podnieść, odbudować, dostosować do nowych warunków. Bo na dłuższą metę najtrwalsza okazuje się zmienność.



Wielość jest lepsza niż jednorodność, a zdolność do adaptacji lepsza niż niezmienność. Po zmianie trzeba rozwijać przestrzeń wspólną – bez niszczenia śladu poprzedników.

Odporna w tym sensie jest zwinna partyzantka, a nie naszpikowany elektroniką opancerzony lotniskowiec za 5 mld dolarów. Odporny jest taki system produkcji i dystrybucji żywności, który opiera się na różnych roślinach i różnych formach przetwórstwa. Ciągnąca się po horyzont monokultura pszenicy nie jest odporna. Choćby dawała najwyższe plony, jej siła jest jednocześnie jej słabością. Wystarczy istotna zmiana jednego parametru klimatycznego albo jeden pasożyt, by pozbawić żywności cały kontynent.

Wzorem odporności pozostaje stary las. Taki, w którym przemieszane są różne gatunki, różne piętra i różne pokolenia roślin.

Co dziś znaczyłby dla nas odporny patriotyzm? Czym byłyby: odporna kultura, odporne społeczeństwo, odporne instytucje?

Wspólna przestrzeń

Wydaje się, że z badań nad odpornością i z historii najbardziej udanych inicjatyw pamięciowych – takich jak Grób Nieznanego Żołnierza – wyciągnąć można kilka wniosków.

Po pierwsze, wielość jest lepsza niż jednorodność, ale zarazem połączenie lepsze niż wyspowość. Musimy wspierać bogactwo form przeżywania polskiej tożsamości, które by jednocześnie nie prowadziło do rozpadu na niepowiązane regiony czy wręcz atomizacji i zanegowania sensu przestrzeni wspólnej w ogóle.

Po drugie, zdolność do adaptacji jest lepsza niż niezmienność, ale warunkiem przetrwania jest ciągłość i unikanie „twardych resetów". Odporny system musi się zmieniać. Warunkiem trwania jest jednak stworzenie instytucjonalnych ram ciągłości, w obrębie których następowałaby płynna transmisja tego, co najważniejsze, między kadencjami, pokoleniami czy wręcz epokami.

I znów – oznacza to, że musi istnieć pewna przestrzeń wspólna, którą po zmianie chcemy nadal rozwijać – być może w nieco inny sposób i w nieco innym kierunku, ale bez negacji i wypalania gorącym żelazem. W dobrym, spokojnym czasie taki konsensus umożliwia zmiany rządów i kadencji bez każdorazowych trzęsień ziemi. W czasie radykalnego kryzysu okazuje się niezbędny dla przetrwania (trudno, zauważmy, korzystać w sytuacji wojny z czegoś, czego się podczas pokoju nie zbudowało).

Las pamięci

Wszystko to łączy się właśnie w pojęciu zakorzenienia. Jest ono nawet lepsze od odporności (czy rezyliencji), bo mówi nie tylko, co chcemy uzyskać, ale też, jak nad tym pracować.

Uczmy więc patriotyzmu tak, jakbyśmy uczyli przyrody. Najlepiej przez wizyty w lesie. Twórzmy przestrzeń do samodzielnego odkrywania historii w całym jej bogactwie. ↦

↦ Zachęcajmy do spacerów, obserwowania, czasem wręcz do zgubienia się wśród postaci, miejsc i wydarzeń.

Musimy odzyskać orientację w przestrzeni. Las pamięci jest zróżnicowany, ale opleciony siecią powiązań. Jego przeciwieństwem byłaby przemysłowa monokultura pamięci, oferująca fałszywą wizję jednorodnej, ogólnopolskiej czy zglobalizowanej tożsamości. Nie ma i nie będzie jednego przepisu na patriotyzm dla całej Polski ani tym bardziej dla całego świata.

Możemy za to odkrywać coś, co nas łączy. Historia regionalna i rodzinna to włókna, które splatają się w historię Polski. Żaden zagajnik ani tym bardziej żadna roślina nie funkcjonuje oddzielnie od całego lasu, choć każda tworzy jego ważny element. Nie da się zrozumieć organizmu bez zrozumienia jego ekosystemu.

Truskawki w listopadzie

Podobnie nie da się zrozumieć ani przeszłości, ani przyszłości Polski, nie uwzględniając zmian o charakterze światowym. I nie da się być dziś polskim patriotą nie szukając – jak czynili to sto lat temu nasi przodkowie – odpowiedzi na globalne wyzwania. Jak możemy, jako wspólnota, odpowiedzieć na pytania przynoszone przez nowe technologie? Jaka jest nasza rola jako części większej całości? W jaki sposób nasza pamięć wchodzi w dialog z tym, co dzieje się w Paryżu, Kijowie, Waszyngtonie, Seulu?

Na analogicznej zasadzie odzyskać musimy nasz czas. Coraz mniej zwolenników ma dziś idea „końca historii" i wizja globalnej kultury roztopionej w wiecznej teraźniejszości. Ma ona swój wymiar polityczny czy metafizyczny – kapitalizm jako ostateczna forma wymiany towarowej, liberalizm jako najlepszy ustrój itp. Ma jednak także bardzo przyziemny aspekt.

Globalny kapitalizm obiecuje nam bowiem truskawki przez cały rok. A jeśli ktoś akurat nie lubi truskawek – szparagi, pomidory, pomarańcze. Mrożone, wytwarzane w szklarniach i podziemnych laboratoriach tuż przy naszych domach, albo – przeciwnie – przywiezione z odległych krain, gdzie akurat trwa lato. Rodzi to ogromne koszty ludzkie i ekologiczne, których coraz bardziej jesteśmy świadomi. Ale ma też bardziej ulotną konsekwencję, którą długo przegapialiśmy, a teraz zaczynamy odkrywać na nowo.

Sezon na Polskę

Kultura prezentyzmu – w kuchni czy gdziekolwiek indziej – prowadzi do utraty sezonowości. Świat traci rytm, w który wsłuchiwaliśmy się od świtu ludzkości. Rytm wytańczony przez naszych najdawniejszych przodków, opisany przez Hezjoda, utrwalony w wiejskich przysłowiach, rytm nadający strukturę naszym świętom i naszej pamięci. To nie przypadek, że na Boże Narodzenie jemy nad Wisłą suszone grzyby, że Wielki Post wypada na przednówku, że Wielkanoc kojarzy się w Polsce z nowalijkami. Nawet halloweenowa dynia, mimo że stanowi u nas gatunek świeży, według niektórych wręcz inwazyjny, jest śladem pewnej sezonowości, choć przedziwnie zglobalizowanej.

To pragnienie regionalności i sezonowości na razie eksploatują (paradoksalnie) globalne korporacje – jak McDonald's oferujący regionalne specjały lub celebrujący doroczny powrót burgera drwala. Twórcy kultury, instytucje i samo państwo też mają tu mnóstwo do odkrycia. Jeśli szukamy patriotyzmu zakorzenionego, odpornego, a zarazem atrakcyjnego, musimy myśleć tak, jak twórcy Grobu Nieznanego Żołnierza dokonujący jego inauguracji w Dzień Zaduszny.

Tędy właśnie wiedzie nasza droga. Przez odkrywanie różnorodności, która składa się na polską tożsamość. Przez uważne obserwowanie zmienności i wsłuchanie w cykl dorocznych świąt. Pozwólmy rosnąć lasowi naszej pamięci. Stwórzmy warunki, by się odrodził i zakorzenił. Za sto lat podziękują nam za to wnuki naszych dzieci.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny (pełniący obowiązki): Michał Kuźmiński
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępczyni redaktora naczelnego: Ewelina Burda
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Dyrektor ds. transformacji: Michał Bagiński
Promocja: Michał Sowiński (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Karolina Biały, Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Justyna Hernas (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski, Piotr Muszyński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

BONUS

TYGODNIK POWSZECHNY

W świecie, w którym sensacja wygrywa z sensem, wyróżniamy tych, którzy robią coś innego – dobrego, dla innych.

BONUS to nowa nagroda „Tygodnika Powszechnego" – stworzona po to, by docenić ludzi i inicjatywy, które wnoszą do debaty publicznej więcej sensu niż sensacji.

Słowo *bonus* po łacinie znaczy „**dobry**". I tak właśnie rozumiemy tę nagrodę – jako wyróżnienie dla tych, którzy w przestrzeni publicznej nie poddają się logice uproszczeń i polaryzacji.

Nagradzamy tych, którzy:

- łączą zamiast dzielić
- rozmawiają zamiast krzyczeć
- tworzą przestrzeń porozumienia tam, gdzie najłatwiej o podziały

Pięć kategorii, pięć przestrzeni wspólnego dobra.

Poznajmy nominowanych!

MEDIA

Nagradzamy dziennikarzy, którzy stawiają na pluralizm, rzetelność i dialog zamiast sensacji i klikbajtu.

Monika Białkowska

Jędrzej Dudkiewicz

Jakub Dymek i Marcin Giełzak „Dwie Lewe Ręce"

Zbigniew Parafianowicz

Justyna Suchecka

Karolina Wigura

Zespół „Historia BEZ KITU"

KULTURA

Wyróżniamy twórców, którzy otwierają przestrzeń dla różnych perspektyw i głosów, żadnego z nich nie uciszając.

Maria Apoleika (Maria Saktura)

Paweł Błach

Wojciech Bonowicz

Hiob Dylan

Iga Dzieciuchowicz

Dorota Ogrodzka

Daniel Rycharski

Justyna Sobczyk

Arjun Talwar

Jurij Zawadski

Maciej Zdanowicz

DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA

Honorujemy inicjatywy, które odbudowują wspólnotę i dają przestrzeń do rozmowy mimo różnic.

Piotr M.A. Cywiński

Anja Franczak

Anna Krawczak

Cecylia Malik

Dariusz Martynowicz

Marcin Piotrowski

Wawrzyniec Smoczyński

Krystyna Święcicka

Adam Wajrak

LIDER/LIDERKA

Nagradzamy przywódców budujących dobro wspólne, inspirujących i pociągających za sobą innych.

Andrzej Andrysiak

Anna Cieplak

Agnieszka Czmyr-Kaczanowska

Basil Kerski

Bartosz Pilitowski

Magdalena Tchórznicka

Marta Titaniec

Mateusz Widłak

Jakub Wygnański

TECHNOLOGIA

Wyróżniamy innowacje, które włączają zamiast wykluczać i ułatwiają dostęp do wiedzy i rzetelnej rozmowy.

Magdalena Bigaj

Tomasz Chołast

Jakub Dębski

Krystian Jażdżewski

Mateusz Kowalczyk i Jakub Fryszczyn

Przemysław Kuśmierek

Joanna Michalska

Rafał Modrzewski

Mati Staniszewski

(nominowani w każdej kategorii zaprezentowani w kolejności alfabetycznej)

19 listopada ogłosimy **3** finalistów w każdej z pięciu kategorii

Gala wręczenia nagród
28 listopada 2025, godz. 19.00
Muzeum Manggha, Kraków

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PARTNER STRATEGICZNY blik

PATRONAT MEDIALNY Trójka POLSKIE RADIO tvn24

Więcej informacji:
bonus.TygodnikPowszechny.pl

KRAJ

CZY KTOŚ ZOBACZY ZŁOTY WIEK

Kapitalizm stawiający na indywidualne potrzeby zabija dzietność. Jednocześnie bez dzieci sam będzie martwy, gdyż nie zdoła przetrwać nie tylko bez pracowników, ale głównie bez konsumentów. Przyszedł czas na wnioski.

MARCIN KĘDZIERSKI



Kryzys. Katastrofa. Zapaść. Tykająca bomba. Tsunami. Armagedon. Powoli zaczyna brakować określeń na spadający współczynnik dzietności, a czas odwiedzania cmentarzy i „zamierania" przyrody mógł tylko pogłębić poczucie beznadziei. Nie ma tygodnia, by w stacjach telewizyjnych nie wypowiadali się liczni specjaliści od demografii, a ilekroć w mediach społecznościowych pojawia się dyskusja dotycząca przyczyn malejącej liczby urodzeń – internet rozpala się do czerwoności. Można odnieść wrażenie, że każdy Polak jest już ekspertem w tej dziedzinie i wie, co tak naprawdę stoi za katastrofą demograficzną.

Ktoś może powiedzieć, że nie powinno się kpić w sytuacji, w której nasz naród (zresztą nie jesteśmy tu szczególnie odosobnieni) powoli zaczyna wymierać. Dane są faktycznie niepokojące. Jeszcze kilka lat temu martwiliśmy się, że notując współczynnik dzietności na poziomie 1,4, daleko nam do tzw. stopy zastąpienia demograficznego, która wynosi 2,1. Obecnie tamten wynik wydaje się szczytem marzeń, bo feralny wskaźnik lada moment zacznie „testować" wartość 1. W sumie w 2025 roku liczba urodzeń najprawdopodobniej spadnie poniżej 240 tysięcy. Dla porównania, jeszcze dekadę temu było to niemal 370 tys., a 30 lat temu, w końcowej fazie ostatniego prawdziwego wyżu demograficznego, 700 tys.



ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

PKB kontra dzieci

Na rynek trafiają kolejne książki, które próbują mierzyć się z tym zagadnieniem, choćby „Demografia jest przyszłością. Czy Polska ma szansę odwrócić negatywne trendy" Mateusza Łakomego czy „Jak uniknąć demograficznej katastrofy" Michała Kota i Bartosza Marczuka. Co ciekawe, ich wydźwięk nie jest aż tak katastroficzny – cała wymieniona trójka wciąż wierzy, że jesteśmy (jeszcze) w stanie uciec spod demograficznego topora. Podobnie sytuacja wygląda w przypadku projektu najnowszej średniookresowej strategii rozwoju kraju do 2035 r. Wzrost liczby urodzeń został w nim wprost uznany za jeden z trzech głównych celów, choć autorzy rządowego dokumentu zdają sobie sprawę, iż równie istotnym zadaniem jest dostosowanie się do spadku liczby ludności.

Wspomniane opracowania próbują definiować źródła spadku dzietności. To logiczne – skoro chcemy mu przeciwdziałać, musimy wiedzieć, co go powoduje. Problem polega na tym, że przyczyn jest bardzo wiele, a w każdym konkretnym przypadku decydującą rolę odgrywa nieco inny zestaw. Zdecydowana większość ma jednak związek z kapitalizmem.

Indywidualizm, osłabienie więzi społecznych, narastająca polaryzacja (a nawet wojna) płci, choroby cywilizacyjne, presja na karierę i rozwój, rosnące ceny mieszkań, wzrost nierówności dochodowych, niskie mediany zarobków, spadek jakości usług publicznych, utowarowienie relacji romantycznych poprzez aplikacje randkowe etc. Nie zawsze da się między tymi zjawiskami wykazać proste zależności przyczynowo-skutkowe, ale nie ulega wątpliwości, że istnieje silna korelacja pomiędzy dynamiką spadku współczynnika dzietności a wzrostem PKB, który jest chyba najlepszym miernikiem opisującym funkcjonowanie systemu kapitalistycznego. Są co prawda wyjątki od tej ogólnej reguły, ale tam, gdzie PKB rosło w ostatnich kilkudziesięciu latach najszybciej, tam też mieliśmy do czynienia z najbardziej dynamicznym spadkiem dzietności. Absolutną rekordzistką jest Korea Południowa, ale Polska również znajduje się w ścisłej globalnej czołówce. Z jednej strony mamy więc opisany przez prof. Marcina Piątkowskiego „złoty wiek" i bezprecedensowy wzrost PKB *per capita*, a z drugiej – prawdziwy demograficzny „zjazd".

Doszliśmy do ściany

Z tej perspektywy nie będzie wielką przesadą stwierdzenie, że kapitalizm zmniejsza, a w skrajnych przypadkach wręcz zabija dzietność. Zarazem jednak bez dzieci on sam będzie martwy, gdyż nie zdoła przetrwać nie tylko bez pracowników (tu jeszcze dałoby się problem rozwiązać poprzez automatyzację), ale głównie bez klientów i konsumentów. Choć w literaturze opisano szereg wewnętrznych sprzeczności kapitalizmu, ta konkretna wydaje mi się szczególnie ważna, bo ma egzystencjalny charakter.

Do niedawna globalni posiadacze kapitału mogli ten problem w mniejszym lub większym stopniu ignorować, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, spadające współczynniki dzietności nie przekładały się jeszcze na spadek ogólnej liczby ludności, bo równoważyło je zwiększanie przeciętnej długości życia. Po drugie, czego świetnym przykładem były choćby państwa Europy Zachodniej w okresie powojennym, deficyty demograficzne można było zasypywać imigracją zarobkową. Doświadczyliśmy tego zresztą także nad Wisłą – ostatnia dekada to czas, kiedy nasz rynek pracy ratowali często Ukraińcy.

Sęk w tym, że właśnie dochodzimy do ściany. Zaczynamy powoli, ale raczej nieuchronnie wchodzić w okres, w którym spadek liczby ludności zdecydowanie przyśpieszy. U progu XXI wieku, kiedy współczynnik dzietności już szorował po dnie, saldo naturalne (relacja urodzeń żywych do zgonów) wynosiło w Polsce kilka tysięcy osób „na minusie". Ten rok zakończymy prawdopodobnie na poziomie minus 180-190 tysięcy. To tak, jakby w rok zniknęło miasto wielkości Torunia lub Rzeszowa, a wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że w najbliższych ↦

↦ latach ten ubytek będzie coraz większy. Wprawdzie Główny Urząd Statystyczny szacuje, że w roku 2050 będzie nas jeszcze ok. 35 mln, ale słychać coraz więcej opinii, iż liczba ta okaże się jednak bliższa 30 mln.

Paradoksy imigracji

Można by stwierdzić, że nawet pomimo nurkującego współczynnika dzietności w państwach rozwiniętych, wciąż w Azji czy Afryce rodzą się miliony dzieci, a liczba ludności globu jeszcze przez jakiś czas będzie rosnąć. To prawda, ale z perspektywy globalnego kapitału imigracja przestaje jawić się jako rozwiązanie. Nawet nie dlatego, że rodzi to poważne turbulencje społeczne, zwłaszcza w bogatych państwach Zachodu. Doświadczenia choćby naszych niemieckich sąsiadów z ostatnich lat wskazują, że przybysze z Syrii, Afganistanu, Somalii czy Erytrei nie tylko niespecjalnie się asymilują, ale nie są również w stanie nabyć odpowiednich kwalifikacji zawodowych, choćby ze względu na brak kompetencji językowych czy wręcz umiejętności czytania, oraz znaczne różnice kulturowe. Tym samym nie wypełnią narastającej luki na rynku.

Co więcej, brak zdolności do pracy w nieco bardziej wykwalifikowanych zawodach przekłada się na niższe dochody (albo wręcz ich brak, co dodatkowo obciąża pomoc społeczną), przez co imigranci nie tylko nie są cenionymi pracownikami, ale także dobrymi konsumentami. W konsekwencji lepiej mieć więcej nowych Polaków, Niemców czy Francuzów niż imigrantów z krajów o niższym poziomie rozwoju technologicznego. Także dlatego, że rodziny z dziećmi należą do najbardziej obiecujących grup konsumentów – zwłaszcza jeśli reprezentują klasę średnią i wyższą, gdzie w ostatnich latach obserwujemy rosnący trend wielodzietności.

W moim odczuciu właśnie dwa opisane wyżej zjawiska (spadek liczby ludności i niskie kompetencje nowych imigrantów) stoją za medialnym wzmożeniem wokół tematyki demograficznej, które obserwujemy w ostatnim okresie.

W najbliższym czasie „prodzietnościowa ofensywa" obejmie np. platformy streamingowe, gdzie **pojawią się seriale promujące dzietność czy wręcz rodzinę.**

Po co nam dzieci

Od lat staram się uczyć studentów na temat tzw. agendy publicznej. W uproszczeniu chodzi o to, że różne powszechne problemy doświadczają różnego poziomu społecznej percepcji. Dobrym przykładem jest niska emisja. Kilkadziesiąt lat temu problem ten pojawiał się głównie w rozmowach pod sklepem czy na przystanku autobusowym („ale śmierdzi, chyba idzie zima"). Później za sprawą choćby działań Krakowskiego Alarmu Smogowego pojawił się język do opisu tego zjawiska, a tym samym wzrosła społeczna świadomość negatywnego wpływu smogu na zdrowie człowieka. Kolejne epizody smogowe (w tym ten, który dotknął stolicę w pierwszych tygodniach 2017 roku), sprawiły, że temat wszedł na stałe do ogólnopolskich mediów, a zaraz później do tzw. agendy decyzji, czego efektem było wprowadzenie rządowego programu „Czyste powietrze" we wrześniu 2018 r.

Bardzo ważną rolę w procesie tworzenia agendy publicznej odgrywa też lobbing – czy to prywatny, czy społeczny. To on sprawia, że pewne tematy awansują na drabinie publicznego zainteresowania, podczas gdy inne są spychane w niebyt. Piszę o tym, bo odnoszę wrażenie, że ostatnie demograficzne wzmożenie nie jest dziełem przypadku, ale właśnie lobbingu ze strony globalnego kapitalizmu, któremu towarzyszy silna społeczna emocja.

Warto się temu przyjrzeć bliżej. Dlaczego tak bardzo boimy się spadku dzietności? Po co nam w ogóle te dzieci? Rozumiem oczywiście argument emerytalny, choć jest on wobec przyszłych pokoleń instrumentalny: „nie będzie dzieci, nie będzie komu pracować na nasze świadczenia na starość". Ważniejsze jest jednak to, że mając wciąż kilkadziesiąt lat do nadejścia apogeum kryzysu systemu emerytalnego, jesteśmy w stanie w mniejszym lub większym stopniu dostosować się do spadku liczby ludności w wieku produkcyjnym. Wymaga to oczywiście automatyzacji pracy, zmiany formy organizacji życia społecznego, stworzenia poważnego sektora usług i opieki dla osób starszych, a także modyfikacji wzorców polityki redystrybucyjnej (np. zwiększenia progresji podatkowej czy opodatkowania robotów) i jeszcze kilku pomniejszych kwestii. To jednak da się zrobić, a sam spadek liczby ludności nie jest wystarczającym powodem, by mówić o katastrofie. Przynajmniej z perspektywy społeczeństwa, bo dla kapitalizmu to faktycznie śmiertelne zagrożenie, i to on musi dziś podbijać „kasandryczny" bębenek. Nie chodzi mi tu o żadne teorie spiskowe, ale raczej o wpływ globalnego kapitału na sposób, w jaki myślimy i mówimy o spadku liczby urodzeń.

W stronę 50 milionów

W przypadku Polski bardzo użytecznym narzędziem do sprzedania takiej narracji jest wspomniana już opowieść o „złotym wieku". Nasze społeczeństwo, które w ostatnich latach doświadczyło niebywałego wzrostu *prosperity*, zaczyna wierzyć w marzenie o Polsce jako regionalnym imperium. Abstrahując od faktu, że źródła tego sukcesu mają swoje korzenie głównie w inwestycjach zagranicznych i mogą zniknąć niemal tak szybko, jak się pojawiły, to dziś dla wielu z nas staje się oczywiste, iż to polskie imperium zwyczajnie nie może się demograficznie skurczyć. Wielkość populacji staje się w jakimś sensie celem samym w sobie. Wspomniany już prof. Piątkowski uważa, że zadaniem Polski powinno być osiągnięcie do 2050 roku populacji rzędu 50 mln ludzi.

Nie zdziwię się, jeśli w najbliższym czasie prodzietnościowa „ofensywa" obej-

OGŁOSZENIE

tokfm

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice
97,7 FM Poznań | 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

mie niespenetrowane wcześniej obszary, w tym choćby popularne platformy streamingowe, gdzie pojawią się seriale promujące dzietność czy wręcz rodzinę – tematy wcześniej raczej pomijane, ośmieszane lub przedstawiane z uwzględnieniem głównie patologii. Zdaję sobie sprawę, że w świetle tego, co obserwowaliśmy tam w ostatnich latach, wspomniana perspektywa może niektórym wydać się wręcz nierealna, ale mnie zupełnie by nie zdziwiła. Tak samo jak nie zdziwi mnie cicha presja na rządzących, aby wprowadzać kolejne zachęty pronatalistyczne. Globalny kapitał zdaje się zresztą mieć świadomość, iż sam z siebie raczej nie zachęci kobiet do rodzenia dzieci, dlatego potrzebuje innych niż rynkowe mechanizmów, takich jak choćby państwo, którego ogromną zaletą jest to, że może stosować przymus.

Dlaczego to tak istotne? Widzimy nie tylko w Polsce, że dobrowolne zachęty, nawet w postaci pokaźnych transferów socjalnych, jak 800 plus, niespecjalnie przekładają się na odwrócenie negatywnych trendów demograficznych. Stąd też mam silne przekonanie, iż wraz z wyludnieniem Polski zaczną się coraz głośniej pojawiać postulaty bardziej zdecydowanych działań.

Ukarzą bezdzietnych?

Dziś wydaje się to mało realne, ale za kilka lat możemy na poważnie usłyszeć pomysł wprowadzenia tzw. podatku bykowego, którym objęte zostaną osoby nieposiadające dzieci (mimo sporych kontrowersji względem takiego rozwiązania, które wynikają choćby z faktu pogłębiającego się problemu bezpłodności). To jednak dopiero początek. Jeśli prawdziwa jest teza o śmiertelnym zagrożeniu dla kapitalizmu, w perspektywie najbliższych 20-30 lat zaczną się też pojawiać znacznie bardziej „odważne" postulaty niż tylko uruchamianie kolejnych transferów socjalnych dla rodziców. Jakie? Przy założeniu, że dzieci traktujemy jako czynnik produkcji oraz przyszłych klientów, trzeba będzie zwiększyć „produktywność prokreacyjną", czyli w praktyce odsetek ciąż mnogich. Skoro kobieta wypada z rynku pracy na kilkanaście miesięcy na czas ciąży i opieki nad niemowlęciem, niech od razu rodzi więcej niż jedno dziecko. W tym zakresie przydatna może się okazać procedura *in vitro*, która już dziś statystycznie częściej skutkuje właśnie mnogimi ciążami. W świetle tzw. recesji seksualnej, czyli spadającej liczby kontaktów seksualnych w młodszym pokoleniu, sztuczne zapłodnienie może jawić się jako naturalna alternatywa dla coraz rzadszego zapłodnienia naturalnego.

W dalszym kroku nie wykluczam legalizacji surogacji i publicznego wsparcia dla tego procederu. Skoro niektóre kobiety w krajach rozwiniętych są tak wyemancypowane, iż nie chcą rodzić dzieci, zawsze można ściągnąć kobiety z zagranicy i w zamian za opiekę wykorzystać jako „żywe inkubatory". Gdyby komuś taka perspektywa wydała się skandaliczna, niech posłucha historii o surogacji na Ukrainie, przywołanych w podkaście „Raport o stanie świata" Dariusza Rosiaka, gdzie opisano przypadki bogatych bezdzietnych par z Zachodu, które „wynajmowały" biedne, ukraińskie kobiety do noszenia w macicach ich dzieci.

Wiele z tych rzeczy mamy już jako ludzkość przetrenowane, reszta jest tylko kwestią decyzji politycznej – i skali. W dzisiejszych głosach ekspertów, którzy w rekomendacjach skupiają się właśnie na wzroście współczynnika dzietności, widać ignorowanie faktu, iż dziecko nie tylko trzeba urodzić, ale później przez kilkanaście lat starać się je wychowywać w bezpiecznych, stabilnych warunkach. Trochę to przypomina perspektywę części tzw. ruchów pro-life, które nierzadko swoje zainteresowanie ograniczają wyłącznie do kwestii urodzenia dziecka, a to, co później – niespecjalnie je obchodzi.

> W ostatnim demograficznym wzmożeniu **dzieci są traktowane w sposób absolutnie przedmiotowy,** choćby jako zaplecze finansowe dla emerytów.

Zwrot przeciw emancypacji

W tym kontekście nie można pomijać antyemancypacyjnego („antykobiecego") zwrotu politycznego, którego globalną twarzą jest prezydent USA Donald Trump, a który to zwrot da się z powodzeniem dostrzec także w polskiej polityce. Tak jak wybory w 2023 r. zostały w jakimś stopniu zdeterminowane przez „sprawę kobiecą", stanowiąc niejako odroczony skutek Ogólnopolskiego Strajku Kobiet z 2020 r., tak o wyniku najbliższych wyborów parlamentarnych może zdecydować „kwestia męska". Zresztą rezultaty niedawnych wyborów prezydenckich, w tym wynik kandydatów utożsamianych z tzw. nową prawicą, może wskazywać, że powoli wkraczamy w okres antyemancypacyjnego rewizjonizmu.

Co istotne, jego przodownikami będą nie tylko mężczyźni, którzy nie potrafią się odnaleźć w nowej rzeczywistości społecznej, ale także kobiety, które zaczęły dostrzegać negatywne konsekwencje zbyt radykalnego zwrotu feministycznego i obawiają się (słusznie bądź nie) jego konsekwencji. Efektem dojścia do władzy nowej, ale tradycjonalistycznej neopatriarchalnej prawicy może być, w dłuższej perspektywie, rosnące przyzwolenie dla wprowadzenia bardziej przymusowych „zachęt" wobec kobiet – choćby w postaci redukcji świadczeń emerytalnych dla tych bezdzietnych. Byłby to osobliwy przejaw zjawiska, które w kontekście chrystianizacyjnym określamy mianem tzw. reakcji pogańskiej. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że jesteśmy świadkami „reakcji patriarchalnej", swoistego odbicia wahadła po strajku kobiet, którego piątą rocznicę dopiero co obchodziliśmy.

Niezależnie od sytuacji kobiet w całym tym procesie, nie sposób pominąć miejsca i roli samych dzieci. Nie umiem uciec od wrażenia, że w ostatnim demograficznym wzmożeniu od samego początku są traktowane w sposób absolutnie przedmiotowy, choćby jako zaplecze finansowe dla emerytów. Jednocześnie te same dzieci, z taką nadzieją wyczekiwane przez globalny kapitał, mogą w przyszłości tworzyć idee i bodźce, które każą im się zbuntować przeciwko kapitalistycznemu paradygmatowi w myśleniu o gospodarce i społeczeństwie. Ale to już temat na zupełnie inną opowieść.

© MARCIN KĘDZIERSKI

Autor jest adiunktem w Katedrze Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, ekspertem Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego, ojcem szóstki dzieci.

Bieda ma twarz kobiety



ANNA KORYTOWSKA

NIERÓWNOŚCI | 2,5 miliona ludzi w Polsce żyje pod progiem skrajnego ubóstwa. Za statystykami kryją się konkretne historie układające się w zjawisko feminizacji biedy.

To nie głód jest najciemniejszą barwą ubóstwa. Najbardziej boli, kiedy kogoś kochasz i nie jesteś w stanie dać mu prezentu na urodziny, na święta. Nie stać cię nawet na czekoladę dla wnuka – mówi pani Ela z Warszawy. Ma 73 lata, od kilkunastu żyje w ubóstwie. Pracowała jako nauczycielka w przedszkolu, telegrafistka i sekretarka medyczna. Gdy jej mama zachorowała, niemal cały swój czas poświęciła na opiekę nad nią. – To był moment, kiedy narobiłam długów, ale wtedy liczyło się tylko zdrowie i życie mamy – przyznaje.

Barwy nieszczęścia

Dzisiaj to pani Ela ciężko choruje; jest też osobą samotną i zmaga się z różnymi przewlekłymi chorobami (astma, zwyrodnienia kręgosłupa, reumatoidalne zapalenie stawów, depresja), które wymagają leczenia. A na to jej nie stać. – Lekarstwa, które powinnam brać, są bardzo kosztowne, więc nie przyjmuję ich tak często, jak powinnam. Biorę, jak już nie jestem w stanie wytrzymać bólu. Żeby jednak działały tak, jak należy, powinnam przyjmować je razem z innymi lekarstwami, ale na to również mnie nie stać. Farmaceuta z apteki już mnie zna; kiedy przychodzę z receptą, od razu pyta, z czego dzisiaj rezygnujemy – opowiada.

Emerytura pani Eli ze wszystkimi dodatkami wynosi niewiele ponad 2000 zł, od czego trzeba odliczyć opłaty, leki oraz to, co zajmuje komornik. Pani Ela ma mieszkanie po rodzicach, ale też coraz mroczniejszy cień eksmisji nad sobą. – Próbuję o tym nie myśleć – przyznaje.

Po dokonaniu wszystkich koniecznych opłat na przeżycie miesiąca zostaje bardzo niewiele. – Bieda zmusza mnie do ciągłych wyborów. Czy kupić środki higieniczne, jedzenie, czy może jednak leki? To dla mnie ogromne wyzwanie, więc często proszę o towarzystwo syna; on też nie jest w dobrej sytuacji finansowej. Liczy ze mną w sklepie, na co mogę sobie pozwolić, a na co nie. Uwielbiam jogurty, ale nie zawsze mogę je kupić. Czasem te trudne wybory dotyczą nawet chleba i masła – tłumaczy.

Jako młoda dziewczyna pani Ela się odchudzała, czasem wręcz głodowała – z wyboru, którego teraz nie ma. Dziś, choć nauczyła się wydzielać jedzenie, głód stał się jej codziennym, niechcianym towarzyszem. – Dostaję obiad z opieki społecznej, ale jakość pozostawia sporo do życzenia. Przeważnie jem tylko te swoje ubogie śniadania i kolacje. Kromki chleba, masło, jogurt w te lepsze dni – wylicza poruszona.

Pani Ela marzy o nowej bieliźnie; nie pamięta, kiedy ostatnio mogła sobie pozwolić na taki zakup. – Moje ubóstwo ma wiele barw – mówi gorzko. – Nie ma takiej dziedziny życia, do której by się nie wepchnęło i nie odcisnęło piętna. Bieda boli okrutnie, wpływa na zdrowie fizyczne, na psychikę, na morale. Nie znam drogi wyjścia z tej matni.

Bieda ma twarz kobiety

Z raportu Europejskiej Sieci Przeciwdziałania Ubóstwu wynika, że ok. 2,5 mln Polek i Polaków żyje pod progiem skrajnego ubóstwa (dla jednoosobowego gospodarstwa domowego to 913 zł miesięcznie, dla czteroosobowego z dwójką dzieci do lat 14 – 2465 zł). 17 mln doświadcza „jedynie" niedostatku (dla jednej osoby to poniżej 1711 zł miesięcznie, dla rodziny z dwójką dzieci – 4620 zł). Za tymi statystykami kryją się konkretne osoby i historie ich codziennej walki o przetrwanie, układające się w procesy i zjawiska. Jednym z nich jest badany od lat 90. proces tzw. feminizacji ubóstwa.

– Kobiety doświadczają szczególnych obciążeń związanych z życiem w biedzie. To rezultat systemowych nierówności: na rynku pracy, w obowiązkach opiekuńczych, a także w społecznych oczekiwaniach, które wobec kobiet bywają nie tylko nierealistyczne, ale i zamykające w klatce kulturowego stereotypu – wyjaśnia socjolog dr hab. Arkadiusz Karwacki, prof. UMK w Toruniu. – Można powiedzieć, że polska bieda ma twarz kobiety, która codziennie walczy o przetrwanie swojego gospodarstwa domowego. To ona idzie do instytucji pomocy społecznej, składa wnioski, planuje, jak z minimalnych środków zapewnić dzieciom jedzenie, leki, ogrzewanie. Mężczyzna zwykł mawiać: „nie honor mi wyciągać rękę po pomoc". Kobieta zaś musi przełamać wstyd – zauważa ekspert i dodaje, że to przeciążenie rolami nie jest zarezerwowane tylko dla ludzi biednych, ono ma charakter niezależny od statusu. – Wspólnie z prof. Katarzyną Suwadą opisywaliśmy tę właściwość jako feminizację nieodpłatnej pracy domowej.

Droga przez mękę

– Zatraciłam w sobie całą kobiecość, działam jak robot. Wstaję, bo muszę, żyję, bo muszę. Nie mam zębów, na makijaż nie mam siły, z nerwów obgryzam paznokcie. Jestem bardzo zaniedbana –



PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

opowiada Izabela Padok. Ma 46 lat i jest samotną mamą czwórki dzieci. Mieszka na wsi, niedaleko Łodzi, a bieda towarzyszyła jej od zawsze. W domu rodzinnym nigdy się nie przelewało, mimo że rodzice pracowali. – Wstydziłam się chodzić do szkoły. Byłam inna niż koleżanki. One wystrojone, ja w pocerowanych i dawno niemodnych ubraniach – wspomina.

Uczucie głodu zna, od kiedy tylko sięga pamięcią. – Mama musiała się mocno nakombinować, żebyśmy mieli co jeść. Tata się złościł, kiedy robiłam sobie kanapkę z więcej niż jednego dodatkowego składnika. Wszystko było dokładnie policzone – wylicza Izabela Padok. – Nie mieliśmy łazienki, myliśmy się w misce. Rodzina nam nie pomagała, choć mieliśmy w niej zamożne osoby.

Iza chciała się z tego świata wyrwać. Pilnie się uczyła, była dobrą uczennicą, uczęszczała na kółko plastyczne. Wykształciła się jednak na księgową i kilka lat pracowała w tym zawodzie. – Wyszłam za mąż w wieku 21 lat. Myślałam wtedy, że uwolniłam się od biedy. Ale bardzo szybko się o mnie upomniała – przyznaje. Jej pierwsze dziecko poważnie zachorowało, więc musiała zwolnić się z pracy. – Męża w domu często nie było, bo pracował jako kierowca. Wydzielał mi pieniądze, które ledwo starczały na prowadzenie domu. Potem okazało się, że mnie zdradzał. Mamy czwórkę dzieci, po siedemnastu latach małżeństwa się rozstaliśmy.

Dzieci mają tylko mnie

Iza została bez mieszkania (należało do rodziny męża) i bez wsparcia. Zacisnęła zęby, znalazła pracę, wzięła kredyt i kupiła 50-metrowy dom letniskowy na wsi. Spłaca go do dziś, 1500 zł miesięcznie. – Pracuję w domu kultury, zarabiam 3600 zł na rękę, raczej bez szans na podwyżkę. Dorabiam sprzątając, a czasami też jako fotograf, bo mam ku temu kompetencje. Choruję na zaburzenia lękowe, mam kilka chorób przewlekłych, dzieci też. Tylko że nas nie stać na choroby – mówi kategorycznie.

W lipcu w ich domu wybuchł pożar, spłonęła kotłownia. – Lato spędziliśmy w namiocie, który strażacy rozstawili na podwórku. Założyliśmy zrzutkę i dzięki ludziom o wielkich sercach udało się nam zebrać pieniądze na zakup pieca, montaż instalacji i odmalowanie ścian. Ale dom wciąż jest do remontu. Mieszkamy w małym pomieszczeniu, które udało się odmalować, to klitka. Moi synowie błagają mnie, bym coś wymyśliła. Bardzo się buntują, nie mają kolegów, wstydzą się naszej sytuacji, nie chcą chodzić do szkoły – wylicza.

Iza przyznaje, że brakuje jej sił. Ma co prawda auto, ale zepsute – na naprawę jej nie stać. We wsi, w której mieszka, nie ma autobusów, więc codziennie robi pieszo kilkanaście kilometrów. – Padam, po prostu padam. Chciałabym iść na terapię, ale przecież nawet na jedzenie nam nie starcza. Dobrze, że co jakiś czas dostajemy pomoc z banku żywności: konserwy, cukier, olej, mąkę, płatki owsiane... – zawiesza głos. – Codziennie walczę ze sobą, żeby w ogóle wstać z łóżka, ale wiem, że muszę: dla dzieci. Mają tylko mnie.

Utracona godność

W obrazie ubóstwa kobiet szczególnie widoczne są samotne matki, kobiety opiekujące się osobami z niepełnosprawnościami, seniorki żyjące z minimalnych emerytur, bo zbyt wiele czasu poświęciły domowi. To często kobiety przewlekle chore, stygmatyzowane, żyjące z poczuciem upokorzenia. Niejedna jest dotknięta wykluczeniem menstruacyjnym. Nie mogą tak po prostu pójść do popularnej drogerii, żeby kupić podpaski lub tampony. Nie stać ich.

– Ubóstwo kobiet to nie tylko kwestia braku pieniędzy. To także utracone role społeczne i poczucie godności. „Nie mogę być babcią taką, jaką chciałabym być, np. kupującą prezenty wnukom. Nie mogę pozwolić sobie na nowy mebel, na ubranie. Nie jestem w stanie zapewnić swoim dzieciom wszystkiego, czego potrzebują". Tym kobietom towarzyszy wstyd, deprecjonowanie siebie i często autodestrukcja – tłumaczy Karwacki.

Społeczne oceny i stereotypy dodatkowo pogłębiają tę sytuację. – Kobiety częściej niż mężczyźni są moralnie rozliczane z tego, jak radzą sobie w ubóstwie. Czy wystarczająco się starają, czy nie popadają w uzależnienia, jakich wyborów dokonują w walce o codzienne przetrwanie – wylicza toruński socjolog. – Widać to wyraźnie w ocenach stanu bezdomności, które są surowsze w odniesieniu do kobiet.

Winne „za wszystko"

Problem ubóstwa kobiet jest niezwykle złożony: niskie emerytury, niedostateczna rewaloryzacja progów dostępności do świadczeń społecznych, niestabilny rynek pracy, brak opieki instytucjonalnej, a także miejsce urodzenia, atmosfera w domu rodzinnym. – Żyjemy w społeczeństwie powszechnego umęczenia – mówi Karwacki. – Ludzie są przytłoczeni rolami, spełnianiem oczekiwań, zmaganiami o zapewnienie bezpieczeństwa. Wyczerpanie coraz częściej przekłada się na zdrowie psychiczne. Można to dostrzec zwłaszcza u osób, które latami pozostają w niedostatku. Pamiętajmy, że jest wśród nich wiele takich, które nigdy nie sięgnęły po wsparcie.

Socjolog uważa, że problem ubóstwa będzie się pogłębiał i może dotknąć tzw. klasy średniej. Już dziś niedostatek dotyka także tych, którzy co prawda mają etatową pracę i dobre wykształcenie, ale są mocno dociskani przez zaciągnięte kredyty oraz inne zobowiązania związane z potrzebami np. dzieci, co z kolei odbija się na podstawowych potrzebach. Takie życie to ciągłe balansowanie na granicy ryzyka: wystarczy choroba, nagła utrata dochodu, rozwód – i równia pochyła staje się codziennością. Szczególnie dla kobiet, które wciąż są odpowiedzialne „za wszystko". © ANNA KORYTOWSKA



Ileż można narzekać

TEKST: ZIEMOWIT SZCZEREK
ILUSTRACJE: ZUZANNA KOWALSKA DLA „TP”

SPOŁECZEŃSTWO | Co w Polsce działa, co się udało? Zrobiłem w mediach społecznościowych prywatną ankietę. Okazało się, że tradycyjne polskie narzekanie wymaga dziś coraz większego wysiłku.

Polska – państwo z kartonu”. W takim myśleniu tkwimy, od kiedy sięgnąć pamięcią. Twierdzi tak zarówno lewica, jak i prawica. No, chyba że rządzi, ale wtedy, jak to ktoś ujął, państwo nadal jest z kartonu, tyle że na kartonie namalowani są żołnierze wyklęci. Również obecna koalicja i jej zwolennicy wydają się pogodzeni z faktem, że skazani jesteśmy na ten kartonowy dryf, bo rządzący są już zbyt zmęczeni i wyjałowieni, by cokolwiek zmienić.

Ale co, jeśli teza o „państwie z kartonu” jest nieprawdziwa? Albo przynajmniej nie w pełni prawdziwa? Co, jeśli tylko wmówiliśmy sobie kompleks niższości, któremu – jak to często bywa – towarzyszy mania wielkości? Co, jeśli tak naprawdę jesteśmy całkiem nieźle się rozwijającym krajem, sprawnym i stojącym na dość wysokim stopniu rozwoju, a nasza samoocena po prostu ciągnie się za nami siłą inercji? Co, jeśli jest tylko reliktem dawnych czasów, w których – z wielu powodów – trudno było Polskę lubić?

Machanie i psioczenie, czyli jak okazywać dumę

Bo cóż, łatwo nie mieliśmy: jak nie pańszczyzna, która zamieniała życie większości mieszkańców Polski w szaroburą wegetację, to rosyjski albo pruski zaborczy reżim (Austria była jednak nieco inną historią). Jak nie jedna i druga wojna, to przed- i powojenna bieda oraz wymuszona przez to wszystko patologizacja życia społecznego. A do tego jeszcze peerelowskie kryzysy i szarzyzna, przerywane tylko przez etapy rozwojowego optymizmu (odbudowa, „mała stabilizacja”, Gierek itd.). Następnie dzikie lata 90. z ich wyspowym rozwojem, a pod wieloma względami strukturalnym upadkiem. A i obecnie – rzeczywistość naznaczona naprzemiennymi rządami wrogich sobie partii.

Nawet Ukraińcy, obywatele kraju naznaczonego wojną, zdają się podchodzić do swojego państwa bardziej entuzjastycznie, choć można powiedzieć, że jest to entu-

zjazm charakterystyczny dla nowych projektów, zaczął się bowiem na dobre dopiero po Majdanie, który wyznaczył początek nowej Ukrainy ze świeżą tożsamością. Ukraińcy rzucili się wtedy naprawiać swoje państwo mniej więcej tak samo, jak Polacy po odzyskaniu niepodległości po I wojnie światowej. Wojna i skuteczna obrona tylko ten entuzjazm wzmocniły. I choć nie znaczy to, oczywiście, że Ukraińcy na swoją rzeczywistość nie narzekają, to jednak, gdy rozmawia Polak z Ukraińcem, widać zdecydowaną różnicę w podejściu do swoich państw: Polak najczęściej jest Polską rozczarowany, narzeka i psioczy w trybie, który opisał Adam Leszczyński w książce „No dno po prostu jest Polska". Ukrainiec będzie zaś raczej bronił swojego kraju, wskazywał, owszem, na trudności, ale i szukał sposobów na ich rozwiązywanie. Co ciekawe, ten sam Ukrainiec może być również do Polski nastawiony o wiele bardziej pozytywnie niż jego polski rozmówca.

Zgoda, wielu Polaków manifestuje dumę z Polski, ale jest to często bezkrytyczne dudnienie w tarabany: Polska jest najlepsza, bo jest najlepsza, a im głośniejsze dudnienie, tym bardziej budzi podejrzenia, że jest to tromtadracja rosyjskiego typu, próbująca deklarowanym patriotyzmem przyćmić kiepską sytuację.

Z drugiej strony, w oczach równie wielu Polaków manifestowanie zadowolenia z własnego kraju jawi się jako nacjonalizm: tak przecież odbierana była np. moda na „patriotyczną" odzież. I o ile biznes ten faktycznie miał po części nacjonalistyczne pochodzenie, to przecież ludzie, którzy te koszulki z Polską Walczącą czy Żołnierzami Wyklętymi nosili, niekoniecznie byli nacjonalistami. Wielu nosiło te symbole na takiej samej zasadzie, na jakiej Brytyjczycy i Amerykanie noszą ubrania z własną flagą.

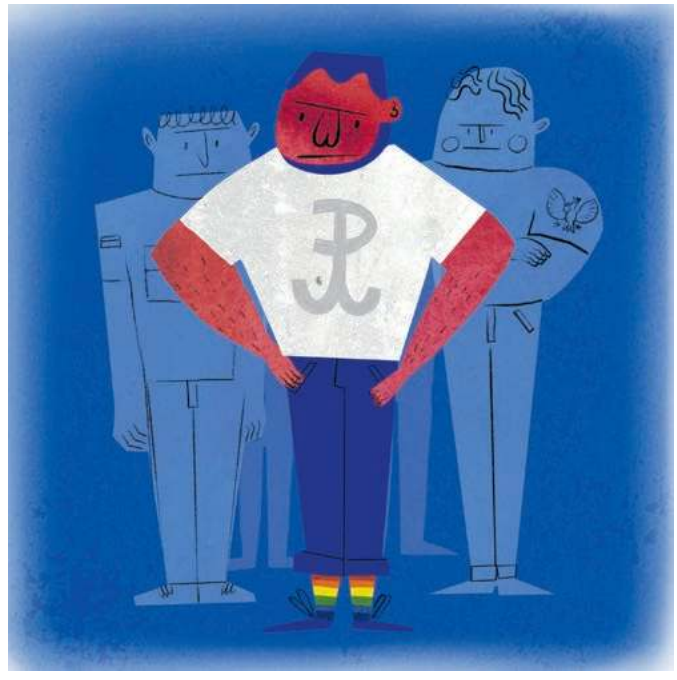

„My, Polacy". Czy to brzmi ironicznie?

Każdy, kto oglądał „Gang Olsena", wie doskonale, że za każdym razem, kiedy przywódca gangu, Egon Olsen, wychodzi z więzienia, przyjaciele witają go wymachując duńskimi flagami. Nam wciąż trudno wyobrazić sobie siebie, jak w radosnym uniesieniu wymachujemy symbolami narodowymi. Chyba że piłkarska reprezentacja wygrywa mecz, ale to przecież nie zdarza się często. Inny przykład: znany fiński profil instagramowy „Nina in Sauna" cały czas operuje retoryką „my Finowie": „my Finowie robimy tę rzecz tak, a tamtą inaczej, i z dumą was o tym informujemy". Kiedy ostatni raz ktoś coś takiego – bez ironii, nawet nie z dumą, ale ze zwykłym zadowoleniem – mówił o Polsce? Przechwałki, jak to się u nas pije, się nie liczą.

Ale rzeczywistość się zmienia. A wraz z nią, powoli, nasze nastawienie do niej. Wspomniany Adam Leszczyński, autor książki starającej się wyjaśnić źródło polskiego autoszowinizmu i ciągłego malkontenctwa, zauważa, że dziś sytuacja jest już jednak inna niż w czasie, kiedy tę książkę pisał. A było to właściwie niedawno, bo w 2017 r.

– Myślę, że Polakom w wielu dziedzinach afirmacji dziś nie brakuje – mówi. – Przeciwnie, widzę dumę z naszego cywilizacyjnego sukcesu, rosnące poczucie wyższości, także wobec Zachodu, który niektórzy ludzie uważają za dekadencki, co jest zresztą podlewane ksenofobią i rasizmem.

Ale czy naprawdę zadowolenie z własnej rzeczywistości musi się z tym łączyć? Czy nie potrzebujemy pozytywnego, ale nie na przemian tromtadrackiego i krytykanckiego myślenia o własnym kraju? Zapytałem w mediach społecznościowych, na Facebooku i portalu X (dawnym Twitterze), nie o to, co według ich użytkowników w Polsce nie działa, bo takich ankiet były już tysiące, ale o to, co działa. Odzew był ogromny. Tak jakby już samo pytanie wzbudziło wielką ulgę.

Oto okazało się, że nie jest aż tak źle. Przynajmniej w niektórych sektorach.

Cyfryzacja, transport publiczny i bezpieczeństwo: infrastruktura z uśmiechem

„Całkowicie zelektronizowana obsługa podatnika oraz fakt, że online można załatwić zakładanie firmy i jej obsługę księgową. Sprawnie działająca bankowość i to, że prawie wszędzie da się zapłacić jakimś środkiem płatności online" (np. Blikiem, a Blik, polski projekt, wskazywany był w odpowiedziach bardzo często) – wylicza dziennikarz Michał Gostkiewicz. Chwali również elektroniczną obsługę urzędów, np. umawianie w nich wizyt, a także usługi państwowe dostępne online, takie jak mObywatel, elektroniczne potwierdzenie tożsamości i podpisów.

„Plus jedna zmiana, widoczna wszędzie, gdzie byłem, naprawdę zero złych doświadczeń: urzędnicy w samorządach, w administracji czy w skarbówce są m i l i" – puentuje Gostkiewicz.

↦

↦ Kolejne pozycje na jego liście będą powracały w wielu innych opiniach: to bardzo dobry transport miejski w dużych miastach, duża zmiana na lepsze w transporcie kolejowym, cyfryzacja kupowania biletów PKP i transportu miejskiego. A także, wylicza dziennikarz: „porządne drogi, od autostrad po schetynówki i mniejsze drogi lokalne; sortowanie śmieci, które działa lepiej bądź gorzej, ale działa; świetna jakość jedzenia od bazarków przez supermarkety po knajpy; coraz większa świadomość potrzeby ochrony przyrody, choć dużo tu jeszcze do zrobienia; czystość ulic, metra, przystanków, toalet, dworców kolejowych". Także warszawski przewodnik, Paweł Szczerkowski, podkreśla, że na czystość ulic, stacji metra i toalet publicznych zwracają uwagę turyści.

Adam Szczepański z pomorskiego oddziału Razem od kilkunastu lat pracuje przy Programie Rozwoju Obszarów Wiejskich, więc, jak zapewnia, „wie, co pisze". Podaje przykład urzędów gmin, w których „wbrew stereotypom pracują ludzie z pasją, mający w małym palcu wszystkie możliwe programy unijne". Do tego „infrastruktura społeczna, kulturalna czy edukacyjna na wsi często bije tę w miastach".



„Obszary wiejskie – pisze Szczepański – cierpią przez lata zaniedbań po transformacji w tych dziedzinach, w których państwo się wycofało (najczęstszy przykład to brak PKS-ów, skasowana kolej). Ale w tych obszarach, które znajdują się w zakresie kompetencji gmin, naprawdę dobijamy do standardów zachodnich".

Paweł Sołtys, pisarz i piosenkarz znany jako Pablopavo, chwali transport publiczny w Warszawie, a Joanna Dziwak, poetka mieszkająca w Krakowie – sklepy czynne do późnych godzin. Krakowską dziennikarkę Annę Piątkowską cieszy PIT przez internet. Jerzy Gorzelik, górnośląski działacz regionalny i samorządowy, wymienia stacje benzynowe. „Dużo ich, czynne non-stop – pisze. – Szerokie spektrum usług, totemy z cenami widoczne od autostrady czy drogi, większość ma LPG. W innych państwach UE to nie jest oczywistość".

Beata Siemieniako, prawniczka i działaczka społeczna, która często w sprawach ludzi, których nie stać na adwokata, występuje pro bono, docenia to, że Polska jest krajem bezpiecznym. „Po prostu statystycznie jest bezpiecznie na ulicach, a i ogólna liczba przestępstw w Polsce jest dwukrotnie mniejsza niż 20 lat temu" – pisze.

Pełna kultura: WOŚP, strażacy i organizacje pozarządowe

Tomasz Stachewicz, przedsiębiorca z branży IT, do bezpieczeństwa, które jest „czymś, czego nie widzimy, a co wyróżnia Polskę bardzo na plus", dodaje kulturę – „od książek i teatrów po filmy, na naprawdę niezłym poziomie", a także „brak korupcji, przynajmniej na szczeblu, na jakim operuje typowy obywatel".

Z tym ostatnim zgadza się publicystka i felietonistka „Tygodnika" Olga Drenda: „Czasem opowiadam, że dla mnie najbardziej znamienną zmianą było pojawienie się wstydu za drobne łapówki – np. dla kontrolera, policjanta drogówki – które w latach 90. były standardem, a ktoś starający się załatwić cokolwiek oficjalną drogą uchodził za naiwniaka – komentuje. – Teraz system został uszczelniony i przekręty można robić już tylko na duże kwoty" – kwituje z przekąsem.

Listę dobrze działających u nas rzeczy u Natalii Panczenko, ukraińskiej aktywistki, jednej z liderek diaspory ukraińskiej w Polsce, otwiera Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. Zaraz za nią jest Ochotnicza Straż Pożarna. „Nieźle działają organizacje pozarządowe" – zauważa Kuba Karyś, szef KOD. Historyczka Anna Zglińska chwali Patrol Eko straży miejskiej w Toruniu, Piotr Oleksy, wykładowca i pisarz – festiwale kulturalne.

Joanna Pawluśkiewicz, scenarzystka i specjalistka od improwizacji scenicznych, pisze: „Finansowanie filmów – możemy narzekać, ale to działa. Można mieć w Polsce lokal na kulturę. W zasadzie na dowolne projekty można łatwo zdobyć pieniądze. W jakim kraju dostaniesz na warsztaty z ekosomatyki? Nie wiem dokładnie, co to, ale wiem, że ludzie dostają". Elżbietę Bińczycką, teatrolożkę i polityczkę, przewodniczącą Unii Europejskich Demokratów, cieszy „Teatr TV bogaty w różnorodne propozycje twórców różnych pokoleń i nurtów estetycznych, w którym jest wiele często wybitnych spektakli".

Jerzy Przystajko, farmaceuta z Opola i członek Krajowej Partii Razem, na portalu X komentuje, że wbrew trudnościom pochwalić trzeba NFZ. „Mimo zagłodzenia dokonuje on czegoś w kategorii cudu, bo w tych pieniądzach tak trzeba to określać" – twierdzi. Terapeucie uzależnień Grzegorzowi Janoszce, również politykowi Razem, podoba się, że w Polsce refundowana jest terapia stacjonarna dla osób uzależnionych od substancji psychoaktywnych innych niż alkohol.

Kamila Wyrośląk, trójmiejska fotografka, dodaje obsługę zdrowia online i system działania przy zawałach serca. Przestrzega jednak: „Mamy tu dużo zabiegów liftingujących i nie wiem, czy główne instytucje nam nie padną, jeśli nadal nie będzie się przekazywać z budżetu dostatecznych środ-

ków na ochronę zdrowia, mieszkalnictwo i zmniejszanie wykluczenia transportowego". Martwi ją również szkolnictwo, które „utknęło w Prusach", czyli w odziedziczonym po zaborcy modelu nauczania, i „jest w łapach fanatyków".

Spoko ta Polska: jak gonimy Zachód

Wychodzi więc na to, że w Polsce wybija się cyfryzacja urzędów państwowych, bankowość cyfrowa, e-państwo, kurierzy, paczkomaty i Blik, drogi, czystość, kolej, dobre jedzenie, NGO-sy, bezpieczeństwo, biblioteki i kultura. Anonimowy użytkownik X-a komentuje: „wróciliśmy z rodziną po kilku latach pobytu w USA i Irlandii. W porównaniu z tymi państwami Polska to socjalny raj, a państwo, mimo swoich wad, działa dużo efektywniej. Największym problemem Polski jest wieczne niezadowolenie i narzekanie rodaków".



I to się powtarza: „bankowość internetowa, poziom hoteli, usług, dobre kraftowe piwa, niezłe drogi i przyzwoita komunikacja. Gonimy Zachód szybciej niż się większości wydaje". „Komunikacja zbiorowa bije na głowę zachodnią, rozwój cyfrowy podobnie". „Wciąż w miarę łatwy dostęp do zdrowej i nieprzetworzonej żywności, wolność w wielu kwestiach już bije tę kinową z USA. Jest czysto, bardziej kolorowo, bezpieczniej mimo wszystko".

Są też, oczywiście, kontestatorzy wypytywania o to, co się w Polsce udało. I uważam tę kontestację za piękną i bardzo polską. No więc co u nas działa? „Rosyjska propaganda" – komentuje zgryźliwie jeden z anonimowych użytkowników portalu X. Magdalena Koryntczyk zaś, dramaturżka, zauważa, że „plucha od połowy września do połowy maja działa nieźle".

Ale reżyser, fotograf i artysta wizualny Bart Pogoda, przeczytawszy pozytywne komentarze na temat naszego kraju, zachwyca się: „ej, no spoko ta Polska!". A nauczyciel i wykładowca Przemysław Staroń konstatuje: „o panie, w ch.. tego, i to jest piękne".

Pisarz i publicysta Piotr Paziński dodaje: „życie prywatne jest spoko. Grupki przyjaciół. Niektóre księgarnie, zanim nie zostaną zamknięte. Poszczególne wietnamskie garkuchnie".

Muzeum narzekania. Jak nasze malkontenctwo stworzyło postęp

– Mam wrażenie, że Polacy dzisiaj częściej krytykują konstruktywnie – mówi mieszkający w Polsce od lat, dawniej w Warszawie, obecnie w Radomiu, publicysta i manager Leo Mausbach. – Dawniej narzekanie bywało autoszowinistyczne, służyło do tego, żeby się odciąć od Polski, udowodnić, że jest się „lepszym" od otaczającej rzeczywistości. Dziś coraz częściej ludzie tacy jak np. Karol Trammer, autor książek o funkcjonowaniu kolei, krytykują po to, żeby było lepiej.

Mausbach jest też przekonany, że Polacy mają coraz mniej kompleksów. – Jako Niemiec lubiący Polskę doświadczyłem tego, jak wielu Polaków potrzebowało słyszeć ode mnie pozytywne rzeczy – mówi. – Ale dziś tego lekarstwa na kompleksy potrzebują coraz rzadziej. Poza tym – dodaje – naprawdę jest coraz lepiej. Polska scena polityczna reaguje na nastroje społeczne, potrafi prowadzić długofalowe projekty, takie jak energetyka atomowa czy zbrojenia, także przy najbardziej ostrych zmianach władzy. Gospodarka też się rozwija, nie bez przeszkód, ale to, co się wytworzyło w Polsce, jest niesamowite.

Olena Babakowa, ukraińsko-polska dziennikarka, pytana o polskie narzekanie odpowiada: – Słuchaj, ja tu mieszkam od 17 lat, więc moje hasło to „narzekaj z nami", „narzekaj lepiej od nas!".

Ale również ona widzi postępy: – Narzekanie wymaga coraz więcej wysiłku i kreatywności. Może warto założyć muzeum narzekania, by ocalić tradycję? A tak na poważnie – dodaje Olena – zgadzam się z Janem Śpiewakiem, że jako jednostki po 1989, a szczególnie po 2004 r. osiągnęliśmy sporo, lecz jako społeczność i obywatele w wielu rzeczach utknęliśmy w miejscu, a w niektórych punktach mamy wręcz regres. Więc nic dziwnego, że ciesząc się większym materialnym dobrobytem, narzekamy na inne rzeczy, głównie związane z sektorem publicznym.

Inaczej widzi to Jurij Zawadski, ukraiński polonista i poeta. Ma o Polsce opinię bardzo ciepłą: – Gdy przekraczam polską granicę, to czuję inną wolność niż ta, którą czuję w Ukrainie – mówi. – Wolność jest w Polsce uregulowana, obywatelska, wolność zaś ukraińska to świadomość, że dużo musisz załatwić sam, wymyślić swoje prawo i wyostrzyć umysł. Np. obecność drogi przewiduje możliwość przejazdu, a znaki drogowe czy inne ograniczenia są dla słabych i tchórzliwych. Tak, Polacy narzekają na Polskę, na bałagan i kłamstwa, ale ten mechanizm narzekania stworzył postęp – twierdzi. – Zresztą w Ukrainie narzeka się na wojnę i upadek gospodarki, a w Polsce raczej na brak szacunku do psów lub na drogie bilety na koncert Taylor Swift. I ważne, żeby się tym wszystkim cieszyć.

© ZIEMOWIT SZCZEREK

OLGA

Drenda: *Złodziejski czar*



Ależ to była ekscytująca przygoda. Przez chwilę cały świat żył – chyba bardziej pół żartem niż pół serio – sprawą wyjątkowo śmiałej kradzieży z Luwru. Niemal wszystko w tej historii przypominało scenariusz filmowy. Brawura czy wręcz bezczelność włamywaczy, którzy po prostu weszli przez niepilnowane okno. Fakt, że ot tak sobie, przy użyciu dostępnych wszystkim sprzętów budowlano-przeprowadzkowych i odrobiny pomysłowości własnej, można w ciągu kilku minut zwinąć skarby warte miliony. Wreszcie to, że całe wydarzenie miało miejsce w trakcie godzin zwiedzania. Trudno też o lepszą scenerię dla tak widowiskowego skoku. No i klejnoty! Kto by dzisiaj kradł klejnoty, skoro powstało tyle nowych, opłacalnych i niskowysiłkowych gałęzi przestępstw przeciwko mieniu, jak metoda na wnuczka lub na spadek od tajemniczego darczyńcy?

No właśnie. Fotoreporter Thibault Camus uchwycił moment, w którym obok policjantów przechodzi mężczyzna ubrany w duchu staromodnej elegancji, w kapeluszu i z parasolem. Oczywiście to natychmiast przyczyniło się do powstania pogłoski, że tajemniczy „Inspektor Clouseau" to w istocie prawdziwy detektyw, który będzie prowadzić śledztwo w sprawie zuchwałego włamania. Choć szybko wyjaśniło się, że stylowy przechodzień nie ma z tym nic wspólnego i prawdopodobnie był na miejscu zdarzenia przypadkiem, to ludzie przez chwilę korzystali z przyjemności życia marzeniem. Czego mogło dotyczyć to marzenie?



OLGA DRENDA

To piramida w Tychach, a nie w Paryżu, ale też ma wdzięk

Na tle ponurych, złowrogich czy przyczyniających się do tracenia wiary w ludzkość wiadomości, jakie docierają do nas każdego dnia, włamanie do Luwru przynosiło powiew świeżości swoim staromodnym czarem. To operacja, która mogłaby trafić do scenariusza „Różowej Pantery" albo którejś części „Ocean's Eleven", i to jeszcze w klimacie i z obsadą z lat 60. Niewątpliwie było w tym coś z epoki może niekoniecznie bardziej niewinnej, ale zdecydowanie bardziej eleganckiej. Cały scenariusz zachęcał do snucia wyobrażeń, że za włamaniem stoją szykowni ludzie o dobrych manierach i w nienagannie uszytych garniturach, a może i garsonkach, trzymający fason nawet podczas czynności o charakterze rabunkowym.

Oczywiście teraz, gdy już wiadomo mniej więcej, że ludzie, których zatrzymano, to nie Liga Niezwykłych Dżentelmenów, tylko mimo wszystko zwyczajniejsi przedstawiciele świata przestępczego z już pewnym dorobkiem, czar nieco pryska. Ale podobnie jak w przypadku przechodnia wziętego za detektywa, podążmy raczej śladem pewnego marzenia i tego, na jaki brak odpowiadały takie fantazje.

Bo wśród jakości, których wokół nas zdecydowanie brak, na pierwszym miejscu umieściłabym wdzięk. Obecnie wiele zjawisk, które nas otaczają, wśród których funkcjonujemy i z których korzystamy – od architektury, higieny życia codziennego, przez manieryzmy polityków, po internet – można zaklasyfikować albo jako pragmatyczne, zoptymalizowane i maksymalnie wydajne, albo dla odmiany megalomańskie, pełne przepychu i pychy. Taki mamy *zeitgeist* – jednocześnie agresywny, nadmiarowy i nijaki (choć szczęśliwie, jak wszystkie inne tendencje, i on minie). Wdzięk nie cieszy się dzisiaj wzięciem, bo w modzie jest pozowana obcesowość albo równie pozowana swojskość, więc na ich tle może wydawać się kaprysem, czymś niepoważnym. Oczywiście i on w końcu stanie się także zyskowny, bo, jak widać w naszej epoce tłuczenia po głowie, zaczyna zaznaczać się jego potrzeba.

Naturalnie nikt nie pochwala tu włamań do muzeów (co za absurdalne czasy, gdy odruchowo sięgam po „klauzulę żartobliwości", żeby na wszelki wypadek nie musieć tłumaczyć się z podejrzeń o zachęcanie do łamania prawa!). Ale też w klasyfikacji przestępstw to wydaje się niemal poczciwe, bo żaden człowiek nie odniósł obrażeń, a cała operacja, mimo swej spektakularności, przeprowadzona została wyjątkowo dyskretnie i można rzec – bezproblemowo, nie wliczając oczywiście strat finansowych dla Luwru i pechowej korony, którą rabusie, upuszczając, uszkodzili po drodze. To nadaje całości niemal niewinny, choć nie w sensie prawnym, wydźwięk. Do tego wspomniany filmowy czar – może zatem kino dzisiaj czaruje nas odrobinę za mało i całą robotę muszą wykonywać prawdziwi włamywacze? ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

TYGODNIK POWSZECHNY



JESIEŃ NAJLEPSZA NA CZYTANIE

Ten sam Tygodnik – różne możliwości. Wybierz, jak Ci wygodniej.

DOSTAWA DO DOMU

Poczta Polska

- Prenumerata kwartalna: 190 zł
- Prenumerata półroczna: 367 zł
- Prenumerata roczna: 687 zł
- Prenumerata roczna z 4 wydaniami specjalnymi: 787 zł

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/sklep | Masz pytania? Zadzwoń! 668 479 075

ODBIÓR W PACZKOMACIE

InPost

- Prenumerata kwartalna: 189 zł
- Prenumerata półroczna: 366 zł
- Prenumerata roczna: 686 zł

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

RITHIKA GOPAL / UNSPLASH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



MASSIMO DI VITA / MONDADORI PORTFOLIO / GETTY IMAGES

ŚWIAT

TRZY LATA MELONI

Choć na początku ciągnął się za nią postfaszystowski bagaż, Giorgia Meloni okazała się wiarygodną partnerką w polityce światowej i sprawną szefową rządu. Dlaczego więc Włochy wciąż tkwią w gospodarczym i mentalnym zastoju?

PAWEŁ BRAVO

Trzy lata nieprzerwanej władzy jednego gabinetu – to w Europie nic szczególnego. Chyba że mówimy o Włoszech.

Niestabilność parlamentarnych większości była objawem słabości państwa i systemu politycznego, który po 1945 r. narzucili Włochom alianci. Podobnie jak w Niemczech, nie chcieli dopuścić, by jedno ugrupowanie mogło łatwo przechwycić całość władzy. Mieli przed oczami zarówno zagrożenie komunistyczne, jak też wizję recydywy faszyzmu.

Giorgia Meloni świętuje trzecią rocznicę na czele rządu Włoch. Na zdjęciu: jako gość w programie telewizyjnym „Porta a Porta", Rzym, 7 października 2025 r.

Od tamtych czasów Włosi parę razy reformowali ustrój tak, by dało się wyłaniać mocniejsze większości w parlamencie. Ale nawet w tych warunkach Giorgia Meloni, świętująca właśnie trzylecie objęcia teki premiera (jest uczulona, by nie nazywać jej „premierką", uszanujmy to), zaliczyła zarazem inny prestiżowy wynik: jej rząd jest już trzecim co do długości urzędowania w powojennej historii Włoch.

Jest na dobrej drodze, by niebawem przeskoczyć ten rekord. Jak jej się to udaje?

POD OBSERWACJĄ | W dziejach włoskiej państwowości jest oczywiście jeszcze inny wynik w tym rankingu: ponad 20 lat rządów Benita Mussoliniego z lat 1922-43. Ale dla Meloni nie jest to z pewnością punkt odniesienia – akurat ona, z racji rodowodu swej partii, musiała przez te trzy lata uważać, by nie budzić takich skojarzeń.

Rządy objęła w październiku 2022 r. nie samodzielne, ale jako większościowy udziałowiec koalicji złożonej – poza jej Braćmi Włochami – z dwóch partii: Ligi Matteo Salviniego i Forza Italia pod wodzą Silvia Berlusconiego.

Salvini, polityk doświadczony, miał na koncie działania ksenofobiczne i autorytarne, a także długą historię kontaktów z Moskwą. Z kolei Forza Italia, tracąca wtedy na znaczeniu, przez ćwierć wieku była machiną władzy Berlusconiego. Jesienią 2022 r. był on u kresu sił i życia (zmarł w czerwcu 2023 r.), i miał sporo za uszami, gdy idzie o traktowanie państwa jak odnogi biznesu. Żeby nie wspominać o zażyłych stosunkach z Putinem.

Ale to z racji pochodzenia jej partii – Bracia Włosi wyrośli z dawnej młodzieżówki partii neofaszystowskiej, która przez powojenne dekady wegetowała na marginesie polityki – to Meloni, a nie jej partnerzy, musiała od pierwszego dnia na urzędzie działać w poczuciu, iż jest pod obserwacją.

POŚREDNICZKA | Dlatego, gdy idzie o kwestie międzynarodowe, Meloni od razu zaczęła działać jako spolegliwy partner: proatlantycki i antyrosyjski. Oraz przedstawicielka „cywilizowanej" prawicy, z którą europejski mainstream może współpracować – choćby jako pośredniczką w kontaktach z bliskim jej ideowo Viktorem Orbánem.

W tej roli wystąpiła np. w grudniu 2023 r., gdy trzeba było przekonać Orbána, aby „wyszedł na kawę" w momencie, gdy Rada Europejska głosowała nad otwarciem procedury akcesyjnej dla Ukrainy.

Po tym, jak do Białego Domu wrócił Donald Trump – którego jest, jeśli wierzyć jego rozmaitym słowom, nieraz żenującym, ulubioną polityczką w Europie – Meloni próbuje też raz po raz występować jako pośredniczka w kontaktach Europy z Waszyngtonem. Nie przyniosło to zbyt wiele konkretów (choćby w kwestii ceł), ale trzeba przyznać, że Meloni zachowuje się lojalnie wobec europejskich partnerów.

WSPÓLNY JĘZYK | Po jej dojściu do władzy sporo mówiło się o tym, że europejska mainstreamowa centroprawica będzie ją „przeciągać" na dobrą stronę mocy (czego nie chciała lub nie umiała robić z PiS-em, należącym w Brukseli do tej samej politycznej „rodziny").

Okazało się jednak, że nie ma takiej potrzeby. Gdy kilka dni temu Orbán w trakcie wizyty w Rzymie znów atakował Unię, to Meloni wymownie milczała. A do mediów poszedł zaraz nieoficjalny przekaz, że to jest bardzo nie po jej myśli.

Zwłaszcza z szefową Komisji Europejskiej Meloni znalazła wspólny język. Cały centroprawicowy establishment w Brukseli jest otwarty na współpracę z nią, choćby w polityce migracyjnej. Co było widać, gdy np. Ursula von der Leyen osobiście żyrowała inicjowane przez Rzym układy z dyktatorem Tunezji (raczej sprzeczne z deklarowanymi przez Unię wartościami). Miały skłonić go, by ograniczał liczbę migrantów, odpływających do Włoch z plaż jego kraju.

PARTIA RYGORYZMU | Drugim polem, na którym Meloni musiała się wykazać, była polityka gospodarcza. Wcześniej Bracia Włosi nigdy nie uczestniczyli w koalicjach rządowych – partia budowała się na sprzeciwie nawet wobec tzw. rządu technicznego, kierowanego w latach 2021-22 przez Mario Draghiego, byłego szefa Europejskiego Banku Centralnego (wyciągnął on kraj z pocovidowej zapaści i przyczynił się do stworzenia unijnego funduszu odbudowy, którego Włochy stały się głównym beneficjentem – dostały prawie 200 mld euro).

Wcześniej Meloni nieraz pomstowała na kolejne rządy, jako na powoływane rzekomo nie przez wyborców, lecz przez agencje ratingowe i dyktat rynków finansowych. Jednak po tym, jak została premierem, Bracia Włosi okazali się nagle partią dyscypliny i rygoryzmu.

Dawny premier Mario Monti, który w 2011 r. też kierował gabinetem technicznym (i wdrażał drakońskie oszczędności w trakcie kryzysu zadłużeniowego strefy euro), teraz ironicznie wyraża satysfakcję, że działania rządu Meloni nie odbiegają od jego polityki.

NA TLE MACRONA | Giorgii Meloni udało się więc zbić deficyt budżetowy z ponad 8 proc. PKB w 2022 r. do 3 proc. (tj. w zgodzie z unijnym limitem). Włochy zostały nagrodzone za to podniesieniem ratingu przez znienawidzone dawniej agencje – dziś fakt ten jest z dumą obnoszony w przekazach medialnych rządu. Tym bardziej że jednocześnie sąsiednia Francja ma ogromny deficyt i jest degradowana w ratingach.

Oprocentowanie obligacji skarbowych Włoch – długo ocierających się o śmieciowy status – zrównało się dziś z francuskimi. Meloni wydaje się na tle Macrona ucieleśnieniem stabilności. Nie tylko zresztą w finansach: jej koalicja ma niezmiennie wysokie notowania sondażowe, wręcz wyższe niż w momencie objęcia władzy (zwykle ponad 40 proc.). A zatem pewność spokojnych rządów do końca kadencji w 2027 r.

KRAJ W ZASTOJU | Sęk w tym, że sukces w uzdrowieniu finansów to fasada, za którą kryje się gospodarka w recesji. Krytycy zarzucają Meloni, że zarządzanie sumami z Unii i pilnowanie budżetu maskują brak pomysłu na jej ożywienie. Rząd zrzuca z helikoptera worki z unijnymi miliardami na kraj, który nie jest w stanie przekuć tego impulsu na trwały wzrost. Gdy pieniądze skończą się w 2026 r., Włosi zostaną z faraońskimi inwestycjami.

Co mogłoby udrożnić wiele kanałów rozwoju, to uproszczenie barier prawnych i biurokratycznych, w pewnych branżach konserwujących feudalne *status quo* i podział łupów sprzed dekad. Ale to wymagałoby naruszenia układów i interesów. Czasem nawet niepopartych siłą pieniądza i lobbingu, ale hałaśliwych ↦

↦ – i wspieranych przez mniejsze partie koalicji. Choć Liga i Forza Italia nie zagrażają Meloni, to stale podkopują jej pozycję w mniejszych sprawach, by zaznaczyć swą odrębność.

Czasem wydaje się, jakby Meloni prowadziła grę na „zjedzenie przystawek", zwłaszcza Ligi (aby przejąć jej umiarkowanych polityków, doświadczonych w rządzeniu ważnymi regionami na północy). Także po to, by odciąć radykalne skrzydła w swej partii, zostawiając na śmietniku faszystowskie pierwociny. Na razie jednak niewiele z tego wynika, a wybory są dopiero za dwa lata.

BAZA I NADBUDOWA | Meloni przekonała się, iż nie opłaca się wzbudzać kontrowersje czy spieszyć z reformami. A także, że przykre decyzje lepiej podejmować dopiero pod mocnym naciskiem rzeczywistości. Nieraz porównuje się to do sposobu na długie trwanie Angeli Merkel. Polityka w obszarze „bazy" stawia zatem na bezruch, kredytowany przez pieniądze z Unii (obdarzanej deklaratywną nieufnością).

Wydaje się, że przynajmniej część partii Giorgii Meloni potrzebuje jednak igrzysk. Zresztą sama pani premier w swoim przekazie – prócz dumy z pozycji międzynarodowej i uzdrowienia finansów – lubi się chwalić radykalnymi krokami na rzecz suwerenności kraju i tradycyjnych wartości („suwerenizm" to włoski odpowiednik tego, co w Polsce nazwalibyśmy narodowym populizmem).

W tym względzie szybko objawił się „syndrom krótkiej ławki" partii po raz pierwszy będącej u władzy. Brak jej ludzi umiejących sprawnie przekładać postulaty ideologiczne na spójne prawo i wiedzących, jak przeprowadzać zmiany przez labirynty systemu ustrojowego.

Dlatego większość zmian „w nadbudowie" – tj. w duchu sławnej deklaracji Meloni sprzed pięciu lat: „Jestem kobietą, jestem matką, jestem Włoszką, jestem chrześcijanką. Nie odbierzecie mi tego" – sprowadza się do widowiskowych połajanek. Nie daje za to legislacyjnych konkretów, które przekształcałyby włoskie państwo w stronę autorytaryzmu czy cofnęłyby szeroko pojęte prawa mniejszości, o które toczą się tzw. wojny kulturowe.

„MODEL ALBANIA" | Trudno powiedzieć, na ile to objaw nieudolności mniemanych zamordystów, a na ile zdrowego trójpodziału władzy.



DOMENICO CIPPITELLI / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

Z instynktem samorodnej populistki wywodzącej się z biednych rzymskich przedmieść, **Giorgia Meloni sprawnie punktuje oderwanie od życia swoich rywali z opozycji.**

To władza sądownicza podcięła sztandarowy projekt Meloni z dziedziny suwerenności – czyli rozpatrywanie wniosków migrantów wyłapanych na morzu w Albanii, poza terytorium Włoch (podobne do nieudanego „modelu Rwanda" brytyjskiego premiera Rishiego Suwaka). Nagłaśniając ten pomysł, rząd zbudował za duże pieniądze dwa obozy, które stały przez rok puste, bo sądy kolejno uznawały niezgodność tego modelu z prawem.

Z podobnym fiaskiem proceduralnym lub znacznym okrojeniem spotykały się kolejne inicjatywy, którym można by zarzucić ingerencje w swobody obywatelskie.

Na poziomie na razie spekulacji pozostaje inne, potencjalnie poważne naruszenie standardów – pojawiły się poszlaki, że władze szpiegowały dziennikarzy i działaczy organizacji prouchodźczych oprogramowaniem podobnym do stosowanego w Polsce Pegasusa.

RIPOSTA | Niezawisłe wciąż sądy i dociekliwe media nie mają jednak do pomocy sprawnej opozycji. Partia Demokratyczna – największa formacja na lewo od centrum – jest zajęta sobą. Na wybór kobiety na swoją szefową zdecydowała się dopiero pod naciskiem faktu, iż to prawica zdobyła fotel premiera dla kobiety. Zadbano przy tym, by nowa przewodnicząca była osobą o słabej pozycji i miernych zdolnościach. Tak, by nie naruszała wpływów partyjnych baronów, zwykle mężczyzn w wieku przedemerytalnym.

Przez ostatnie półrocze w przekazie Partii Demokratycznej dominowała kwestia zbrodni w Strefie Gazy – owszem, we Włoszech ten temat wyciągał na ulice znaczne tłumy demonstrantów, ale nie przydawał się, by wygrywać wybory w kilku ważnych regionach, jakie odbyły się tej jesieni.

Ze swoim instynktem samorodnej populistki z biednych rzymskich przedmieść, Meloni sprawnie punktuje to oderwanie od życia swoich rywali. Gdy Partia Demokratyczna i związki zawodowe ogłosiły strajk generalny w solidarności z Gazą w pewien piątek, ripostowała, że nie zmienia się świata na lepsze, robiąc sobie długi weekend.

Równie celnie i bezlitośnie obraca na swoją korzyść seksistowskie uwagi, jakie wymykają się politykom opozycji (w rodzaju „kurtyzana Trumpa"). O te zaś nie jest trudno we włoskiej polityce, wciąż bardzo patriarchalnej. Także na lewicy.

MIEJSCE DO ŻYCIA | Media społecznościowe należące do Meloni już teraz zmieniły nazwy swoich profili na „Giorgia2027". Ten optymizm w szykowaniu się do następnych wyborów skrywa mnóstwo powodów, dla których dobra passa Meloni może się skończyć.

Przez minione trzy lata Włochy nie posunęły się w stronę faszyzmu (w każdym razie nie bardziej, niż kilka innych krajów Europy), ale nie stały się lepszym miejscem do życia (jeśli mierzyć to np. jakością usług publicznych).

Wprawdzie opozycja raczej przez te dwa lata się nie pozbiera i nie stworzy wiarygodnej alternatywy. Ale czy to wystarczy, jeśli skończą się pieniądze, a zaczną kumulować się problemy, dotąd spychane na bok „metodą Angeli Merkel"?

©℗ PAWEŁ BRAVO



PETER FORSBERG / EU / ALAMY / BE&W

Jednym z powodów napięć z Rosją jest demontaż ostatnich miejsc pamięci z czasów sowieckich, które zachowały się jeszcze w Estonii. Na zdjęciu: wystawa w Estońskim Muzeum Historycznym w Tallinnie, gdzie zdemontowane rzeźby i pomniki mają przypominać o czasach sowieckiej okupacji.

Wojna cieni nad Bałtykiem

FILIP RUDNIK Z TALLINNA

SZPIEGOSTWO | Wraz z inwazją przeciw Ukrainie, Rosja nasiliła szpiegowską i dywersyjną aktywność w Estonii. Jednak trafiła kosa na kamień: estońska skuteczność w łapaniu rosyjskich agentów jest legendarna. Przyjrzyjmy się jej.

Ich nazwiska można wymieniać długo – nazwiska rosyjskich agentów ujętych przez estońskie służby. A i tak będą to tylko ci, o których wiadomo opinii publicznej. Estończycy łapią ich ze złowieszczą regularnością. Nie ma roku, w którym media nie donosiłyby o aferach szpiegowskich.

Same zatrzymania często trudno połączyć wspólnym mianownikiem – prócz tego oczywiście, że szpiedzy i dywersanci działali z polecenia Kremla. Wśród znanych skazanych przypadki różnią się między sobą – sposobem „zadaniowania" agenta, motywacją itd. W ich demaskowaniu niezmiennie pierwsze skrzypce gra Estońska Służba Bezpieczeństwa Wewnętrznego – Kaitsepolitsei, w skrócie KaPo.

Pożytki z transparentności

Opowiadając o specyfice swojej roboty, Estończycy podkreślają jedno: przejrzystość. Paradoksalnie, to właśnie otwarta komunikacja na temat aktywności KaPo wpływa pozytywnie na skuteczność – przede wszystkim poprzez uświadamianie społeczeństwa, z jakim niebezpieczeństwem ma dziś do czynienia.

Rozmawiając o tej kwestii podczas niedawnej konferencji w Tallinnie, jeden z przedstawicieli estońskiej administracji ujął to w ten sposób: „To bardzo ważne, aby agenci byli sukcesywnie wyłapywani i skazywani w transparentnych procesach. Jeżeli nie zagraża to bezpieczeństwu innych operacji, należy też ujawniać ich tożsamość, żeby społeczeństwo wiedziało, że to zagrożenie czyha zewsząd".

Faktycznie, patrząc na profile zatrzymanych można dojść do wniosku, że szpiedzy czają się wszędzie. Rosjanie werbują zarówno osoby o wątpliwej reputacji (przemytników, pospolitych przestępców), jak też cieszące się posłuchem społecznym. Ujawnianie tych drugich rezonuje szczególnie mocno.

Pokłosie czasów sowieckich

Najgłośniejszym – patrząc z punktu widzenia szkód, jakie wyrządził swojemu krajowi – był jak dotąd przypadek Hermana Simma. Był on specyficzny – jako pokłosie czasów, gdy Estonia była częścią Związku Sowieckiego.

Simm, rocznik 1947, od młodości służył w milicji Estońskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. W chwili, gdy w 1991 r. kraj odzyskał niepodległość, był więc dopiero po czterdziestce i w stopniu pułkownika. Podjąwszy pracę w nowej policji, zweryfikowany pozytywnie, szybko awansował do jej komendy ↦

↦ głównej – był utalentowanym w swoim rzemiośle fachowcem.

Według dostępnych informacji Simm został zwerbowany przez rosyjską Służbę Wywiadu Zagranicznego w 1995 r. Ściślej: zwerbowany ponownie. Motywacje dla podjęcia przez niego współpracy były bowiem wielopiętrowe: nie tylko pieniądze, ale także szantaż – Rosjanie grozili mu ujawnieniem faktu jego wcześniejszej współpracy z KGB, którą miał podjąć co najmniej od 1985 r. Pewną rolę odegrać miały też ambicje – Rosjanie mieli obiecać Simmowi ciche wsparcie dla jego kariery.

Był cennym aktywem. Po 2000 r. został szefem departamentu w resorcie obrony, gdzie zajmował się, o ironio, ochroną poufnych danych. Miał dostęp do tajnych akt, z którymi jeździł do Kwatery Głównej NATO i tam wymieniał się nimi z oficjelami z innych państw.

Wpadł w 2008 r. za sprawą prowokacji: podejrzewając go, KaPo podsunęła mu spreparowane akta, które przesłał Rosjanom. Gdy KaPo upewniła się, że trafiły one tam, gdzie trafić miały, aresztowała Simma. Został skazany na 12,5 roku więzienia. Kilka lat temu zwolniono go warunkowo.

Aktywizacja po 2022 roku

Sukces, jakim dla Rosjan było pozyskanie Simma, trudno im dziś powtórzyć – co nie oznacza, że nie próbują. Estończycy zmagają się zarówno z wywiadem wojskowym (GRU), wywiadem zagranicznym (SWZ), jak też z Federalną Służbą Bezpieczeństwa (FSB).

Co ciekawe, ta ostatnia instytucja – choć mająca przede wszystkim zadania kontrwywiadowcze i będąca fundamentem aparatu terroru Putina – działa też na terenie wszystkich państw byłego Związku Sowieckiego. Tak jakby Moskwa wciąż nie chciała przyjąć do wiadomości, iż nie są to już terytoria jej podległe.

Jak wynika z dostępnych publicznie informacji KaPo, Kreml wydatnie zintensyfikował stosowanie swoich tzw. środków aktywnych – czyli ofensywnych działań służb specjalnych – po lutym 2022 r., gdy zaczęła się pełnoskalowa inwazja na Ukrainę.

Przy czym Rosjanie coraz częściej próbują rekrutować agentów zdalnie – szukając materiału do werbunku zarówno wśród obywateli danego kraju, jak też cudzoziemców. Dotyczy to i Polski, i Estonii. A bierze się przede wszystkim z większego nadzoru europejskich służb nad etnicznymi Rosjanami i nad rosyjskim personelem dyplomatycznym.

Kreml popełnia typowy dla siebie błąd poznawczy.

Spodziewa się, że zachodnie społeczeństwa pękną, bo są wewnętrznie słabe. Tymczasem świadomość, z jakimi atakami ma się do czynienia, może wzmacniać ich mobilizację.

Wszystko (prawie) dozwolone

Dla Estończyków przyczyna tej wzmożonej aktywności jest jasna – bierze się z przeświadczenia Rosjan, że walczą nie tylko z Ukrainą, lecz że są w stanie niewypowiedzianej wojny z Zachodem.

Stąd wszystkie działania mieszczące się w logice wojny – ale bez otwarcia ognia w sposób jawny – mają dla nich uzasadnienie. Mowa tu bowiem nie tylko o kampaniach dezinformacyjnych czy atakach hakerskich, które miały miejsce także wcześniej, ale również o aktach fizycznej dywersji czy atakach na cele osobowe.

Rosyjskie „aktywa" dysponują więc polityczną autoryzacją do prowadzenia każdego z działań, których celem jest osłabienie państw-adwersarzy. Czyli wszystkich tych, które stoją na przeszkodzie dla urzeczywistnienia celów Moskwy – pokonania Ukrainy i zdemolowania ładu politycznego w Europie i na świecie, nie tylko tym zachodnim.

Atak na polityka

Ograniczmy się do roku ubiegłego. W 2024 r. KaPo informowała o aresztowaniu kilkunastu osób oskarżonych o współpracę z GRU. W swoim ostatnim raporcie rocznym estoński kontrwywiad jako szczególnie prawdopodobne ryzyka wyszczególnia działalność dywersyjną: sabotaże infrastruktury i celowe podpalenia.

Zatrzymani w 2024 r. parali się właśnie tego rodzaju aktywnością. Mając na celu pogłębienie społecznych niepokojów i zademonstrowanie rzekomej własnej wszechmocy, siatka agentów zdewastowała m.in. pomnik upamiętniający Estończyków walczących wespół z hitlerowskimi Niemcami przeciw Sowietom w 1944 r.

To jednak była tylko przygrywka. Agenci ośmielili się też na coś bardziej groźnego: zdemolowali samochód ministra spraw wewnętrznych Lauriego Läänemetsa (w krajach demokratycznych ustalenie miejsca zamieszkania polityków czy urzędników nie jest trudne).

Komentując potem sprawę dla tutejszych mediów, Läänemets przywołał moment, w którym poinformował o tym incydencie kolegów z państw wschodniej części Unii Europejskiej. Wspominał, że wiadomość podziałała na nich mrożąco – nikt wcześniej nie przypuszczał, że Rosjanie będą gotowi wziąć na cel decydenta o tak wysokiej randze. Bo nawet jeśli chodziło tylko o auto, przekaz był jasny – wiemy, gdzie żyjesz ty i twoja rodzina.

Polowanie na grube ryby

Wandalizm to tylko jeden z przejawów działania rosyjskich „środków aktywnych". Bo Kreml wciąż działa też długofalowo, próbując pozyskać aktywa o dużej wartości wywiadowczej.

Jako wyjątkowo cenne postrzegają te osoby, które cieszą się społecznym zaufaniem. W niespełna półtoramilionowym kraju – z czego jedną piątą stanowią etniczni Rosjanie (osiedleni tu w czasach sowieckich i ich potomkowie) – za szczególnie perspektywicznych uchodzą ci z rosyjskojęzycznych, którzy mają opinię zintegrowanych z Estonią.

W październiku na blisko 5 lat odsiadki skazano 24-letniego Iwana Dmitrijewa, rosyjskojęzycznego Estończyka i aktywnego członka Estońskiej Ligi Obrony (to odpowiednik polskich Wojsk Obrony Terytorialnej).

Dmitrijew – udzielający się społecznie, krytykujący Rosję za atak na Ukrainę, aktywny także sportowo – został zwerbowany przez FSB. Miał przekazywać informacje na temat „terytorialsów" i życia w przygranicznym mieście Narwa (newralgicznym także dlatego, że większość mieszkańców stanowią rosyjskojęzyczni).

Iwan Dmitrijew okazał się dla Rosjan słabą inwestycją – wpadł zaledwie dwa miesiące po tym, jak nawiązał kooperację. Kontrwywiad zatrzymał go chwilę przed wyjazdem do Rosji, gdzie miał odbyć spotkanie z prowadzącymi z FSB.

Sprawa Dmitrijewa nie jest wyjątkowa. Rozmówcy „Tygodnika" przypominają kazus innego rosyjskojęzycznego: oficera armii estońskiej Denisa Metsavasa. Został ujęty w 2018 r. W jego przypadku kooperacja z Rosjanami była bardziej owocna – KaPo zdemaskowała go po ok. 10 latach od werbunku. Dostał 15 lat więzienia.

Po co GRU profesor?

Na tym tle dziwić może – przynajmniej w pierwszym odruchu – sprawa innego agenta, zwerbowanego przez GRU: Wiaczesława Morozowa, Rosjanina i uznanego profesora politologii na Uniwersytecie w Tartu. Pomimo mieszkania przez długie lata w Estonii, Morozow wciąż posiadał rosyjski paszport.

Jego zatrzymanie w 2024 r. było na tyle szokujące, że część zachodniego świata akademickiego wzięła go w obronę, oskarżając estońskie służby o rusofobię. Co ciekawe, Morozow zawodowo badał Rosję z pozycji teorii postkolonialnej, co teoretycznie powinno utrudniać pałanie sympatią wobec putinowskiego systemu.

– To był dla mnie szok, postrzegałem go trochę jak mojego naukowego idola – mówi „Tygodnikowi" jeden z dawnych studentów Morozowa (przed laty pisał u niego pracę magisterską). – Czasami zachowywał się jak schwarzcharakter z filmów o Jamesie Bondzie. Wpatrywał się w okno bez słowa, kiedy opowiadałem mu o konspekcie pracy. Nie wiem, o czym wtedy myślał. Sądziłem, że jest po prostu mało uspołecznionym geniuszem.

Jaką wartość dla rosyjskiego wywiadu wojskowego miał profesor specjalizujący się w dyscyplinie o ograniczonym zastosowaniu praktycznym? A jednak: Morozow był cenny dzięki swoim szerokim kontaktom w świecie akademickim. Ze względu na międzynarodową renomę jego uczelni, przez jego salę wykładową przeszły setki studentów. Wielu z nich zajmuje dziś istotne stanowiska w administracji krajów, z których pochodzą.

Dziś wiemy, że Morozow został zwerbowany w latach 90. XX w., gdy studiował w Petersburgu, i że na współpracę zgodził się z przekonania; chciał służyć Rosji.



KAITSEPOLITSEJAMET

HERMAN SIMM, *najsłynniejszy jak dotąd rosyjski szpieg aresztowany w Estonii, zdradzał tajemnice estońskiego ministerstwa obrony. Na zdjęciu: zaraz po zatrzymaniu, 19 września 2008 r.*

Ujawnienie werbunku takich osób jak Dmitrijew czy Morozow ma przy tym wymiar również polityczny: dla wielu Estończyków to dowód na daremność prób integracji obywateli rosyjskojęzycznych. To także uderzenie w spoistość estońskiego społeczeństwa.

Aktywa zupełnie otwarte

Rozmówcy „Tygodnika" zaznaczają, że aktywność szpiegowska to jedno – równie niepokojące jest to, co Rosjanie robią w sposób zupełnie otwarty. Mianowicie: ustawiczne sączenie prorosyjskiej narracji do głów wyborców. I to w społeczeństwie, które uchodzi jednak za uodpornione na taki przekaz.

Przykładem tej działalności jest marginalna partia Koos (po estońsku: Razem), którą założyli rosyjski biznesmen Oleg Iwanow i Estończyk Aivo Peterson. Dziś ten pierwszy jest w Rosji, dokąd uciekł w 2023 r., a drugi jest w areszcie – ma zarzut zdrady stanu. Dwa lata temu Peterson podróżował na okupowaną część Ukrainy, gdzie nagrywał prorosyjskie filmy. „Wsławił" się też teorią, że masakra w Buczy była ukraińską ustawką.

Jako wciąż formalnie nieskazany, Peterson uczestniczy w życiu politycznym. W wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2024 r. dostał 11 tys. głosów (ok. 3 proc. wszystkich oddanych) – i to pomimo że kandydował zza krat.

Ugrupowanie, za którym stoi Peterson, stosuje zgrane slogany: są za szeroko pojętymi zmianami i przeciw „systemowi". Przeglądając profile w sieciach społecznościowych widać, że Koos prezentuje też znane skądinąd narracje: o ekspansjonizmie NATO, ukraińskich uchodźcach-darmozjadach i skorumpowaniu Zełenskiego. W rozumieniu przedstawicieli tej partii tylko oni sprzeciwiają się rozpowszechnionej w Estonii rusofobii.

Cel: dezintegracja społeczeństw

Wprawdzie Koos nie zdołała poprawić wyniku w niedawnych wyborach samorządowych – dostała 0,8 proc. głosów i nawet w prowincji Virumaa Wschodnia, zdominowanej przez rosyjskojęzycznych, zdobyła tylko 4,1 proc., co trudno nazwać sukcesem. W jednym z tamtejszych miast udało się im wprowadzić do samorządu trzech członków – choć ugrupowanie mierzyło znacznie wyżej. Jednak, jak podkreśla w rozmowie z „Tygodnikiem" wykładowca Uniwersytetu Tallińskiego (prosił o anonimowość), samo zaistnienie takiego dyskursu – na fali frustracji establishmentem politycznym – to już dla Rosji zysk.

– W połączeniu z działaniami w cieniu może osiągnąć wymierny efekt w postaci destabilizowania sytuacji społecznej – ocenia mój rozmówca. Nie sposób pominąć uniwersalności tej teorii: pożary czy niewyjaśnione awarie infrastruktury podbijają bębenek tym, którzy żerują na zaniepokojeniu obywateli.

To kremlowska metoda: siać strach tak, aby społeczeństwo uległo dezintegracji. Szpiegowskie siatki i przychylni Kremlowi politycy mają ułatwiać osiągnięcie tego celu.

Pytanie tylko, czy w wypadku Estonii – jak i społeczeństw innych państw, które reżim Putina uznaje za wrogie – takie podejście Rosjan nie jest kontrproduktywne. Świadomość, z jakiego rodzaju atakami ma się do czynienia, może przecież wzmacniać mobilizację – i społeczną, i instytucjonalną.

Kreml może więc wciąż popełniać – typowy dla siebie – błąd poznawczy. Spodziewa się, że zachodnie społeczeństwa pękną, bo są wewnętrznie słabe. W tę słabość rosyjscy decydenci wierzą silnie – i często wbrew obiektywizmowi.

© FILIP RUDNIK

Autor jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, stale współpracuje z „TP".

Śmierć przy szachownicy

ŁUKASZ KWIATEK

CYBERPRZEMOC | Dla środowiska szachowego, a także dla zwykłych pasjonatów tej gry wiadomość o jego nagłym odejściu to szok, z którego nie możemy się otrząsnąć. Dlaczego Daniel Naroditsky był ważny dla tak wielu z nas?

Usłyszałem kiedyś od wrażliwej osoby: „Gdyby ktoś mnie fałszywie oskarżył, nie poradziłbym sobie z tym. Zabiłbym się". Te słowa wracają do mnie za każdym razem teraz, gdy widzę na YouTubie kolejne i nieustające reakcje na śmierć Daniela Naroditsky'ego.

Ten 29-letni Amerykanin z Kalifornii całe swoje życie, tak wcześnie przerwane, poświęcił szachom. Arcymistrz szachowy, a także edukator, internetowy streamer, komentator. Przez wielu uznawany za najlepszego w swoim fachu.

Kim był Naroditsky? I co jego nagłe odejście mówi o współczesnym świecie, nie tylko tym szachowym?

MISTRZ | Jako talent szachowy Naroditsky, rocznik 1995, zabłysnął kilkanaście lat temu. Najpierw w 2007 r. triumfował w Młodzieżowych Mistrzostwach Świata do lat 12. Sześć lat później został najlepszym amerykańskim zawodnikiem w kategorii do lat 20. Miał zaledwie 14 lat, gdy opublikował swoją pierwszą szachową książkę. Potem dołożył kilka kolejnych. Współpracował z pismami szachowymi. Studia historyczne ukończył na Uniwersytecie Stanforda.

Wprawdzie ekspresowo i trwale przebił się do dwusetki najlepszych zawodników na świecie w szachach klasycznych, jednak największą karierę robił w rozgrywkach szybkich i błyskawicznych, zwłaszcza tych online.

To właśnie działalność internetowa przyniosła mu największą popularność. Jego profile na YouTubie i Twitchu śledziło łącznie prawie 850 tys. osób. Swoje transmisje prowadził w kilku językach.

Wielka rzesza tych, którzy śledzili te profile, to jego materiałom edukacyjnym zawdzięcza poprawę jakości swojej gry – analizom debiutów, końcówek czy taktyk. Dziesiątki tysięcy śledziły wielogodzinne transmisje z gier, gdy na bieżąco wyjaśniał posunięcia – nawet jeśli na całą partię miał do wykorzystania zaledwie od jednej do trzech minut.

Robił tak również podczas gromadzących najlepszych graczy na świecie regularnych turniejów online – organizowanych przez serwis chess.com (w Titled Tuesday, czyli wtorkowych zawodach dla utytułowanych). Triumfował w nich dwukrotnie.

CYBERBULLING | Zmarł nagle 19 października. Nie zdążył już świętować swoich 30. urodzin.

Nie znamy okoliczności jego śmierci – oficjalnej przyczyny nie podano. Wiemy jednak, jak wyglądało w ostatnim czasie jego życie: zatruwały mu je notoryczne pomówienia, które pod adresem Naroditsky'ego kierował Rosjanin Władimir Kramnik – jego były idol i szachowy mistrz świata z lat 2000-2006. Zarzucał on publicznie Naroditsky'emu, jakoby oszukiwał, tj. korzystał z podpowiedzi komputera podczas gry.

Od kilkunastu miesięcy Kramnik, starszy o 20 lat od Naroditsky'ego, dopuszczał się wobec niego w istocie czegoś, co spełnia kryteria publicznego cyberbullingu – prześladowania, właściwie już nękania za pośrednictwem sieci.

Zaszczuty Naroditsky coraz bardziej wycofywał się z publicznej aktywności. Spadły mu wyniki, wielokrotnie też mówił o tym, jak trudno mu sobie poradzić z absurdalnymi oskarżeniami. One nie miały żadnych podstaw: Kramnik po prostu uważał, że Naroditsky ma zbyt dobre wyniki z graczami z czołówki, a gdy gra w sieci, to często odwraca wzrok (co Naroditsky notorycznie robił także, grając przy szachowej desce – wolał kalkulować ruchy w głowie, bez zerkania na szachownicę).

Swój festiwal jadowitych pomówień – jadowitych, bo oskarżenia nigdy nie były formułowane wprost, lecz sączone stopniowo w formie „retorycznych pytań": czy serie wygranych Naroditsky'ego to na pewno tylko mieszanina umiejętności i przypadku – Kramnik zaczął tuż po tym, jak Naroditsky spektakularnie pokonał go w jednej z partii.

ŻAŁOBA | Dla środowiska szachowego, a także dla zwykłych pasjonatów szachownicy – jak autor tego tekstu – wiadomość o śmierci Naroditsky'ego to szok, z którego wielu nadal nie może się otrząsnąć.

Algorytmy YouTube'a podsyłają mi dziesiątki materiałów na ten temat: to morze łez wylewanych przez jego współkomentatorów. To także archiwalne materiały z jego udziałem, np. gdy ze spuszczoną głową, w milczeniu, pozwala przeżyć porażkę swojemu rywalowi – starszemu i legendarnemu szachiście, który wybuchnął płaczem po pełnej dramaturgii końcówce.

To także świadectwa przyjaciół, którzy mówią o jego dobrym sercu. To monologi wygłaszane przez zrezygnowanych szachowych analityków. To petycje ludzi ze środowiska, aby cyberprześladowcę spotkała jakaś kara. Jakakolwiek.

Wyjątkowo tragiczne – i potęgujące szok – jest to, że Naroditsky najwyraźniej zmarł w przekonaniu, iż jego reputacja jest zniszczona. Tymczasem ogromna większość osób traktowała Kramnika jak obłąkanego. Albo przynajmniej jak awanturnika, który próbuje światu o sobie przypomnieć. A w każdym razie – za kogoś, kogo zarzuty są niewarte uwagi.

Swoich wyznawców, powtarzających jego pomówienia, Kramnik miał niemal wyłącznie wśród rodaków, Rosjan (tym nie przeszkadzał fakt, iż dla Naroditsky'ego, urodzonego w USA, w rodzinie imigrantów ze Związku Sowieckiego, rosyjski był drugim językiem ojczystym).

Największe szachowe sukcesy Kramnik odnosił na przełomie wieków XX i XXI – wtedy, gdy Naroditsky zaczynał swoją fascynację szachami. To właśnie Kramnik w 2000 r. zdetronizował swego rodaka Garry'ego Kasparowa, który zdominował szachy na wcześniejsze półtorej



BEAUTIFUL SPORTS / MEURER / IMAGO SPORT / FORUM



LENNART OOTES / GETTY IMAGES

Powyżej: Władimir Kramnik podczas drużynowych mistrzostw świata w szachach błyskawicznych. Düsseldorf, 27 sierpnia 2023 r.

Obok: Daniel Naroditsky podczas indywidualnych mistrzostw świata w szachach szybkich. Nowy Jork, 28 grudnia 2024 r.

dekady. Zawodnikiem ze ścisłej czołówki był długo – w 2016 r. był już po czterdziestce, gdy nadal klasyfikowano go jako drugiego najsilniejszego gracza na świecie.

ATMOSFERA | Mówiąc o zachowaniu Kramnika, powiedzieć trzeba też o klimacie, w jakim osadzone były jego zarzuty.

W ostatnich latach środowiskiem szachowym raz po raz wstrząsają afery dopingowe. Na oszukiwaniu przy pomocy komputerów przyłapywano nawet arcymistrzów (m.in. Ukraińca Kiriłła Szewczenkę). Nielegalna „pomoc", trudna do wykrycia, stała się głównym tematem w dyskusjach. Najpopularniejsza platforma do grania, Chess.com, rozwinęła własne algorytmy, które wykrywają oszustów. Wiadomo, że po cichu zawiesiła konta dziesiątkom profesjonalnych zawodników, którzy łamali zasady fair play.

Debata nad elektronicznym dopingiem jest kluczowa dla tej dyscypliny, bo nawet sporadyczna pomoc komputera (kilka podpatrzonych posunięć w partii) całkowicie wypacza sens rywalizacji. Z komputerami żaden człowiek nie jest w stanie rywalizować.

W takiej atmosferze podejrzliwości i powszechnego przekonania, że przynajmniej w rozgrywkach sieciowych oszuści są wszechobecni, swoją prywatną antydopingową krucjatę kilka lat temu zaczął w mediach społecznościowych Kramnik.

Rosjanin rozkręcał się z miesiąca na miesiąc. Obecnie oczernia już każdego, kto się nawinie. Jego ofiarami padli gracze z czołówki, np. David Navara i Hikaru Nakamura. Pierwszy zgłosił sprawę Międzynarodowej Federacji Szachowej (FIDE) i wyznał, że zarzuty tak nim wstrząsnęły, iż miewał myśli samobójcze.

Nakamura zaś – najpopularniejszy streamer szachowy w internecie i zawodnik o drugim najwyższym rankingu na świecie – ograniczył się do stwierdzenia, że Kramnik oszalał, w szachy gra już kiepsko i powinien się zamknąć.

POKŁOSIE | Rosjanin jednak nie zamknął się nawet teraz, po śmierci Naroditsky'ego. Natomiast Arkadij Dworkowicz, obecny szef FIDE (i były wicepremier Rosji), od którego wszyscy w środowisku oczekiwali jakiejś reakcji, zareagował, owszem, ale atakiem na bliskich Naroditsky'ego – zarzucił im, jakoby nie dawali mu wystarczającego wsparcia.

Od współpracowników Władimira Putina trudno pewnie oczekiwać wysokich standardów moralnych. Jednak Dworkowicz mógłby choć doczytać, że przyjaciele byli przy Naroditskym do samego końca. Gdy w środku nocy przed śmiercią prowadził transmisję online z maratonu grania w szachy, jeden z nich przyjechał do niego do domu i przekonał go, aby przerwał streaming.

Mogli go zaalarmować widzowie, bo Naroditsky zachowywał się na wizji jak człowiek przechodzący załamanie nerwowe. W czasie transmisji zastanawiał się nad istnieniem życia po śmierci, sugerował, że kolejnych transmisji może nie być, wspominał o serwowanych mu przez Kramnika psychicznych torturach. Na koniec kajał się za to, że nie sprostał oczekiwaniom fanów.

Uczciwy i wrażliwy człowiek zmarł więc mimo troski bliskich, mimo publicznego wsparcia, które otrzymywał, i mimo że prawie nikt na świecie nie wierzył w jego winę. Zmarł zadręczony pomówieniami ze strony osoby, którą kiedyś podziwiał. Osoby, która przecież kiedyś na własnej skórze przekonała się, jak to jest być samemu oskarżanym o oszukiwanie – i to w meczu o mistrzostwo świata.

NAJŁATWIEJ | Władimir Kramnik, który mieszka dziś z rodziną w Genewie, kocha pisać o prawdopodobieństwie. Powinien więc mieć świadomość tego, do czego musi prowadzić takie internetowe „polowanie", które od paru lat uprawia.

Jeśli stosujesz cyberbulling wobec każdego, kto się nawinie, korzystając z dużych zasięgów i wpływów, jeśli jesteś samozwańczym detektywem, prokuratorem i sędzią, nie mając do tego kompetencji, to w końcu musisz trafić na kogoś, kto nie będzie w stanie poradzić sobie z fałszywymi oskarżeniami. Bo nie wszyscy potrafią takie oskarżenia ignorować. Obrzucani błotem, czują się brudni i nie widzą sposobu, aby ten brud zmyć.

Musimy w końcu zrozumieć, że w internecie każdego można zniszczyć. Najlepszych z nas – najłatwiej. ©℗



„TP" 41/2025

To modlitwa wybiera mnie

Wśród wielu ważnych, odkrywczych, interesujących materiałów przeczytałem tekst Artura Sporniaka „Więcej niż paciorek". Sam najczęściej nie odkrywałem zasłuchania i wyciszenia, które uruchamiają modlitwę różańcową. Nigdy też nie praktykowałem jej w pełnej, uporządkowanej postaci.
W zbiorze różnych pamiątek mamy w naszym domu różańce pierwszokomunijne mojej żony i mój. Są one raczej wspomnieniem niż praktycznym dzianiem się w codzienności.
Czasami wsłuchuję się w modlitwę różańcową rozbrzmiewającą w murach świątyń. Bywa, że odmówię jedną dziesiątkę dowolnie wybranej tajemnicy. Wówczas za paciorki służą mi palce u dłoni. Zatem moich spotkań z różańcem nie zaliczę do pełnych, ortodoksyjnych.
Chodzę swoimi ścieżkami, nad czym boleje nasz przewspaniały ksiądz proboszcz. We wstępniaku ks. Adama Bonieckiego znalazłem ważny fragment o „aplikacyjności" modlitwy różańcowej: „Myśl wraca do tajemnic, odpływa od nich, potem znów wraca. Zdrowaśki lecą swoją drogą...".
Moje zindywidualizowane dziesiątki zazwyczaj pojawiają się podczas porannego biegania. Mogę napisać, że to nie ja wybieram modlitwę, ale ona mnie. Czas biegania jest moim czasem, wtedy jestem sam ze sobą. Różnorakie myśli przybiegają do mnie, mijają mnie, uciekają po chwili. Tak właśnie przybiega do mojej głowy modlitwa różańcowa.
Moim sposobem połączenia dziesiątki „Zdrowaś Maryjo" z rozważaniem dowolnej tajemnicy bywa rozdzielenie dróg postrzegania świata i doświadczania słowa. Podczas modlitwy nie rozważam tajemnicy w formie językowej. Z jednej strony mam słowo, a z drugiej rozmyślam obrazem. Taka jest moja droga bycia jednocześnie w modlitwie i w rozważaniu.
W skrytości biegu wypowiadam słowa modlitwy, a przed oczami przesuwają się obrazy tajemnicy. Wtedy udaje mi się uzyskać „koincydencję różańcową" – słowo i obraz dzieją się jednocześnie i pozwalają skoncentrować się na całości.
Moje uwagi są trafne lub nie. Ale jak pisze ks. Boniecki, „każdy odmawia różaniec jak umie".
JACEK

Dziękuję siostrze Chmielewskiej

Dziękuję za tekst s. Małgorzaty Chmielewskiej „Adhortacja w Zochcinie", gdzie napisała m.in.: „Jeśli Kościół jest Ciałem Chrystusa, to człowiek ubogi jest jego sercem, nie marginesem. To, moim zdaniem, chciał nam przypomnieć Leon XIV, śladem swoich poprzedników".
Wycięłam ten artykuł, zabezpieczyłam – do zachowania. Siostra jest dla mnie autorytetem. Tak, to niemodne – mieć autorytety. Był zresztą w moim życiu przypadek upadku, w moich oczach, autorytetu. Bolało, przeszło, minęło. Nie przeczę też, że autorytet jest zawsze trochę fantazją wyznawcy, ale to normalne. Znam Siostrę tylko z mediów.
Daję pieniądze tym, po których widzę, że ich potrzebują, albo którzy o nie proszą.
To jest proste. Proszą?
Daj. Nie rzeczy, pieniądze.
Ale też szacunek i namiastkę wolności. Głównie potrzebującym Ukraińcom. Raz zostałam oszukana. Cóż, jest ryzyko, wrzuciłam to w „koszty".
Dzięki Siostrze nie czuję się z tym wszystkim dziwna i samotna. Zawsze dziękuję obdarowanym. Bo pomaganie innym to przywilej.
JOLANTA

Test

Bycie gotowym na zagrożenie to nie kwestia ulegania panice, ale umiejętność zaakceptowania zmienności i ulotności życia.
Rozmowa Agaty Kaźmierskiej i Wojciecha Brzezińskiego z Pauliną Piasecką o społecznej odporności na budowaną przez Rosjan atmosferę paniki zmusza do zastanowienia, komu i czemu potrafimy jeszcze zaufać, i czy brak zaufania nie jest naszym największym zagrożeniem. A także na ile sami poczuwamy się do odpowiedzialności za to, co jest naszym wspólnym dobrem.
Bycie gotowym na zagrożenie to nie kwestia ulegania panice, ale umiejętność zaakceptowania zmienności i ulotności życia. „To był test" – pisali autorzy wspomnianej rozmowy w swoim komentarzu do ataku rosyjskich dronów na Polskę. Test obronności kraju, europejskiej wspólnotowości i siły nerwów rządzących. Ale też test na to, jak my zareagujemy, jakim jesteśmy teraz społeczeństwem i narodem.
JOANNA

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

KRAKÓW
środa 5 listopada, godz. 17.00
Spotkanie wspomnieniowe z Andrzejem Brzezieckim i Henrykiem Woźniakowskim poświęcone Piotrowi Nowina-Konopce. Prowadzenie: Konrad Stanowicz, księgarnia prawnicza C.H. Beck (ul. Bracka 2)

GRUDZIĄDZ
czwartek 6 listopada, godz. 17.30
Pozjazdowe spotkanie informacyjno-integracyjne, „Gdańskie impresje – grudziądzkie plany", Marina (ul. Portowa 8)

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL
jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA
więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

MADE IN POLSKA

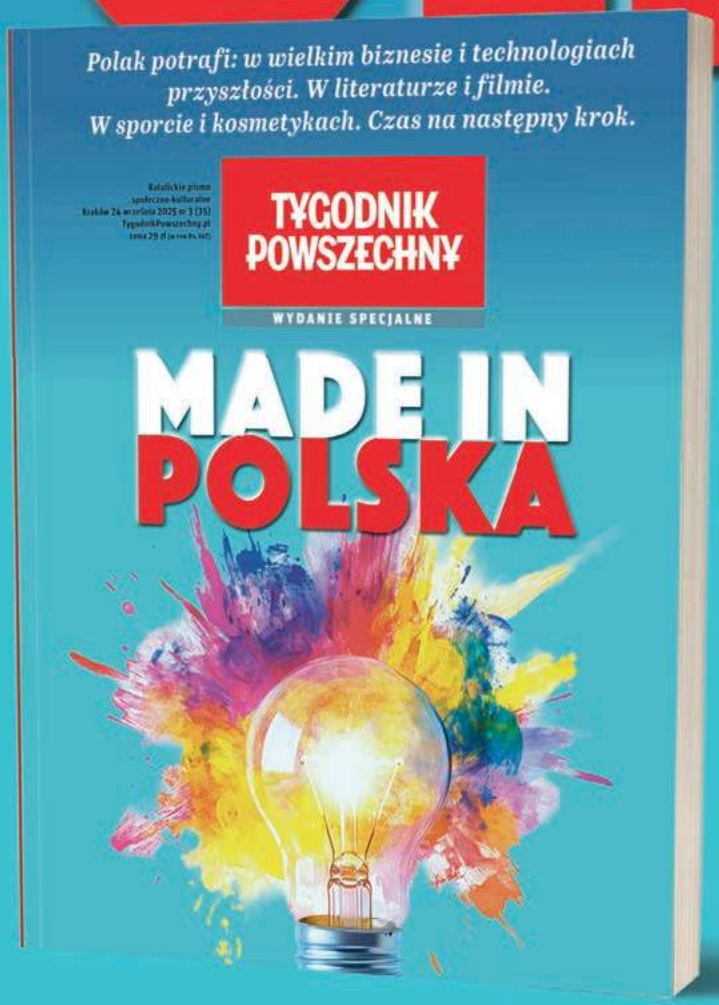

„Made in Polska" – nowe wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego" pokazuje Polskę, która coraz częściej sama wyznacza kierunki rozwoju. Ambitną, odważną i gotową sięgać dalej – od kosmosu i nowych technologii, przez biznes, po kulturę i sport.

Polska to kraj, który nie boi się eksperymentować, szukać nowych rozwiązań i twórczo wykorzystywać własną historię.

„Made in Polska" to więcej niż znak pochodzenia – to opowieść o sile, charakterze i innowacyjności, które sprawiają, że w świecie pełnym kryzysów i niepewności wciąż możemy z nadzieją powtarzać: Polak potrafi.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Weź, czytaj i bądź dumny

TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE „MADE IN POLSKA"
dostępne w najlepszych salonach prasowych oraz na sklep.TygodnikPowszechny.pl



WIARA

FILOZOFIA MIŁOŚCI

Tymieniecka kochała Wojtyłę
i pisała mu o tym wprost.
Jaka miłość ich łączyła?
Romantyczna, choć wysublimowana?
Mistyczna, skoro oboje
zanurzali ją w Bogu?
Spróbujmy odpowiedzieć.

MONIKA BIAŁKOWSKA

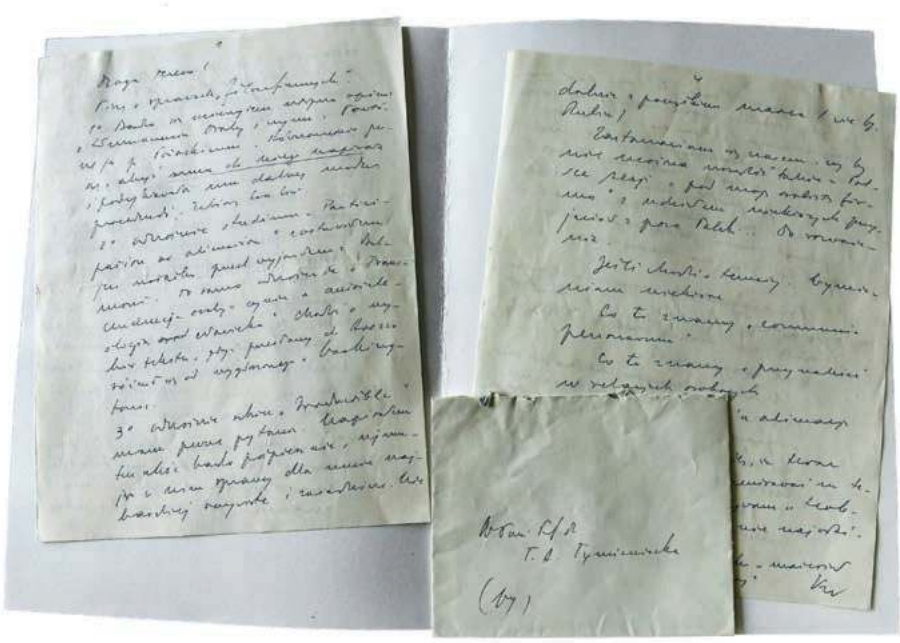

JANEK SKARŻYŃSKI / AFP / EAST NEWS

List kard. Karola Wojtyły do Anny Teresy Tymienieckiej z 1976 roku.

Po lewej: Jan Paweł II, Jasna Góra, 1979 r.

Otej korespondencji – zamkniętej przez szesnaście lat w sejfach Biblioteki Narodowej – wiedziano od jakiegoś czasu, ale jej treść była jedynie przedmiotem spekulacji, podsycanych dodatkowo przez aurę niedostępności i tajemnicy. Czy w pisanych przez ponad 30 lat listach Jana Pawła II i Anny Teresy Tymienieckiej (1923-2014) kryje się coś, co zgorszy świat? Czy kryje się w nich coś, co zatrwoży katolików i zaszkodzi procesowi beatyfikacyjnemu? Czy dlatego tysiące stron rękopisów tak długo pozostawały w ukryciu?

Zajmujący się tą sprawą od miesięcy dziennikarz TVN Marcin Gutowski jako pierwszy dotarł do całości listów papieża i filozofki. Jego trzyodcinkowy reportaż „Tajemnica korespondencji" pokazuje – poza samą historią ukrywania archiwum Tymienieckiej – jak przyjaciółka z Bostonu wpłynęła na dojrzewanie Karola Wojtyły do papiestwa. Jak świadomie, korzystając ze swoich kontaktów międzynarodowych i pozycji męża – doradcy dwóch amerykańskich prezydentów – wspierała pozycję krakowskiego biskupa w Kościele i w świecie. I jak brutalnie i dosadnie informowała go później o skandalach seksualnych w diecezji bostońskiej. Jak pełna była jego wiedza na ten temat i jak bardzo nie chciał w sprawy kościelnej instytucji „wtajemniczać" świeckich, choćby najbliższych przyjaciół.

Plotki z różnych stron

Pisząc do papieża, Tymieniecka była bezpośrednia; odzywała się do niego w sposób, w jaki nie ośmieliłby się nikt inny. Jego błędy nazywała wprost, młyny kościelnej instytucji oceniała bezlitośnie.

Ale ci, którzy wiedzieli o ukrywanych w Bibliotece Narodowej listach, pytali o coś jeszcze: o romans.

Kiedy w 1996 r. Anna Teresa Tymieniecka udzielała wywiadu Carlowi Bernsteinowi i Marco Politiemu do ich wydanej rok później książki „His Holiness: John Paul II and the Hidden History of Our Time", przekonywała: „Nie, nigdy nie zakochałam się w kardynale. Jak mogłabym zakochać się w duchownym w średnim wieku? Poza tym jestem mężatką". Plotki jednak nie cichły, a płynące z różnych stron zaprzeczenia raczej je podsycały.

Spróbujmy tę sprawę zweryfikować, odkładając chwilowo na drugi plan ustalenia Gutowskiego na temat znaczenia listów Tymienieckiej dla oceny postawy Jana Pawła II wobec kościelnych skandali seksualnych czy ich wpływu na papieską politykę i dyplomację.

Na czym naprawdę polegała wyjątkowość korespondencji, którą właśnie przeglądam?

Pielęgnowana relacja

Dziwnie się czyta intymne wyznania ludzi, którzy już nie żyją. Jeśli coś nas do tego może ośmielać, to świadomość, że sami niegdyś o wydaniu swoich listów rozmawiali. Nie zostały przez nikogo wykradzione, nie nakazali spalić ich po swojej śmierci. Przeciwnie: zbierali je właśnie po to, żeby nie zginęły i stały się publicznie dostępne. Biblioteka Narodowa kupiła je za pośrednictwem domu aukcyjnego Sotheby's jeszcze za życia Tymienieckiej.

Zakładać więc można, że sami autorzy nie widzieli w nich treści wstydliwych, które wypadałoby ukryć przed światem. To zdecydowanie nie brzmi jak kulisy płomiennego, utrzymywanego przez lata w sekrecie romansu.

A jednak jest w tej korespondencji coś, co wymyka się prostym definicjom. Romans? Nie, zdecydowanie nie. Zatem przyjaźń? Też nie, w przyjaźni nie ma takiego żaru, nie ma takich słów. Miłość?

W języku polskim, w ludzkim języku to słowo ma tyle odcieni, że każdy może pod nie podpiąć swoje wyobrażenie. Ale tak, w tych listach jest miłość. Anna Teresa Tymieniecka być może – jak sama przekonywała – nie była w Wojtyle zakochana, za to z pewnością go kochała. Oboje tę miłość wysublimowali na gruncie uprawianej wspólnie filozofii i pielęgnowali ją w takim kształcie przez lata.

Praca na lata

Nie sposób przeczytać wieloletniej korespondencji w kilka dni – trudności sprawia już sama konieczność odcyfrowywania ręcznego pisma ludzi urodzonych sto lat temu. Trzeba też rozumieć filozofię i teologię, której językiem są pisane. Znać konteksty historyczne i socjologiczne. Mieć świadomość, że relacja Wojtyły i Tymienieckiej podlegała dynamice: było w niej sporo wzajemnej czułości, ale też pasji i gniewu. Filozofka pisała bez ogródek, otwarcie krytykując papieskie decyzje, używając słów „łajdactwo" czy „hipokryzja". Zdarzały się lata milczenia.

Wszystko to zmusza do ostrożności. Gdy uzyskaliśmy dostęp do tego zbioru korespondencji, szybko doszliśmy do wniosku, że jej zbadanie i rzetelne opracowanie to praca na lata. Każde słowo napisane dziś w pośpiechu o relacji tych dwojga dusz i umysłów – jutro może stać się nieaktualne. Pisać można zresztą z różnych perspektyw – i będziemy to robić w najbliższych miesiącach.

Na początek, świadoma powyższych ograniczeń, postanowiłam ograniczyć się ↦

CHRIS NIEDENTHAL / FORUM

↦ do szczególnego czasu: ostatniego roku życia Jana Pawła II. Zwłaszcza że listy z tego okresu stanowią swego rodzaju podsumowanie. I pokazują wiele.

Ostatni rok

Lubimy pamiętać Wojtyłę młodego, dynamicznego i podróżującego po świecie. Polityka wpływającego na układ sił między mocarstwami, człowieka wzbudzającego entuzjazm w najdalszych krańcach świata, aktora, poetę, filozofa. Takiego zresztą poznała Tymieniecka w 1973 r., gdy on był arcybiskupem Krakowa, a ona wykładowczynią fenomenologii na renomowanych amerykańskich uczelniach. Pierwszy raz napisała do niego pod wpływem lektury jego książki „Osoba i czyn".

Niechętnie za to wracamy pamięcią do ostatnich miesięcy: coraz bardziej przygarbionej sylwetki, trzęsących się dłoni, niewyraźnej mowy, zmienionych chorobą rysów Jana Pawła II.

Ten pierwszy budził podziw i dumę. Ten drugi wspominany jest raczej ze współczuciem i litością.

Raczej, bo istnieje w naszej kulturze również pewien kłopot ze starością. Starzy ludzie traktowani są jak dzieci, z protekcjonalną wyższością, jakby niewiele już rozumieli i niczego nie przeżyli. Trzeba przyznać, że to myślenie odbiło się również na wizerunku starego papieża. Powtarzamy, że nic już nie wiedział, nie kontaktował, że wszystko załatwiali sekretarze za jego plecami, a od jubileuszu 2000 r. miał problemy z decyzyjnością.

Takiego Jana Pawła II pamiętają – jeśli w ogóle pamiętają – młodsze pokolenia Polaków. Taki papież stał się dla nich memem.

Ludzka twarz

Na tym tle listy Anny Teresy Tymienieckiej są wręcz objawieniem – pozwalają zobaczyć zupełnie inną twarz starego papieża.

On sam już wtedy odpisywał wyłącznie przy okazji świąt. To były krótkie życzenia i pozdrowienia, identyczne, jakie mógł wysyłać dziesiątkom innych osób. Ona jednak nadal pisała długo i często, głęboko analizując całą ich ponad trzydziestoletnią znajomość. Czy wszystko czytał, czy był jeszcze w stanie? Czy podzielał jej myślenie i byli w tym myśleniu razem? A może uważał ją za natręta, który interpretuje tę relację mocno na wyrost?

Odpowiedzi na te pytania trzeba będzie poszukać w ich wcześniejszych listach. Czy korespondując z Tymieniecką, Jan Paweł II był równie aktywny, czy raczej powściągliwy? Karmił uczucia Teresy czy przeciwnie: próbował je hamować? Czy mógł nie zdawać sobie sprawy, jak dla niej był ważny? A może wiedział, ale z jakiegoś powodu nie chciał z tej relacji rezygnować? Nadawał jej jeszcze inny wymiar?



ELTAJ YUZBASHOV

Anna Teresa Tymieniecka, 2005 r.

Najmilsze kochanie błogosławiony mój obudziwszy się dzisiaj rano jak zwykle zapytywałam się poprzez przestrzeń jak ty się miewasz? Czy dobrze spałeś? Czy jesteś wypoczęty? Wprawdzie u was to już była druga po południu i pewnie leżałeś w łożu odpoczywając. Czy czytałeś? I co? Ja wstałam dzisiaj rano w błogim nastroju. Nie uwierzysz, jak moje wnętrze się odmieniło, odkąd zrobiłam owo odkrywanie motywów naszej historii, idąc labiryntem przeszłości i pamięci.

(...) Teraz czuję się złączona z tobą wszelkimi nićmi stworzenia w Duchu Bożym. To nowy wszechświat i nowe życie. Może jesteśmy starzy fizycznie, ale cóż to znaczy? Równocześnie właśnie teraz wykończyliśmy wiele zadań, które nas przejmowały, załatwiliśmy wiele spraw, które nam ciążyły i weszliśmy właśnie w tę błogosławioną fazę owocobrania duchowego. To jest okres zbawienia. (...) Odszukiwanie i odnalezienie jedności dwóch istot, jaka została rozerwana przez Adama i Ewę, a która zdaje się odnaleziona w swojej pierwotnej formie w naszej „communio personarum".

Anna Teresa Tymieniecka do Jana Pawła II, list z 8 lutego 2004 r.

Do tego tematu wrócimy. Dziś powiedzmy tylko tyle: Jan Paweł II doświadczał ze strony Tymienieckiej prawdziwego ciepła i zainteresowania. Był przez nią również nieustannie angażowany w jej codzienne życie: nie tylko pracę filozofki, ale też pasje dzieci i ogrodnicze zajęcia, którym zdawała się poświęcać większość wolnego czasu.

Dla niej chory i cierpiący Jan Paweł II nie był człowiekiem samotnym, otoczonym jedynie watykańskim dworem. Nie był jedynie wielkim papieżem u kresu życia. Nadal był pytanym o zdanie filozofem, nadal był tym, któremu trzeba było opowiedzieć o chorobie Jasia i o którego trzeba się było zatroszczyć: czy się dziś wyspał i co dziś czyta. Nadal był „kochaniem".

To, w jaki sposób w tym właśnie czasie zwracała się do niego Tymieniecka (w listach podpisująca się swoim drugim imieniem, jako Tereska), jaką czułością go darzyła, w jakich codziennych czasem sprawach go zanurzała, przywraca słabnącemu papieżowi ludzką twarz.

Fenomenologia miłości

A miłość? Wbrew temu, co mówiła Bernsteinowi i Politiemu, Tymieniecka kochała Wojtyłę. Pisała mu zresztą o tym wprost. Nie była to jednak miłość, jaką sobie wyobrażamy: romantyczna, z niezrealizowanym pragnieniem, bez nadziei i skazana na cierpienie. Przeciwnie: to była relacja, którą oboje zanurzali w Bogu. Którą próbowali zrozumieć na gruncie filozofii, którą nieustannie przekładali na transcendencję i w której widzieli działanie Bożej Opatrzności. Taka miłość niczego Bogu nie zabierała, przeciwnie.

Tak to przynajmniej widziała i opisywała sama filozofka. Jako relację po ludzku niezrozumiałą. Relację, o którą spierać się będą teraz psychologowie i teolodzy: czy to jeszcze wysublimowanie i ucieczka, czy już mistyka.

„Najdroższy Ojcze Święty, najmilsze moje kochanie" – pisała 7 stycznia 2004 r. „Nareszcie mogę zabrać się, aby do Ciebie konkretnie napisać, aby podzielić się moimi intymnymi doznaniami Bożego Narodzenia. A były one dla mnie doniosłym postępem w odkrywaniu sensu doznań w naszej wspólnej drodze do realizacji

»wszystkiego«. (...) Właściwy początek »wszystkiego« był właśnie w tym spotkaniu po Mszy, gdy, pocałowawszy mnie po raz pierwszy, zdjąłeś z szyi szkaplerz, założyłeś mi go na szyję, mówiąc – ofiarowuję cię Matce Boskiej, Patronce pięknej miłości, dodając, że szkaplerz ten założył ci twój ojciec, gdy miałeś lat dwanaście. Gdy widzę to teraz nawleczone na nici Opatrzności, która prowadziła nas przez ten trzydziestoletni okres od 1972 roku, to widzę, że był to moment błogosławiony w swej podniosłej wzniosłości. To był moment głębokiego, a zdumiewającego ocknięcia, wiążącego tę nić naszego wspólnego duchowego losu".

Fenomenologicznym językiem Tymieniecka opisywała sytuację, w jakiej oboje byli „rozciągnięci na wszystko", zajmujący się mnóstwem życiowych i naukowych tematów: „To przyrodzone rozdwojenie, z którym borykaliśmy się, szukając po omacku pojednania naszych bytów, dotarło teraz, przeszedłszy przez próbę ognia, do rozpłynięcia się w swoistej pierwotnej jedni. I tak siedzimy sobie razem w błogiej ciszy serc, które jakby biją jednym rytmem. Słowa nam niepotrzebne. Pierwotne znaczenie pełni wspólnoty, zagubione losami człowieka, zostało jakby odnalezione czy odrestaurowane naszą wspólną przemianą w próbie ognia".

Zerwany kontakt

Co miała na myśli? Zanim wróciła do tego tematu, w kolejnych listach opisywała kongresy naukowe, zachowania swoich psów, pogodę („Najmilsze moje kochanie, najmilsze. Otóż my tutaj marzniemy, minus 17 stopni, w kominku wielki ogień, ale oprócz estetycznego elementu nie wnosi dość ciepła").

„Próba ognia" to dla Tymienieckiej okres po wyborze Wojtyły na papieża, kiedy to na skutek nieporozumień dotyczących jej pracy na kilka lat zerwali kontakt. Podsumowując ten okres, stwierdzała: „Zagubieni w sprawach życia i świata i uciążliwie szukając zbliżyć się do siebie bez skutku, odnaleźliśmy się w tym pierwotnym odniesieniu do Stwórcy. W Nim żyjemy i w nim doznajemy się nawzajem".

W lutym 2004 r. Tymieniecka pisała: „Najsłodsze, najmilsze moje kochanie. Wczoraj przed wysłaniem listu już napisanego, gdzieś się zawieruszył, więc zaczynam nowy. W odpowiedniej chwili, gdyż obudziłam się w błogosławionym nastroju, kontynuującym poszukiwanie początku »wszystkiego« w jego rozwoju. (...) tutaj wchodzi nasz konflikt, który wybuchnął z twoim powołaniem do Rzymu i moją rolą wykończenia do druku już przysposobionego manuskryptu. Konflikt wiemy oboje, jak był dla mnie bolesny, wprost druzgoczący i wstrząsający moje przekonania moralne u samych podstaw. (...) na tej ludzkiej, rzeczowej płaszczyźnie przebaczenia osiągnąć nie było można.

(...) Przecież o dziwo, nagle, kiedy wypłynęła ze mnie ta fala błogosławiona, którą odkryło szukanie początków wszystkiego i rozpatrywanie jego głównych węzłów, wszystkie sprawy ludzkie nas wiążące objawiły się w innym świetle, na innej płaszczyźnie i w nowych perspektywach. (...) Odkąd znowu po sześciu latach podjęliśmy osobisty kontakt – ja bardzo podziwiałam, jak ty starałeś się wszelkimi sposobami złagodzić, uspokoić, uciszyć moje cierpienie zebrane przez te lata konfliktu – jak misternie, z największą czułością starałeś się ukoić moje narośnięte i owrzodzone warstwy duszy. To była praca odkupienia, uznania winy i oczyszczenia twojej natury z tych przyrodzonych skłonności i wzniesienia się ponad nie. To była też praca odkupienia mojej duszy, która stwardziała w przyrodzonych ludzkich nastawieniach i ich samoobrony i osądzania, a leczyła się teraz w cieple twojej miłości. To był okres odkupienia w najintymniejszym zbliżeniu się dwóch dusz przedzierających się poprzez gąszcze dziczyzny żywota w świecie. To była próba ognia. Nasz konflikt to była próba ognia. ↦

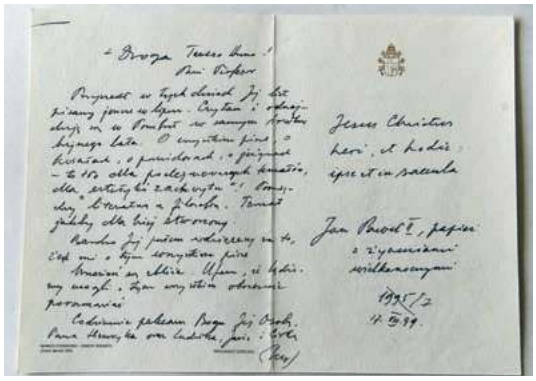

JANEK SKARŻYŃSKI / AFP / EAST NEWS

Odpowiedź papieża na jeden z listów Tymienieckiej, sierpień 1999 r.

Cena relacji

KAROL WOJTYŁA poznał Annę Teresę Tymieniecką w 1973 r., po tym, jak znana w świecie nauki fenomenolożka, pracująca na amerykańskich uczelniach, napisała do niego list na temat wydanej w 1969 r. książki „Osoba i czyn", po czym odwiedziła go w Krakowie.

W kolejnych latach Tymieniecka tłumaczyła prace Wojtyły na angielski i wraz z mężem – ekonomistą z Harvardu, doradcą prezydentów Johnsona i Nixona – pomagała mu w nawiązaniu kontaktów z amerykańskimi środowiskami uniwersyteckimi, politycznymi i kościelnymi. Ich znajomość szybko przerodziła się w przyjacielską relację, która trwała do śmierci Jana Pawła II. Jej świadectwem jest bogata korespondencja (ponad 700 listów), w której dyskusje filozoficzne i teologiczne mieszają się z wątkami osobistymi.

W 2008 r. prof. Tymieniecka sprzedała, za pośrednictwem domu aukcyjnego Sotheby's, swoje archiwum (listy, zdjęcia i inne dokumenty) Bibliotece Narodowej w Warszawie. Koszt transakcji wyniósł ok. 11 mln zł, z czego 4 mln zł pokryła Fundacja Jana Pawła II, którą zarządzał kard. Stanisław Dziwisz. Przez 16 kolejnych lat zbiór ten był niedostępny dla badaczy – nie zaglądano do niego także podczas procesu beatyfikacyjnego i kanonizacyjnego Jana Pawła II. Decyzję o utajnieniu dyrektor Biblioteki tłumaczył „obawami o tabloidyzację tematu przez media i zredukowanie Anny Teresy Tymienieckiej, wybitnej uczonej, jedynie do pozycji przyjaciółki papieża z sugestią romansu lub wzajemnego związku uczuciowego".

Opinia publiczna po raz pierwszy usłyszała o „Archiwum Tymienieckiej" w 2016 r., gdy dyrekcja Biblioteki pokazała kilka dokumentów dziennikarzom BBC. Pod naciskiem mediów listy udostępniono badaczom w październiku 2025 r. (EA)

↦ I oto przedzierając się przez ogień razem łączyliśmy się w widzeniu, w rdzeniu naszych dusz. W tej jedności człowieka, kobiety i mężczyzny przed upadkiem, jedności z Genesis, o której lubisz pisywać. Ta jedność żmudnie osiągnięta jest właśnie istotą owej »communio personarum«. Ona właśnie rozwija się niesiona od tego pierwszego porywu ducha oddającego się Opatrzności. Poryw, który nastąpił już w czasie naszych najwcześniejszych spotkań i który Opatrzność utrzymywała w nas poprzez wszystko. Błogosławiony dzień naszego pierwszego spotkania na Franciszkańskiej".

Okruchy dnia

Poruszające są jednak i zwykłe, codzienne informacje, którymi Tymieniecka dzieli się ze starym papieżem. Pisze, że wstała rano i napiła się kawy z cykorią, która teraz jest rzadko spotykana, a przecież przed wojną często taką właśnie się pijało. Zastanawia się nad tym, że psy potrafią spać tak długo i że miło byłoby papieżowi mieć takiego psa obok siebie. Opowiada, że już ma wstawiony złamany wcześniej ząb, który wygląda jak prawdziwy. Wiosną opisuje, jak jej syn zakładał w ogrodzie własny ogródek, żeby jesienią zdać relację, że z ziemniaków nie wyrósł ani jeden, kukurydza nie dojrzała, dynie zjadły zwierzaki jeszcze w zarodku, a piękne i dojrzałe pomidory inne zwierzaki pożarły w jedną noc.

Dużo w tych listach czułości i tkliwości starej już przecież kobiety. I zdań tak bardzo niepasujących do wizerunku papieża. „Kończę już, podążając z czułym czuciem pośród przestrzeni, wprost do twojego serca. Czy ono czuje? Najtkliwiej, zawsze twoja". „Z wielkim nowym wzruszeniem najtkliwiej przy tobie, całym drgnieniem duszy, twoja". „Najmilsze moje kochanie, tęsknota zajęła miejsce serdecznego ożywienia, ale ciągle jestem myślą i duchem przy tobie". „Najdroższy, najsłodszy duszku, obudziłam się tak przepełniona tęsknotą, nostalgią, melancholią, że nie mogłam dojść do siebie. Czas mija, a my nie widzimy się już tak długo i jeszcze tak długo". „Od obudzenia się śledzę w myśli Twoją rutynę życia i wczuwam się w Twoje przeżycia jak mogę". „Kochanie moje miłe, no i mimo obietnicy nie piszesz nic. Czemu? Mnie twoich karteluszków brak i smutno mi". „Kochany mój, gdy wysłałam ostatni list przed kilku dniami, byłam z niego niezadowolona. Nie powiedziałam w nim to, o co chodziło, że Cię kocham! Jak dać Ci na odległość odczuć całą moją tkliwość? To wszystkie ciepło, jakim myślę o Tobie, to wszystkie ciepło, jakim myśl o Tobie mnie przepełnia? Jak ukochać Cię i ucieszyć?".

Chciałabym być gołębiem

Czy Tymieniecka zdawała sobie już sprawę ze stanu zdrowia Jana Pawła II? Trudno powiedzieć. Jeszcze latem 2004 r. snuła plany jego przyjazdu do Stanów Zjednoczonych i nie rezygnowała z nich jesienią. Pisała: „Jutro Bill i ja będziemy sadzić hiacynty i tulipany, aby zakwitły na wiosnę. A może nawet ty je zobaczysz w maju, a może zobaczysz moje lilie w lipcu?".

W jednej z kilku wersji listu z początku lutego 2005 r. opowiada, że oglądała telewizję i „tę uroczą scenę z niedzieli, gdy gołębie, które chciał wysłać w świat z dobrą nowiną wolności [niekiedy w listach zwraca się do Jana Pawła II w trzeciej osobie, on zresztą również tak czasem odpowiadał – MB], wcale nie chciały wyjść z jego podwoi. Ja też nie chciałabym". Jednocześnie szybko wracała do pogody i prozaicznych pytań: „U nas wciąż mroźno, a w telewizji Rzym wyglądał wiosennie. Wybieram się w podróż do niego w przyszłą sobotę i nie wiem, jak się ubrać. Zimowo czy wiosennie?".

Ostatni list Teresy Tymienieckiej pochodzi z 1 kwietnia 2005 r. W kilku zdaniach pisze, że jest zaskoczona jego stanem zdrowia, że w modlitwach jest przy nim i że się boi. „Przylatuję do Rzymu, aby być przy nim. Będę w Rzymie jutro, czyli w sobotę przed południem i ufam, że dadzą mi się z nim nacieszyć. Jego kochająca, jak bardzo kochająca Teresa".

O tym, czy udało jej się spotkać z Janem Pawłem II, nie mówią żadne wiarygodne źródła. Sama Tymieniecka zmarła dziewięć lat później.

© MONIKA BIAŁKOWSKA

Beczka na barkach

O. PAWEŁ SZYLAK OP,
DUSZPASTERZ AKADEMICKI:

ROZMOWA | Do Beczki trafiają ludzie, którzy wcale nie są blisko Pana Boga i Kościoła, ale tu odnajdują ich na nowo. Często przychodzą naokoło, dzięki sztuce czy kulturze.

MARCIN TUSIŃSKI: Co się mieści w Beczce?

O. PAWEŁ SZYLAK OP: Beczka to przede wszystkim spotkania. Dzień rozpoczynamy od spotkania z Bogiem w czasie porannych Eucharystii, później wspólne śniadania. Wieczorem – spotkania różnych grup tematycznych: od biblijnej, przez teologiczną, formacyjną, dyskusyjną, charytatywną, po scholę i ministrantów. Jest też grupa dla doktorantów i młodych pracowników nauki. Duży wachlarz możliwości. Wspólnota zawsze tak funkcjonowała, że poprzez różnorodność każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Są też różne wyjazdy czy wydarzenia. Największe z nich to akcja „Ciacho za ciacho" – całodzienny kiermasz charytatywny ciastek i książek. Dochód co roku przeznaczany jest na inny cel. W ubiegłym roku pomagaliśmy s. Małgorzacie Chmielewskiej, teraz zbieramy wraz z Caritasem na pomoc dla Jemenu.

I tak już od 60 lat...

Tak. Korzystamy z dobra, które budowało wiele pokoleń „beczkowiczów" – duszpasterzy, studentów. Jakbyśmy byli w sztafecie, której celem jest przeniesienie i pomnożenie tego dobra. Pierwszorzędną rolą jest oczywiście formacja młodych ludzi. Ona dokonuje się w kilku wymiarach. Liturgii, która pozwala odkrywać obecność i bliskość Boga. Studium, które wyraża się w dążeniu do poznawania i odkrywania prawdy o Bogu, człowieku i świecie. Wspólnoty, którą



MAREK NIEDOŚPIAŁ / ARCHIWUM DA BECZKA

O. Jan Andrzej Kłoczowski (w górnym rzędzie pośrodku) ze studentami w Rodakach, 1970 r.

uczymy się budować, tworzyć i brać za nią odpowiedzialność. I wreszcie apostolstwa. Jak mówił o. Jan Andrzej Kłoczowski: zaangażowanie jest zawsze jakimś znakiem i sprawdzianem naszej wiary. Stąd też w Beczce już w latach 70. powstały Szpunt i Klika, które do dziś są formą niesienia pomocy osobom w potrzebie. Wyraźne też było zaangażowanie społeczno-publiczne: ludzie związani z Beczką założyli Studencki Komitet Solidarności, a w stanie wojennym punkt pomocy internowanym i ich rodzinom.

Ojciec przejął pałeczkę w tej sztafecie po wielkich poprzednikach: Tomaszu Pawłowskim, Joachimie Badenim, Janie Andrzeju Kłoczowskim czy współczesnej gwieździe internetu – Adamie Szustaku. Zdarzało się Ojcu z nimi porównywać? Pytać: czy dam radę?

Nie porównywałem się, ale mam świadomość, że to, w czym uczestniczę, ma dużą wartość. Beczka jest – nie lubię tego określenia – rozpoznawalną marką w Kościele i w Polsce. Dużym i znanym duszpasterstwem akademickim. Ze względu na historię, ale też dlatego, że to miejsce jest cały czas żywe, przyciąga ludzi. Siłą tej wspólnoty jest także jej umocowanie w tym konkretnym miejscu, w krakowskim klasztorze, który dla polskich dominikanów pełni rolę jakby „domu rodzinnego". Z drugiej strony, jak mówił Bernard z Chartres, jesteśmy karłami, które stoją na barkach gigantów. Buduję na fundamencie, który już ktoś położył. To praca zespołowa, rozłożona na lata.

Ja trafiłem do Beczki rok przed święceniami diakonatu, mamy wówczas praktyki duszpasterskie. A po święceniach zostałem. To był naturalny proces. Uczyłem się od innych.

Przez lata Beczka mocno się rozrosła. Pewnie słyszy Ojciec zarzuty, że się nadmiernie zinstytucjonalizowała.

Ten zarzut nie jest nowy. Pojawia się od chwili, kiedy Beczka powstała. Dwa razy w roku spotykam się z innymi duszpasterzami akademickimi i słucham historii o życiu w ich wspólnotach: św. Anny z Warszawy czy z Krakowa, Maciejówce z Wrocławia itd. Im większa wspólnota, tym więcej odpowiedzialnych za nią osób. Nie da się od tego uciec. Nie chodzi o zbiurokratyzowanie, bo nie ma czegoś takiego, ale o troskę i odpowiedzialność za ludzi. Jedna osoba nie wystarczy do prowadzenia Beczki. Myślę więc o tym jako odpowiedzialności za wspólnotę, a nie o zinstytucjonalizowaniu. Staramy się, by to, co w życiu chrześcijanina najważniejsze, było rzeczywiście najważniejsze. Spotykamy się na Eucharystii, przy wspólnym stole, ołtarzu. To jest punkt wyjścia do innych działań.

Jak się prowadzi duchową formację w czasach kryzysu autorytetów? W jakiś sposób dotyczy to także Ojca.

Nie bardzo, bo przecież nie prowadzę Beczki sam. Współpracuję z o. Maciejem Chanaką. Różne grupy prowadzą różni moi ↦

Sześć niezwykłych dekad Beczki

SŁYNNE dominikańskie duszpasterstwo akademickie powstało jesienią 1964 r. na życzenie nowego metropolity krakowskiego – abp. Karola Wojtyły. Gdy tylko objął on urząd (w marcu tamtego roku), zapragnął, by w Krakowie pojawiło się podobne duszpasterstwo do świetnie wtedy prosperującego dominikańskiego duszpasterstwa akademickiego w Poznaniu. Władze zakonne przeniosły zatem z Poznania do Krakowa duszpasterza akademickiego o. Tomasza Pawłowskiego OP. Inspiracją nazwy był beczkowaty kształt adaptowanego dla duszpasterstwa pomieszczenia w krakowskim klasztorze.

BECZKA stała się m.in. poligonem posoborowych zmian w liturgii. Kaplica akademicka w krakowskim klasztorze Dominikanów była jednym z pierwszych miejsc w Polsce, gdzie mszę odprawiano po polsku przodem do ludzi.

DZIAŁALNOŚĆ OPOZYCYJNA rozkwitła w duszpasterstwie już w latach 70. XX. W 1977 r. o. Tomasz Pawłowski poprowadził mszę pogrzebową zamordowanego przez służbę bezpieczeństwa studenta UJ Stanisława Pyjasa. Reakcją na to morderstwo były demonstracje studenckie i powstanie Studenckiego Komitetu Solidarności, którego założycielami byli w dużej mierze studenci z Beczki. Z kolei po wprowadzeniu 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego, w duszpasterstwie niemal natychmiast powstało biuro pomocy dla internowanych i ich rodzin.

NAJWIĘKSZY ROZKWIT duszpasterstwa przypadał na lata 80. XX w. Wtedy do Beczki należało ok. 3 tys. studentów. W ciągu sześciu dekad istnienia z duszpasterstwem związanych było wielu wybitnych duszpasterzy, m.in. ojcowie: Jan Andrzej Kłoczowski, Joachim Badeni, zmarły tragicznie w 1987 r. Rafał Skibiński, Ludwik Wiśniewski czy znany obecnie youtuber o prawie milionowym zasięgu – Adam Szustak. ©℗ ASK

współbracia. Poza tym ludzie do Beczki przychodzą i z niej wychodzą. Jest im potrzebna na jakimś etapie, a potem zakładają rodziny, podejmują pracę, są samodzielni, tworzą różne wspólnoty Kościoła. W życiu spotykamy różnych ludzi, którzy nam towarzyszą, podprowadzają, podpowiadają. Od rodziców, szkoły, studiów... Mamy mentorów w pracy, którzy nas wprowadzają w jakąś dziedzinę. Moim zadaniem jest dostarczyć takich narzędzi, żeby inni mogli wzrastać i odkrywać siebie w relacji do Boga i bliźniego.

Jesteśmy w Krakowie, mieście z jednej strony intelektualnym, uniwersyteckim, z drugiej klerykalnym i konserwatywnym. Jak się odnajduje Beczka w tym kontekście?

Beczka ma doprowadzić do dojrzałego budowania wspólnoty Kościoła w takim kontekście, w jakim żyjemy. Dzisiaj życie studenckie wygląda zupełnie inaczej niż 20 lat temu. Żyją w świecie, w którym wszystko jest, ale na wszystko trzeba też zarobić. To, co jeszcze jakiś czas temu, gdy ja studiowałem, było atrakcyjne, np. wyjazd na Erasmusa, obecnie już nie jest. Teraz studenci pracują sporo, a to znaczy, że na formację mają mniej czasu. Ale z drugiej strony pytania, które sobie dzisiaj zadają, są dokładnie takie same jak te, które ja sobie wówczas stawiałem.

Jakie to pytania?

Jaki kształt nadać mojemu życiu? Gdzie będę szczęśliwy? Jak rozpoznać swoją drogę? Czego pragnę? Co chcę robić? Co w życiu wybrać?

Dziś jednak te pytania padają w nowym kontekście. Smartfony, media społecznościowe, wojna za płotem, pandemia za plecami... Jak zabiegać o studentów, nie popadając w religijny marketing?

Dotarcie do studentów faktycznie wymaga większego wysiłku. Rzeczywistość wirtualna jest bardzo szybka i dynamiczna. Ludzie coraz mniej przychodzą tu sami z siebie, bo coś przeczytali, zobaczyli w internecie. Częściej, bo ktoś im polecił duszpasterstwo albo ich przyprowadził. Gdy już przyjdą, to bardzo istotne, żeby te nowe osoby zauważyć i przywitać.

Dla mnie od samego początku bardzo ważne były „siódemki", czyli poranne msze. Zapraszanie do Eucharystii i spotkania z Panem Bogiem, wejścia w inny świat, w rzeczywistość liturgii, która wprowadza w rzeczywistość Bożą. To doświadczenie kluczowe. Nie wiem, czy da się do tego przekonać słowami, ale można do tego zaprosić.



RADOSŁAW WIĘCŁAWEK

PAWEŁ SZYLAK OP, duszpasterz akademicki w krakowskiej Beczce. Absolwent filozofii na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i teologii na Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II w Krakowie.

Jezus mówi o obecności w świecie takim, jaki on jest. Sól ziemi i światło świata. Dużo się zmieniło, ale wciąż mamy powołanie do bycia w tym świecie.

Jeszcze w latach 90. ponad 90 procent Polaków identyfikowało się z religią katolicką. Ich liczba topnieje z roku na rok. Ezoteryka, medytacja, coaching – ludzie uciekają w alternatywne źródła duchowości. Jak z tym rywalizować?

Pan Jezus wziął Apostołów do Cezarei Filipowej, która była miejscem wielu kultów pogańskich i ich pozostałości. I wśród tych wszystkich świątyń i ruin zapytał: za kogo mnie uważasz? Kim ja jestem? Żyjemy w takiej, a nie innej rzeczywistości. Może to czas na skonfrontowanie się z własną wiarą, wzięcie za nią odpowiedzialności? Na postawienie sobie pytań: czym jest dla mnie wiara? Kim jest dla mnie Chrystus?

Beczka ma prowadzić do liturgii, sakramentów, adoracji, czynnej miłości bliźniego. Dawać szerokie spektrum formacji, spojrzenia na rzeczywistość, siebie, Pana Boga, drugiego człowieka. Od początku była przestrzenią wspólnotową. A to sprawia, że trafiają tu także ludzie, którzy wcale nie są blisko Pana Boga i Kościoła, ale tutaj odnajdują ich na nowo. Często przychodzą naokoło, dzięki sztuce, kulturze.

Myślę też o ponadprzeciętności. Żyjemy w świecie tymczasowości i prowizoryczności. A ludzie, którzy tu przychodzą i tworzą Beczkę, mają pragnienie trochę więcej, trochę mocniej. Ponadprzeciętność ujawnia się różnie w różnych momentach historii. Wspomnieliśmy już SKS, o pomocy „beczkowiczów" osobom z niepełnosprawnościami, akcjach charytatywnych. Chcemy więcej, głębiej, mocniej. Szukamy. Nie chcemy się prześliznąć po powierzchni życia. I to się broni.

Ojciec Szustak śmiał się, że o legendarnym duszpasterzu Beczki mówiono: „najlepiej ożeni cię ojciec Badeni". Ludzie przychodzą do Beczki także dla towarzystwa, przyjaźni. Tu się zakochują i żenią. Jak w tym zbiorowym entuzjazmie nie zagubić tego, co istotne?

To dobrze, że tak jest. To, co jest wymiarem nadprzyrodzonym, buduje się na tym, co naturalne, ludzkie. Beczka jest przestrzenią spotkania, przyjaźni, wspólnoty, liturgii i bliskości z Panem Bogiem, ale to, co ty z tym zrobisz, zależy już od ciebie. Można mieć najlepsze środki, ale i tak z nich nie skorzystać.

„Beczkowiczom" zarzucano hermetyzm, że nie wpuszczają ludzi z zewnątrz.

To jest zawsze aktualne. Ważne jest, by mieć tego świadomość i zachować równowagę. Bo z jednej strony potrzebne są bliskie przyjaźnie i więzi, z drugiej otwartość na innych.

Był taki moment w historii tej wspólnoty, że „ekstatyczne" wspólnotowe przeżywanie modlitwy skończyło się powstaniem ruchu charyzmatycznego, który „Beczkę" niemal rozsadził. Jaka z tego nauka?

Ważne, aby modlitwa osobista i wspólnotowa wzajemnie się uzupełniały. Modlitwa osobista pogłębia życie duchowe, a wspólnotowa zakorzenia je w Kościele. Chodzi o to, żeby nie zatracić równowagi. W duszpasterstwie wspólnie sprawujemy liturgię – Eucharystię czy liturgię godzin – ale jest też czas na modlitwę osobistą, indywidualną: codziennie przed wieczornymi spotkaniami mamy adorację w ciszy, a w każdy czwartek mamy też całodniową adorację Najświętszego Sakramentu.

W człowieczeństwie i w życiu duchowym wiarę przeżywamy też emocjonalnie. Ten wymiar jest obecny. Oczywiście wszystko można wykrzywić i doprowadzić do skrajności. Chodzi jednak o to,

żeby to było zdrowe i ostatecznie wydało dobre owoce, żeby dzięki temu doświadczyć Boga. Bardziej i głębiej. Na drodze duchowej nie od razu wejdę na Mount Everest, potrzebny jest moment rozbudzenia pragnienia, entuzjazmu wędrówki, że ja chcę tam się wspinać, a potem także różne obozy po drodze.

Obawiam się, że ryzyko zamknięcia się w bańce towarzyskiej czy wspólnocie religijnej, schowania się przed sobą w „życiu duchowym", które w istocie jest życiem grupowym – jest bardzo duże.

We wszystko można uciec. Chronimy się przed tym także poprzez indywidualne spotkania i spowiedź. Papierkiem lakmusowym są widoczne, pozytywne zmiany w życiu studentów, ich troska o studia i codzienne obowiązki pozabeczkowe. To druga część działania Beczki, która nie jest widoczna, nie jest na afisz, na Instagrama czy Facebooka. Ale ona jest.

Poznajemy ludzi jako duszpasterze, jednego po drugim, co nie jest łatwe, bo samych „odpowiedzialnych" (czyli świeckich prowadzących grupy) mamy kilkudziesięciu. Niektórzy chcą z czasem rozmawiać na osobiste tematy. Przychodzą z pytaniami, które ich nurtują, potrzebują spotkania albo pomocy. Jesteśmy na to uważni. Często zauważają to prowadzący grupy, a my reagujemy, gdy trzeba się kimś zaopiekować. Czasami się zdarza, że zostaję czyimś regularnym spowiednikiem. Najważniejsze jest, żeby ludzie czuli się widziani.

Co jest dla Ojca, jako prowadzącego Beczkę, najważniejsze?

Zależy mi na formacji, stworzeniu we wspólnocie warunków do wzrostu, kształtowania i rozwoju siebie, swojego człowieczeństwa. Drugi wymiar dotyczy wiary, aby była żywym doświadczeniem Boga, dojrzała, ugruntowana i aby ludzie potrafili mądrze i odpowiedzialnie budować wspólnotę Kościoła. I wreszcie trzeci wymiar dotyczy „bycia w świecie", odważnej obecności i odpowiedzialności ludzi wierzących za ten świat, w którym żyjemy, oraz budowania w nim autentycznej, dobrej chrześcijańskiej kultury. Marzę o tym, by ludzie wychodzący z Beczki byli osobami dojrzałymi w wierze i w człowieczeństwie.

© Rozmawiał MARCIN TUSIŃSKI



FABIO FRUSTRACI / EPA / PAP

Papież Leon XIV podczas spotkania z przedstawicielami różnych religii z okazji 60. rocznicy ogłoszenia soborowej deklaracji „Nostra aetate". Watykan, 28 października 2025 r.

Deklaracja to za mało

S. KATARZYNA KOWALSKA NDS

NAUCZANIE KOŚCIOŁA | Antysemityzm i nacjonalizm znów maskowane są fałszywą miłością do ojczyzny i religijnością. Czy Kościół w Polsce przyjmie deklarację „Nostra aetate"?

Godzina 4.30. Dzwoni budzik. Muszę zawieźć rabina Davida F. Sandmela na lotnisko. Znamy się od kilku lat. Uczyliśmy wspólnie Biblii z komentarzami żydowskimi i chrześcijańskimi w Harare (Zimbabwe), w katolickim seminarium prowadzonym przez redemptorystów. Od dwóch lat pracujemy razem w Zarządzie Międzynarodowej Rady Chrześcijan i Żydów, gdzie David jest prezydentem, a ja – pierwszą wiceprezydent.

Kilka godzin później odbieram telefony od dwóch przyjaciółek: to Adi z Izraela, Żydówka, która chce się podzielić wiadomością o nowym chłopaku, anglikaninie z Londynu, oraz Hava, muzułmanka, z którą przygotowujemy na listopadowy Kongres Katoliczek i Katolików panel o działalności kobiet w organizacjach międzyreligijnych.

Myślę: „dzień jak co dzień". A jednak nie do końca. Uświadamiam sobie, że właśnie dziś mija 60 lat od uchwalenia przez Sobór Watykański II deklaracji o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich. Bez tego dokumentu nie byłoby szans na takie spotkania i rozmowy.

DOKUMENT NA CZAS | Deklaracja „Nostra aetate", mimo upływu lat, pozostaje punktem odniesienia i nie utraciła aktualności. Jej przesłanie koncentruje się na zbliżaniu ludzi różnych narodów i religii. Oraz na roli Kościoła w krzewieniu ich jedności i wzajemnej miłości. To właśnie w tym dokumencie Kościół katolicki po raz pierwszy z autentycznym uznaniem odniósł się do elementów ↦

↦ prawdy i świętości obecnych w innych religiach. Właśnie dlatego „Nostra aetate" zachęca do dialogu i wspólnych działań – by identyfikować i wspierać wartości duchowe, etyczne i kulturowe obecne w różnych wspólnotach.

GENEZA DEKLARACJI | Warto przypomnieć okoliczności powstania tego dokumentu. Jan XXIII zdecydował się podjąć temat sposobu przedstawiania Żydów w katechezie i kazaniach. Rozumiano już, że antyjudaistyczne nauczanie Kościoła miało wpływ na postawy katolików w czasie Holokaustu. W rezultacie czwarty punkt deklaracji, poświęcony relacjom z judaizmem, stał się centralnym elementem całego dokumentu.

Po raz pierwszy w historii Kościoła powstał tekst doktrynalny, oparty na solidnych podstawach teologicznych, który ukazywał żydowskie fundamenty chrześcijaństwa z mocnym osadzeniem w Piśmie Świętym. Przełomem było uznanie głębokiej więzi Kościoła z narodem żydowskim: Jezus, Maryja, apostołowie byli Żydami, chodzili do synagogi, modlili się psalmami, obchodzili żydowskie święta. Nasza wiara wyrasta z ich tradycji – to nie tylko historyczny fakt, lecz duchowa i aktualna rzeczywistość.

TEOLOGICZNY PRZEŁOM | Kluczowe było odrzucenie oskarżenia o „zbiorową winę" Żydów za śmierć Jezusa – przekonania, które przez wieki prowadziło do teologicznego i społecznego antysemityzmu. „Nostra aetate" stanowczo stwierdza, że nie można obarczać wszystkich Żydów – ani z czasów Jezusa, ani współczesnych – odpowiedzialnością za Jego śmierć.

Dokument podważył również tzw. teologię zastępstwa, czyli przekonanie, że chrześcijaństwo zastąpiło judaizm. Niezwykle istotne było uznanie, że Żydzi nie zostali przez Boga odrzuceni ani przeklęci. To fundamentalna zmiana teologiczna, potwierdzona w kolejnych dokumentach Kościoła: przymierze Boga z Izraelem nigdy nie zostało zerwane.

OWOCE DIALOGU | „Nostra aetate" przyniosła konkretne zmiany: usunięto z liturgii modlitwy zawierające antyżydowskie sformułowania, wprowadzono nauczanie o innych religiach do seminariów i programów teologicznych, powstały instytuty dialogu międzyreligijnego. Możliwe stały się symboliczne spotkania papieży z rabinami i imamami, wspólne modlitwy o pokój – jak w Asyżu w 1987 r. czy dziś w Watykanie, gromadzące przedstawicieli ponad osiemdziesięciu religii na obchodach 60. rocznicy uchwalenia deklaracji.

Czytam komentarze na katolickich stronach internetowych – **ziejące nienawiścią, antysemityzmem** i brakiem podstawowej formacji teologicznej.

Sam dokument jednak nie wystarczy. Dialog to przede wszystkim codzienne spotkania, przyjaźnie, wspólne czytanie Biblii. Właśnie tam odkrywam, że Słowo Boże ma głębię, którą można dostrzec dopiero, gdy słucha się go – i siebie nawzajem – z innej perspektywy.

WYZWANIA | Największym wyzwaniem jest powierzchowność. Żyjemy w epoce szybkich opinii, polaryzacji i lęku. Tymczasem dialog wymaga cierpliwości, słuchania i czasu – a z tym mamy coraz większy problem.

Kolejną trudnością jest brak formacji. Nawet jeśli treść „Nostra aetate" jest znana – bo omawia się ją na teologicznych studiach – nie zdążyła zakorzenić się w tożsamości wiernych i wpływać na ich postawy. Zarówno duchowni, jak i świeccy często nie znają judaizmu ani islamu. Nie wiedzą, że nie istnieje „jeden islam" czy „jeden judaizm" – tak samo, jak nie ma jednego chrześcijaństwa. Z braku wiedzy rodzą się lęki i uprzedzenia, które mogą prowadzić do czynów nienawiści.

NADZIEJE | Marzę, by deklaracja o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich nie była jedynie dokumentem w soborowych archiwach, lecz częścią codziennego życia Kościoła. By każda wspólnota wiedziała, kiedy obchodzimy Dzień Judaizmu czy Dzień Islamu – i by te dni stawały się autentycznymi momentami spotkania. By katecheza uczyła szacunku do innych i dawała okazję do ich poznania.

Dialog to duchowa wędrówka, która przemienia wszystkich uczestników – zarówno tych, którzy słuchają, jak i tych, którzy mówią. Na tej drodze nie rezygnujemy z własnych przekonań religijnych, lecz odkrywamy je na nowo, pozostając w nich zakorzenieni

Kościół żyjący duchem „Nostra aetate" to wspólnota słuchających i uczących się. To Kościół inkluzywny, stawiający na sprawiedliwość, pokój i dobro każdego człowieka. „Nostra aetate" to otwarte drzwi, przez które Duch Święty zaprasza nas do spotkania z drugim człowiekiem, aby wspólnie odkrywać Boga – większego niż nasze wyobrażenia.

POSTSCRIPTUM | Kiedy kończę redagować ten tekst, jesteśmy już po watykańskich obchodach 60. rocznicy deklaracji. Podczas uroczystości Leon XIV przypomniał m.in., że „istotą dialogu międzyreligijnego jest odkrywanie obecności Boga poza wszelkimi podziałami oraz wspólne poszukiwanie Go w duchu szacunku i pokory, a antysemityzm stoi w sprzeczności z duchem Ewangelii".

W tym samym czasie ukazał się list księdza prymasa arcybiskupa Wojciecha Polaka do Fundacji Dzieci Wrzesińskich w związku z odwołaniem koncertu utworów Louisa Lewandowskiego, wrześnianina żydowskiego pochodzenia. Czytam komentarze na katolickich stronach internetowych – ziejące nienawiścią, antysemityzmem i brakiem podstawowej formacji teologicznej w zakresie dialogu międzyreligijnego. Dobrze, że ten list powstał, lecz na samych oświadczeniach nie można poprzestać, jeśli chcemy, by tego typu oficjalne wypowiedzi nie wywoływały tylko takich reakcji.

Niechęć do Żydów, nacjonalizm i ksenofobia – maskowane fałszywą miłością do ojczyzny i religijnością – nie są rzadkością w naszym społeczeństwie i Kościele. To pilne wyzwanie, które wymaga od każdego z nas zdecydowanej reakcji i realnych działań.

Zadaję sobie pytanie: kiedy wreszcie Kościół w Polsce na serio przejmie się nauczaniem „Nostra aetate" i późniejszych dokumentów, włączając je do programów teologicznych i katechetycznych? I czy jej duch przeniknie codzienne nauczanie i praktykę duszpasterską?

© S. KATARZYNA KOWALSKA NDS

O. WACŁAW

Oszajca:
Kościół i kościół



Ponad rok temu salwatorianin Rafał Główczyński, „ksiądz z osiedla”, otworzył na stołecznych Bulwarach Wiślanych klubokawiarnię bez cennika i alkoholu pod zabawną nazwą Cyrk Motyli. We wrześniu postanowił lokal przenieść do śródmieścia, do pomieszczań zajmowanych uprzednio przez agencję towarzyską. Założył też konto na portalu dla dorosłych, aby korzystający z niego też usłyszeli Dobrą Nowinę, a przy okazji wpłacali pieniądze na utrzymanie klubokawiarni. No i się zaczęło. „Pobożne a wpływowe” (zob. Dz 13, 50) dusze poczuły się zgorszone, ale to nic nowego. „To żarłok i pijak, przyjaciel celników i grzeszników”, mówiono o Jezusie. „A jednak o mądrości świadczą jej dzieła”, również dzieło ks. Rafała. Tak bowiem Chrystus dociera do tych, których chce usadzić na pierwszych miejscach w swoim Kościele. A taki Kościół zawsze będzie gorszył tych, którzy zapomnieli, że „jeśli mówimy, że grzechu nie mamy, sami siebie zwodzimy, i prawdy w nas nie ma”.

Świętując doroczną uroczystość Poświęcenia Bazyliki Laterańskiej czy własnego kościoła warto postawić pytanie, co tak naprawdę święciliśmy? Mury? Owszem, ale dla Kościoła kościoły wcale nie są konieczne. Pierwsze parę wieków, także w czasie dawnych i obecnych prześladowań, ale i na obozach harcerskich Kościół żył i działał bez kościołów. Do takiego kościoła ludzie nie chodzili pod groźbą grzechu ciężkiego, ale go tworzyli, ustanawiali wszędzie tam, gdzie mogli się zgromadzić, żeby być nie tylko razem, ale wspólnie „łamać chleb”, czyli „wspierać jedni drugich”.

Nie tworzyli przedsiębiorstwa usługowego chrzcielno-ślubno-pogrzebowego. Czyli dla interesu. Nic dziwnego, że tak też widzą nas ludzie. „Katolicy często traktują spowiedź jako nieodłączny element życia duchowego, umożliwiający przyjęcie komunii w stanie łaski. Nie każdy wie, że w wyjątkowych sytuacjach dostępny jest tzw. tryb ratunkowy oparty na żalu doskonałym”. Ks. Rafał Główczyński chciałby to zmienić. „Wydawało mi się to dobre – mówi też – by spotkania dla seniorów, rodziców dzieci z niepełnosprawnościami, dla ubogich, czy jakieś koncerty, finansować ze środków pozyskanych od osób, które normalnie przeznaczyłyby te środki na treści 18+ (...). Jednak z tego zrezygnuję”. Czyni to, jak widać, nie z własnej woli. Co na to Kościół? ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Fundament



„Nie jesteście już obcymi i przybyszami, ale jesteście współobywatelami świętych i domownikami Boga – zbudowani na fundamencie apostołów i proroków, gdzie głowicą węgła jest sam Chrystus Jezus. W Nim zespalana cała budowla rośnie na świętą w Panu świątynię” – słowa św. Pawła (zob. Ef 2, 19-21) usłyszeliśmy w Liturgii minionego tygodnia (w święto apostołów Szymona i Judy). Wiele razy zastanawiałem się nad tym, co to znaczy dla Kościoła, że jest on domem zbudowanym na fundamencie apostołów i proroków. Tym razem jednak myślałem o tym, co to znaczy dla nas (dla mnie), którzy odważyliśmy się wziąć na siebie urząd apostolski.

Przypomniały mi się rozmaite budowy, w których jakoś uczestniczyłem. Przypomniała mi się cała uważność i staranność budujących, przykładana do konstrukcji i wykonania fundamentu. Przypomniał mi się też czas i wysiłek, jaki nierzadko schodzi przy tej pracy. Nie można tu jednak iść na jakiekolwiek skróty czy pozwolić sobie na niedbałość. Wiemy: fundament musi być solidny, skonsolidowany i trwały, musi dawać poczucie bezpieczeństwa. Każde pęknięcie, każda słabość fundamentu przenosi się na stawianą na nim budowlę. Wszystkie te określenia składają się na pożądany opis każdego, kto odważy się być apostołem w Kościele. Czyż nie?

Zapewne. Czy jest jednak ktoś, kto w pełni i zawsze (!) odpowiada takiemu opisowi? Nawet Piotr – „Skała” – okazał się (czy tylko w jednym momencie swego życia i misji?) jak piasek... Nie tylko na dziedzińcu arcykapłańskim w Wielki Czwartek, ale także wtedy, gdy Paweł musiał mu się „otwarcie sprzeciwić” wobec „nieszczerego postępowania” w Antiochii (zob. Ga 2, 11-14).

To trudna perspektywa: świadomość, co grozi budowli, której fundament okaże się naraz nie „skałą”, lecz „piaskiem” („spadł deszcz, wezbrały potoki, zerwały się wichry i rzuciły się na ten dom. I runął, a upadek jego był wielki”, zob. Mt 7, 27). Ale jest jedna chyba jeszcze trudniejsza – a mianowicie to, że fundament ostatecznie pozostaje... ukryty. Fundamentów się zwykle nie zwiedza ani nie podziwia. Podziwia się wzniesione na nich domy i kościoły. Być fundamentem, oznacza być u podstawy. Nie oznacza być zwieńczeniem – być na górze (u „władzy”). Fundament ma w oczywisty sposób charakter służebny. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

22.

jazztopad

festival

14 —— 23.11.2025
Wrocław
NFM

Olga Humeńczuk
Dyrektorka NFM

Piotr Turkiewicz
Dyrektor Artystyczny

jazztopad
jazztopadfestival

jazztopad.pl

MATERIAŁ PROMOCYJNY

14.11
19.00 • NFM, Sala Główna ORLEN
David Murray Quartet

15.11
17.00 • NFM, foyer -1
Melting Pot Made in Wrocław
Partner austriackie forum kultury wiedeń

15.11
19.00 • NFM, Sala Główna ORLEN, estrada w odwróceniu
Luke Stewart & Marta Sánchez Duo | Kahil El'Zabar Ethnic Heritage Ensemble

16.11
18.00 • NFM, Sala Główna ORLEN, estrada w odwróceniu
Wadada Leo Smith, Jakob Bro, Midori Takada with Polish Cello Quartet – premiera

20.11
19.00 • NFM, Sala Czerwona
Deep Listening – Ksawery Wójciński, Xhosa Cole

20.11
22.00 • Klubokawiarnia Mleczarnia
KneeJerk

21.11
19.00 • NFM, Sala Czerwona
Jeremy Rose's Disruption! | Immanuel Wilkins & Lutosławski Quartet – premiera

21.11
22.00 • Klubokawiarnia Mleczarni
Nebbia, Banner, Baumgärtner – Presencia

22.11
19.00 • NFM, Sala Główna ORLEN, estrada w odwróceniu
Joanna Duda, Sunny Kim, Helen Svoboda – The Great Reset – premiera | Ghosted: Oren Ambarchi, Johan Berthling, Andreas Werliin

22.11
22.00 • Klubokawiarnia Mleczarnia
ÖNDER
Koncert odbywa się w ramach projektu *Better Live*, który został dofinansowany ze środków Komisji Europejskiej w ramach Kreatywnej Europy oraz ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Funduszu Promocji Kultury.

23.11
19.00 • NFM, Sala Główna ORLEN
Charles Lloyd Sky Quartet featuring Jason Moran, Larry Grenadier and Kweku Sumbry

Wydarzenia towarzyszące

14–16, 20–23.11
Klubokawiarnia Mleczarnia
Jazztopad Improv Session z udziałem zespołu Sundogs
Partner Mleczarnia

15–16, 22–23.11
Koncerty w mieszkaniach prywatnych

16, 23.11
10.30 • Kino Nowe Horyzonty
Jazz Morning Kids! Poranki z muzyką na żywo w KNH
Partner KNH kino nowe horyzonty

NFM.WROCLAW.PL

Bilety 71 715 97 00

Narodowe Forum Muzyki im. Witolda Lutosławskiego
pl. Wolności 1, Wrocław

Organizator NFM Narodowe Forum Muzyki

NFM – instytucja kultury współprowadzona przez Wrocław miasto spotkań, MKiDN, Dolny Śląsk

HISTORIA

GWIAZDA POLSKI

W II RP polscy naukowcy nie tylko nadążali za światową czołówką, w niektórych sferach ją wyprzedzali. Jedną z nich były badania promieniowania kosmicznego i loty balonowe. Opowiedzmy tę zapomnianą historię.

MIKOŁAJ GÓRSKI

W listopadzie 1918 roku Polska znowu pojawiła się na politycznej mapie Europy. Ale odzyskać niepodległość to jedno, a scalić terytoria dawnych zaborów w jeden organizm gospodarczy to już bezprecedensowa skala trudności.

Różne waluty, systemy prawne i administracyjne, brak spójnej infrastruktury (koleje, drogi), różnice w rozwoju przemysłowym i rolniczym, odmienna mentalność i doświadczenia ludności – połączenie tego wydawało się zadaniem dla wielu pokoleń. Nie ułatwiała go raczkująca demokracja, kłótliwość elit, narastający nacjonalizm i rewizjonizm w Europie, zniszczenia po Wielkiej Wojnie.

PROJEKT | Były jednak dziedziny, w których przez tych 20 lat dołączyliśmy do czołówki światowej. Jedną z nich stały się badania promieniowania kosmicznego – i powiązane z nimi loty balonowe.

Możliwe stało się to dzięki dwóm ludziom, którzy wywodzili się z odległych światów: astrofizyki i aerostatyki. Konstanty Jodko-Narkiewicz i Zbigniew Burzyński: różniły ich poglądy, życiowe drogi, marzenia, codzienność, a także stosunek do ludzi.

Mariaż tych ludzi i ich dziedzin spoił wokół ambitnego projektu społeczeństwo II Rzeczypospolitej. Kibicowano im, z zainteresowaniem obserwowali ich zagraniczni specjaliści. „Gwiazda Polski" to była operacja, która nie mogła się nie udać. A jednak...

NAUKOWCY | Polscy uczeni w II RP potrafili znaleźć swoje miejsce wśród pionierów ówczesnej nowoczesnej nauki. Jednym z takich obszarów były badania nad promieniowaniem kosmicznym – dziedziną nową i trudną, wymagającą nie tylko wiedzy, ale i odwagi.

W latach 30. XX w. ośrodkami tych badań były Warszawa, Wilno i Kraków. Wśród tych, którzy nimi kierowali, był prof. Stanisław Ziemecki (1881-1956), jeden z pierwszych w Polsce badaczy promieniowania przenikliwego. Jego młodsi współpracownicy – Szczepan Szczeniowski (1898-1979), Ignacy Adamczewski (1907-2000) czy Konstanty Jodko-Narkiewicz (1901-63) – reprezentowali nową generację uczonych, gotowych prowadzić eksperymenty nie tylko w laboratoriach.

Zrozumienie zjawisk związanych z promieniowaniem kosmicznym wymagało pomiarów w różnych warunkach – na różnych wysokościach i głębokościach oraz w różnych częściach świata. Dlatego w 1933 r. pod kierownictwem Jodko-Narkiewicza wyruszyła w Andy Polska Wyprawa Fizyczno-Alpinistyczna. Połączenie doświadczenia naukowego z umiejętnościami górskimi pozwoliło prowadzić precyzyjne pomiary na dużych wysokościach – m.in. na zboczach Aconcagui i Cerro Mercedario.

W tych samych latach prowadzono pomiary także pod ziemią. W kopalni soli w Wapnie, dzięki inicjatywie Ziemeckiego i Szczeniowskiego, badano tłumienie promieniowania w głębi skorupy ziemskiej.

KU GWIAZDOM | Kolejnym naturalnym krokiem były pomiary również w powietrzu. W marcu 1936 r. odbył się pierwszy z kilku lotów balonowych z udziałem Jodko-Narkiewicza i doświadczonego pilota wojskowego Zbigniewa Burzyńskiego (1902-71). W balonie „Warszawa II" prowadzili pomiary promieniowania za pomocą komór jonizacyjnych z kryptonem i azotem. Było to unikatowe rozwiązanie konstrukcyjne, zaprojektowane przez samych Polaków.

Dwa kolejne loty potwierdziły trafność metodologii, a wyniki analizowane były na równi z pracami zespołów z USA, Francji i Związku Sowieckiego. Polacy nie tylko nadążali za światową czołówką – w niektórych kwestiach wchodzili z nią w naukową polemikę.

Ale żeby ugruntować swoją pozycję w tej wymagającej dziedzinie, potrzebny był następny krok: lot stratosferyczny, który pozwoliłby na pomiary poza gęstą warstwą atmosfery. Tak narodził się pomysł „Gwiazdy Polski" – wspólnego projektu wojskowych i naukowców.

Naturalnym wyborem, kto miałby znaleźć się na pokładzie, był właśnie Konstanty Jodko-Narkiewicz: nie tylko fizyk o światowej już renomie, ale też człowiek gór, podróżnik, eksplorator, obdarzony wyobraźnią i odwagą. Na pokładzie balonu miał być nie tylko naukowcem, ale też symbolem polskich



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Zbigniew Burzyński i Konstanty Jodko-Narkiewicz w gondoli balonu „Toruń" przed lotem do stratosfery, Jabłonna, 1936 r.

ambicji – cichym bohaterem w drodze ku gwiazdom.

BALONY | Gdy w 1918 r. Polska odzyskiwała niepodległość, nie miała ani balonów, ani kadr do ich obsługi. Mimo to już kilka lat później stała się potęgą światowego baloniarstwa. Było to możliwe dzięki determinacji ludzi i wsparciu instytucji wojskowych.

Baloniarstwo – w tamtych czasach dziedzina ważna, mająca zastosowanie zarówno cywilne, jak też militarne – rozwijało się pod auspicjami Oficerskiej Szkoły Aeronautycznej, najpierw w Poznaniu, potem w Toruniu i Legionowie. Powstały specjalne bataliony balonowe, a Centralne Zakłady Balonowe w Legionowie już w połowie lat 20. zaczęły produkować nowoczesne balony kuliste.

Wśród projektantów wyróżniał się młody Zbigniew Burzyński: inżynier, oficer i – jak się miało z czasem okazać – jeden z najwybitniejszych pilotów balonowych w historii. To on stworzył nowatorski typ balonu ZB-1, oparty na ultracienkiej, a zarazem wytrzymałej tkaninie – rozwiązaniu, które zadziwiło nawet prof. Augusta Piccarda, szwajcarskiego pioniera lotów stratosferycznych.

REKORDZISTA | Burzyński nie był jednak tylko konstruktorem. Wraz z Franciszkiem Hynkiem czterokrotnie reprezentował Polskę w prestiżowych zawodach o Puchar Gordona Bennetta. Polska stała się wkrótce czwartym państwem, które zdobyło to trofeum na własność, a do tego trzeba było trzech kolejnych zwycięstw.

Równolegle trwał rozwój krajowych zawodów o Puchar imienia płk. Wańkowicza, organizowanych przy wsparciu Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej (LOPP) – masowej organizacji paramilitarnej, która popularyzowała lotnictwo i wspierała przemysł aeronautyczny.

Dzięki temu sport balonowy zyskał popularność i zaplecze techniczne. Fabryka w Legionowie – Wojskowa Wytwórnia Balonów i Spadochronów – była uznawana za najlepszą na świecie, a polskie powłoki balonowe przewyższały standardy francuskie i amerykańskie pod względem wytrzymałości i lekkości.

Burzyński uczestniczył też w pionierskich lotach wysokościowych. W 1936 r. wraz z Jodko-Narkiewiczem, we wspomnianym balonie „Warszawa II", wznieśli się na 10 853 metry – ustanawiając międzynarodowy rekord w swojej klasie. Dla Burzyńskiego nie był to wyczyn przypadkowy: w sumie wykonał aż sześć lotów wysokościowych, stale poprawiając rezultaty i weryfikując możliwości polskiego sprzętu.

Jego doświadczenie, spokój i precyzja sprawiły, że został wyznaczony na pilota stratosferycznego balonu „Gwiazda Polski". Miał być nie tylko wykonawcą technicznej misji, ale też symbolem polskich ambicji, odwagi i inżynierskiego kunsztu. A w drugim fotelu – naukowiec Jodko-Narkiewicz. Dwóch ludzi, dwa światy. Razem mieli szansę powodzenia.

PLAN | Mieliśmy zatem dwa środowiska, współpracujące dla osiągnięcia niebagatelnych celów. Fizycy zaprojektowali plan badań, skonstruowali przyrządy i mieli jako pierwsi w historii przeprowadzić badania promieniowania kosmicznego na wysokości 30 kilometrów. Wojskowi i sportowcy chcieli ugruntować swoją pozycję w światowej czołówce, pobijając rekord wysokości lotu załogowego.

Dotychczasowy rekord – dokładnie: 22 066 metrów – został ustanowiony 11 listopada 1935 r. przez amerykańskich pilotów Alberta W. Stevensa i Orville'a ↦



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Transport powłoki „Gwiazdy Polski" w Dolinie Chochołowskiej. Po lewej widać napełnione wodorem balony pomocnicze. Październik 1938 r.

↦ A. Andersona w balonie stratosferycznym „Explorer II" (co ciekawe, Stevens na zaproszenie Burzyńskiego przyjechał do Polski i dzielił się swoją wiedzą).

W pamiętniku prof. Mieczysława Wolfkego, światowej renomy fizyka, znaleźć możemy lakoniczne zdanie z 1937 r.: „Zostałem obrany prezesem Rady Naukowej Pierwszego Polskiego Lotu Stratosferycznego".

Nie był to plan prosty. Dobrze to oddaje Jerzy Jarosz w pracy „Gwiazda Polski – ambitny projekt z udziałem Wolfkego", gdy pisze, że „badania niosły ze sobą spore ryzyko. Stratosfera była »ziemią nieznaną«. Loty na coraz wyższe wysokości, niskie ciśnienie, rozrzedzone powietrze, niedobory tlenu i niskie temperatury stwarzały poważne zagrożenie dla załóg używających otwartych koszy balonowych".

I dalej: „Po zastosowaniu hermetycznych gondoli i osiągnięciu stratosfery okazało się, że również opanowanie samej techniki lotów stanowi nie lada wyzwanie. Zdobywano dopiero doświadczenie w lotach stratosferycznych i wiele z nich odbywało się na granicy bezpieczeństwa, a duża część zakończyła się katastrofą".

CEL | Decyzja o budowie polskiego balonu stratosferycznego zapadła w 1937 r. Projekt cieszył się poparciem władz – patronatem objął go Generalny Inspektor Sił Zbrojnych gen. Kazimierz Sosnkowski, a kwestiami naukowymi interesował się prezydent prof. Ignacy Mościcki, z zawodu chemik.

Cel był niezwykle ambitny. Balon „Gwiazda Polski" miał wznieść się z ciężką aparaturą na wysokość 30 tys. metrów. Pojemność powłoki wynosiła prawie 125 tys. m^3, a wysokość po postawieniu ok. 120 m (więcej niż taras widokowy Pałacu Kultury i Nauki).

Przedsięwzięcie finansowane było z datków banków, przedsiębiorstw, osób fizycznych, Polonii amerykańskiej. Wydawano znaczki i pocztówki, publikowano artykuły prasowe, sprawą interesowało się radio i Wydział Filmowy Polskiej Agencji Telegraficznej (regularnie wydawał „Kronikę PAT", poprzedniczkę Polskiej Kroniki Filmowej).

Niemalże wszyscy Polacy zjednoczyli się w wysiłku – z dobrymi efektami. Projekty, konstrukcja, wykonanie, materiały, załoga – wszystko było krajowe, co świadczyło o możliwościach rodzimej nauki, techniki, przemysłu i sportu.

PRÓBA | Na miejsce startu wybrano tatrzańską Dolinę Chochołowską. Dawała nadzieję na osłonę ogromnego aerostatu przed wiatrem. Zbudowano tam obóz tymczasowy. Najdogodniejszym terminem był wrzesień, ale z różnych względów powłokę giganta zaczęto napełniać wodorem w nocy z 12 na 13 października 1938 r.

Balony mają pewną wrodzoną wadę – są kapryśne, jeśli chodzi o pogodę. Można wymienić więcej czynników uniemożliwiających start niż tych, w których można lecieć. Niedługo po rozpoczęciu napełniania balonu zerwał się niebezpiecznie silny wiatr (nie było jeszcze satelitów i systemu obserwacji pogody). Podjęto decyzję o zaniechaniu lotu tego dnia.

Natychmiast przystąpiono do opróżniania powłoki. Niestety im mniej gazu znajdowało się w środku, tym bardziej wiatr szarpał balonem. Co gorsza, do środka dostało się powietrze atmosferyczne, a z nim tlen, który w połączeniu z wodorem stworzył mieszankę wybuchową.

Prawdopodobnie iskra elektryczna, wytworzona samoczynnie wskutek tarcia materiału, dopełniła dzieła: balon wybuchł widowiskowo. Na szczęście bez ofiar.

PÓŹNIEJ | To nie był jednak koniec jego historii. Był ubezpieczony w PZU, dzięki czemu można było planować nową próbę: na wrzesień 1939 r. Wszystko było gotowe. Zdecydowano się na hel zamiast wodoru. Jego transport z USA zawinął do portu w Gdyni pod koniec sierpnia. Start przeniesiono w okolice miejscowości Sławsko w Gorganach (Karpaty Wschodnie, dziś Ukraina). Ale we wrześniu 1939 r. świat wyglądał już inaczej...

Nie wiadomo, co się stało z „Gwiazdą Polski". Niektóre źródła podają, że została pocięta w zakładach w Legionowie, aby nie wpadła w ręce Niemców.

Zbigniew Burzyński przeżył wojnę. Jesienią 1939 r. został aresztowany przez Niemców i do jej końca przebywał w obozach jenieckich dla oficerów. W powojennych realiach próbował odbudować naszą balonową potęgę, ale świat już się wybierał wyżej, w kosmos.

Konstanty Jodko-Narkiewicz został ranny podczas ewakuowania się z Warszawy. Wojnę przeżył, tułając się po różnych miejscach. Sporo czasu spędził w ukochanych Tatrach. Zapadał na zdrowiu fizycznym i psychicznym. Zmarł w zapomnieniu w 1963 r.

Polskie baloniarstwo nie odzyskało dawnej świetności. W dobie innych technologii lotniczych stało się dyscypliną dla pasjonatów – na całym zresztą świecie.

Mimo strat osobowych, lepiej się miała polska astrofizyka. W 1947 r. w Krakowie, dzięki wysiłkom prof. Jana Weyssenhoffa (kierownika Zakładu Fizyki Teoretycznej UJ), zorganizowano Międzynarodową Konferencję Promieni Kosmicznych IUPAP. Choć izolacjonizm czasów komunizmu nie sprzyjał rozwojowi tej dziedziny, dało to początek międzynarodowym spotkaniom na temat promieniowania kosmicznego, które trwają do dziś.

© MIKOŁAJ GÓRSKI

Autor jest pisarzem zafascynowanym nauką oraz pilotem balonowym w trakcie szkolenia. Obecnie pracuje nad książką o historii aerostatyki.

NIC NIE JEST DANE RAZ NA ZAWSZE.
Pojednanie polsko-niemieckie, 60 lat później

60 lat temu, 18 listopada 1965 r., polscy biskupi obecni na Synodzie Watykańskim II podpisali list adresowany do biskupów niemieckich. Jego autorem był abp Kominek z Wrocławia, a prymas Wyszyński go zaakceptował. Dziś wiemy, że nie wszyscy biskupi byli do listu przekonani. Ale posłuchali autorytetu prymasa.

List, ogłoszony 20 lat po wojnie, która zniszczyła polskie państwo i społeczeństwo, a to, co zostało, wepchnęła w zależność od Moskwy, wstrząsnął ówczesną Polską. Za sprawą zdania: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie". Wielu pytało: czemu mamy wybaczać? Zwłaszcza że Niemcy nie byli wówczas skłonni, by poczuwać się do winy; widzieli się chętnie w roli ofiar.

List z 1965 r. nadał ton relacjom polsko-niemieckim na kolejne dekady. Stał się symbolem dla tego, co nazywamy procesem pojednania (dialogu) polsko-niemieckiego. Czyli: dla oddolnych, niezależnych od władz PRL relacji między Polakami a Niemcami przed 1989 r. Uczestniczyli w tym i biskupi, i zwykli ludzie, również środowisko „Tygodnika".

Dziś po prawej stronie polskiej polityki modne jest kwestionowanie sensu tego dialogu. Twierdzi się, że jego polscy uczestnicy byli naiwni i zostali wykorzystani. Pewien publicysta użył pojęcia „operacja pojednanie", sugerując, jakoby po stronie niemieckiej była to akcja intencjonalna, mająca pomóc w realizacji interesu Niemiec (uniknięcia zadośćuczynienia).

Nie zgadzamy się z tym. Proces pojednania zawsze miał dwa wymiary: i etyczny (chrześcijański), i polityczny. To była *Realpolitik*, z konkretnymi celami, a nadrzędnym było wyrywanie Polski – krok po kroku, na miarę możliwości i okoliczności – z zależności, w jakich się znalazła w 1945 r. (także o tym jest mowa w liście biskupów). W polskim interesie była tu także normalizacja relacji Polska–Niemcy, w tym przezwyciężenie podziału Niemiec.

Chcemy dziś bronić idei pojednania i związanej z nią politycznej strategii. Procentowała ona nie tylko po 1989 r., gdy Polska zaczęła swoją „drogę na Zachód", do NATO i Wspólnoty (dziś Unii) Europejskiej. Można też zapytać: czy gdyby nie dialog polsko-niemiecki z lat 60. i 70., w 1978 r. papieżem zostałby Karol Wojtyła – uczestnik tego dialogu?

O tym wszystkim chcemy opowiedzieć w specjalnym dodatku, który ukaże się wraz z „Tygodnikiem" za tydzień – na 60. rocznicę tamtego listu biskupów.

WOJCIECH PIĘCIAK, redaktor wydania



FUNDACJA „KRZYŻOWA" DLA POROZUMIENIA EUROPEJSKIEGO / ANDRZEJ ŚLUSARCZYK

Tadeusz Mazowiecki i Helmut Kohl w Krzyżowej, 12 listopada 1989 r.



DPA / PAP

Kardynał Wojtyła, prymas Wyszyński i przewodniczący niemieckiego Episkopatu kard. Joseph Höffner podczas wizyty delegacji polskiego Episkopatu w Niemczech Zachodnich, tuż przed konklawe. Fulda, wrzesień 1978 r.



SYLWESTER BRAUN PS. KRIS / MUZEUM WARSZAWY

Zniszczona Warszawa, sierpień 1944 r.

W DODATKU:

- abp HENRYK MUSZYŃSKI (rocznik 1933), uczestnik dialogu polsko-niemieckiego, oraz przewodniczący niemieckiego Episkopatu bp GEORG BÄTZING opowiedzą, dlaczego miał on sens;
- historyk ROBERT ŻUREK przypomni list biskupów, ideę pojednania przed 1989 r. i jej efekty, a JACEK STAWISKI, redaktor naczelny „TP", polityczny przełom w relacjach polsko-niemieckich sprzed 35 lat;
- MAREK ZAJĄC opowie o motywacjach ludzi ze środowiska „Tygodnika", którzy budując przed 1989 r. oddolne kontakty z Niemcami, łamali monopol komunistycznego państwa.

„TYGODNIK" Z DODATKIEM W DYSTRYBUCJI OD ŚRODY 12 LISTOPADA!

Dodatek ukazuje się z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej oraz Fundacji Renovabis

FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT

Renovabis
Solidaritätsaktion der deutschen Katholiken mit den Menschen in Mittel- und Osteuropa

WYDAWCA DODATKU: Fundacja Tygodnika Powszechnego

REKLAMA

NAUKA

WSZYSTKO DLA DZIECI

SUSANA CARMONA, NEUROBIOLOŻKA:

Ciąża to najbardziej znacząca przemiana, przez jaką przejść może człowiek. Nie tylko na poziomie ciała. Także na poziomie mózgu.



MARIA HAWRANEK: Co ma wspólnego mózg kobiety w ciąży z mózgiem nastolatka?

SUSANA CARMONA: Dojrzewanie i macierzyństwo – a także menopauza – to okresy tranzycji neuroendokrynologicznej. To znaczy, że zachodzą wtedy olbrzymie zmiany wywoływane hormonami, które wpływają na mózg. Podobieństwo tych zjawisk wyraziła po raz pierwszy antropolożka Dana Raphael, która w latach 70. stworzyła pojęcie „matrescencja" – dostosowanie się do macierzyństwa [w analogii do adolescencji, czyli dojrzewania – red.]. Jest wiele podobieństw między nastolatkami i kobietami w ciąży zarówno na poziomie zmian fizycznych, jak i psychicznych. W mózgu dochodzi przede wszystkim do redukcji objętości istoty szarej.

W Instituto de Investigación Biomédica del Hospital Gregorio Marañón w Madrycie przeprowadziliście badanie porównawcze nastolatek z kobietami w ciąży.

Głównym celem tego badania było uświadomienie badaczom ciąży, którzy nie zajmują się neuronauką, że redukcja objętości istoty szarej niekoniecznie jest czymś negatywnym czy problematycznym. U nastolatek i ciężarnych te redukcje są praktycznie identyczne, a przecież nikt nie powie, że mózg nastolatków się wówczas nie rozwija.

Redukcja następuje przede wszystkim w korze mózgowej?

Nasze pierwsze badania, w których mierzyliśmy mózgi tylko przed i po ciąży, wykazały przede wszystkim redukcję w korze, w obszarze tzw. sieci stanu spoczynkowego/domyślnego (*default mode network*). Teraz, kiedy mamy pomiary z różnych momentów ciąży i o wiele więcej przeanalizowanych danych, widzimy, że te redukcje występują w wielu obszarach mózgu. Ich punktem zwrotnym jest moment porodu.

Czyli kiedy raz się zostanie matką, nie da się wrócić do tej siebie sprzed ciąży?

Mózg stopniowo odzyskuje większość obszarów zredukowanej istoty szarej. Każda z sieci robi to w swoim tempie. Najdłużej trwa to w sieci stanu domyślnego, która praktycznie nigdy nie wraca do punktu wyjścia. Przebadałam tysiące mózgów, tysiące patologii, i nigdy nie widziałam tak stałych zmian jak te, które wydarzają się u kobiet w trakcie ciąży.

Za co odpowiada ta sieć?

Jest powiązana z twoim wewnętrznym głosem, tym, co myślisz i odczuwasz na temat samej siebie, czyli z introspekcją i samorefleksją – z pytaniem o to, kim jestem? Ale też pozwala interpretować, kim są inni w kontekście nas samych, co wiąże się z empatią i teorią umysłu. To dlatego badania nad matrescencją wymagają połączenia neuronauk z badaniami psychologicznymi, socjologicznymi czy refleksją filozoficzną nad macierzyństwem.

Skoro redukcja nie oznacza pogorszenia, a wręcz przeciwnie, to co się właściwie dzieje z tymi neuronami? Znikają? Robią się bardziej wyrafinowane, jakby „lżejsze"?

Nie wiemy dokładnie, czy zmiany dotyczą tylko neuronów, czy też tego, co je podtrzymuje. Jeśli chodzi o matki, dopiero próbujemy połączyć te puzzle. Zajęłam się tym tematem właśnie dlatego, że ze zdziwieniem odkryłam, iż nie ma żadnych badań przeprowadzonych na ludziach. Pierwsze badanie dotyczące neurologicznych zmian u kobiet w ciąży opublikowaliśmy niedawno – w 2017 r. Za to dość dobrze już wiemy, co dzieje się u nastolatków – dochodzi do tzw. przycinania synaptycznego, w czasie którego niepotrzebne połączenia między neuronami są usuwane po to, by wzmocnić te bardziej efektywne. Chodzi o optymalizację ścieżek przetwarzania – możesz mieć kilka dróg, by dostać się z punktu A do B, i zgubić się po drodze, a możesz wyeliminować drogi drugorzędne i poruszać się tą najbardziej bezpośrednią. Wówczas zmniejszenie objętości implikuje większą wydajność, lepsze dostrojenie obwodów w mózgu.

Już pierwsze Pani badania wykazały, że skala tej redukcji jest skorelowana z więzią, jaką matka czuje z dzieckiem. Im większa redukcja, tym silniejsza więź?

Pytanie brzmiało: czy zmiany w mózgu mają związek ze zmianami poznawczymi? Otóż nie. Są związane z więzią matki i dziecka, która jest z kolei połączona z dobrostanem matki. Im bardziej jej mózg się zmienia, tym lepiej czuje się matka i tym łatwiej jej nawiązać więź z noworodkiem. Wydaje się, że te wszystkie zmiany w mózgu służą jej przygotowaniu do nawiązania relacji z maluchem. Oczywiście nie znaczy to, że jest to czynnik determinujący – często popełniamy taki błąd w myśleniu, że mylimy powiązanie z relacją przyczynową.

Pokażę to na innym przykładzie: łączymy palenie z rakiem, ale palenie nie jest ani warunkiem koniecznym, ani wystarczającym do tego, by mieć raka – można mieć raka, nie paląc, można palić wiele lat i nie zachorować. To ważne, by mieć na uwadze to rozróżnienie, bo ludzie z automatu zakładają, że jeśli nie przechodzisz przez ciążę, nie będziesz w stanie nawiązać bliskiej relacji z dzieckiem. Tymczasem więź może powstać na różne sposoby – kobiety, które nie były w ciąży, a także ojcowie nawiązują relację poprzez interakcję z dzieckiem, wystarczy czasem nawet fakt współmieszkania z ciężarną. Na tej zasadzie tworzy się więź między ojcem a noworodkiem albo w związkach lesbijskich między drugą matką i noworodkiem.

Hormony ciążowe po prostu przyspieszają ten proces i ułatwiają początek nawiązania więzi, ale jej nie determinują. To, co ma ogromne znaczenie, to ciągłe interakcje mamy z dzieckiem i jej zaangażowanie w opiekę, które będzie modelować zachowanie matki metodą prób i błędów. Czyli jesteś zmotywowana, by opiekować się dzieckiem, ale ostatecznie to dziecko uczy cię, jak być matką.

Jak mierzy się przywiązanie matki do dziecka?

Są różne metody, żadna nie jest doskonała, ale tak wygląda rzeczywistość badaczy. W pierwszym badaniu pokazywaliśmy mamom zdjęcia ich dzieci i obserwowaliśmy, które części ich mózgu się aktywują – porównywaliśmy to oglądaniem zdjęć innych dzieci. Wręczaliśmy im też ustandaryzowane kwestionariusze mierzące przywiązanie.

Teraz robimy coś bardziej złożonego, ale też, mam wrażenie, bardziej miarodajnego – ewaluujemy matki w interakcjach z ich dziećmi. Mamy różne procedury eksperymentalne, np. „twarz bez wyrazu". Najpierw matki wchodzą w interakcje z półrocznymi dziećmi, a potem prosimy, by na chwilę przybrały twarz ↦

ELIZAVETA GALITCKAIA / SHUTTERSTOCK

↦ pokerzystki. Patrzymy jak dziecko reaguje na tę zmianę, i jak matka potem reaguje na dziecko. Mamy bardzo szczegółowe wskazówki, jak zapisywać punkty na skali.

Inny eksperyment to „dziwna sytuacja". Przychodzi mama z 2-latkiem. Po chwili wychodzi z sali, maluch zostaje w niej z kimś obcym, więc oczywiście płacze, krzyczy. Potem mama wraca. Obserwujemy zdolność dziecka do powrotu do równowagi – jak szybko się reguluje? To zależy od więzi, jaka się wytworzyła między mamą a dzieckiem. Dzieci reagują na różne sposoby – niektóre szybko się uspokajają, ale są takie, które nawet nie płaczą, jak mama wychodzi, co też nie jest zdrowe, albo ją ignorują. Nie chodzi tylko o tempo regulacji, ale o wszystko, co się dzieje wokół tego zdarzenia.

Pani badania przeczą stereotypowi „mózgu ciążowego" albo amnezji ciążowej? To mit?

Niezupełnie. Na ten stereotyp składa się wiele elementów, które trzeba analizować niezależnie. 85 proc. kobiet w ciąży deklaruje, że odczuwają braki w pamięci pod koniec ciąży i na początku macierzyństwa. Jeśli zdecydowana większość kobiet to czuje, a do tego mamy badania, które wykazują, że w niektórych zadaniach dotyczących pamięci ich wyniki rzeczywiście są słabsze, to znaczy, że ten fenomen istnieje. Ale jest wiele rzeczy, które na nim nadbudowano.

Musimy mieć jasność, że zostanie matką na dłuższą metę wcale nie oznacza, że będziemy mieć gorsze zdolności poznawcze – wygląda na to, że ta mniejsza dyspozycyjność jest ograniczona w czasie do końcówki ciąży i początku okresu poporodowego, potem następuje poprawa – nie tylko kobiety wyrównują zdolności poznawcze do poziomu sprzed ciąży, ale nawet mają w tym obszarze wyższe wyniki.

Trzeba też wziąć pod uwagę dwie rzeczy. Po pierwsze, godziny snu – w okresie poporodowym najczęściej śpimy za mało, nieregularnie, a brak snu w oczywisty sposób wpływa na nasze funkcje poznawcze niezależnie od płci i stanu. Po drugie – zmianę priorytetów. Reakcje dziecka mają zdolność całkowitego uprowadzenia uwagi matki. Na dodatek znaczna część pamięci roboczej ich mózgu jest poświęcona na ciągłe przetwarzanie w tle tego, co dzieje się z noworodkiem. Nie chodzi więc o to, że „ciastko", czyli mózg, robi się mniejsze, tylko, że musimy podzielić je na więcej kawałków. W pierwszych miesiącach obsługa dziecka konsumuje więcej niż połowę, więc resztę naszych potrzeb musimy obsługiwać o wiele mniejszymi zasobami.

Na to wszystko nakłada się konstrukt społeczny „mózgu ciężarnej" – dorastałyśmy w przekonaniu, że w czasie ciąży i połogu będziemy o wiele bardziej rozproszone niż zwykle, więc każdą wpadkę pamięciową przypisujemy właśnie tej przyczynie, co jest klasycznym błędem poznawczym znanym jako efekt potwierdzania.

Krótko mówiąc, są w tym pojęciu ziarna prawdy, ale pomieszane z dodatkami. Osobiście uważam, że zużycie zasobów przez bycie w ciąży, karmienie, niespanie, nieregularne odżywianie się, powoduje, że nasz system jest ciągle zestresowany i przechodzi w tryb przetrwania, priorytetyzując rzeczy ściśle z nim związane.

Do niedawna my, kobiety w ciąży, **jako obiekt badań byłyśmy bezgłowe. Staram się przywrócić nam mózg.** Chciałabym zobaczyć, jak mózg w czasie ciąży współdziała z układem krwionośnym czy odpornościowym.

Czy jest związek między zmianami neurologicznymi w ciąży a depresją poporodową?

To pytanie za milion dolarów i właśnie szukamy na nie odpowiedzi. Zaczęliśmy diagnozować depresję poporodową bez wiedzy o tym, jak wygląda normalny stan matki w tym czasie. Chcielibyśmy stworzyć swoistą mapę, przewodnik po mózgu matki po porodzie, tak by mieć punkt odniesienia i móc określić, czy dana osoba jest w grupie ryzyka depresji poporodowej, czy nie. Analogicznie do wskaźników dotyczących np. poziomu cukru we krwi, który pozwala określić, czy matka ma ryzyko cukrzycy, czy nie. Na tę chwilę mamy zaledwie fragmenty puzzli, które pozwalają zobaczyć zmiany w częściach mózgu odpowiedzialnych za emocje i pamięć u osób z większymi symptomami depresji.

Czy da się wesprzeć jakoś te zmiany, które dzieją się w mózgu? Zachowaniem, suplementami?

Na poziomie mózgu – nie wiemy, bo wciąż nie rozumiemy zbyt dobrze, jakie dokładnie zmiany zachodzą. Na poziomie zachowania – tak, jest wiele rzeczy, które mogą sprawić, że matce łatwiej będzie nawiązać więź z noworodkiem.

Ważne, by nie zniechęcać się popełnianymi błędami, bo właśnie w taki sposób się uczymy. Odpoczywać, jeśli potrzebujemy odpoczynku, sięgać po pomoc, gdy czujemy, że nie dajemy rady. Musimy dbać o naszą wioskę, poszerzoną rodzinę, bo przez macierzyństwo nie da się przebrnąć w pojedynkę. Tymczasem wymaga się od nas, byśmy pracowały, jakbyśmy nie były matkami, i były matkami w taki sposób, jakbyśmy nie pracowały.

Czy sam poród wywołuje zmiany w mózgu?

Wszystko wskazuje na to, że tak. Lecz w tej chwili mamy dopiero wstępne dane. Ciąża pod względem hormonalnym różni się od tego, co dzieje się w organizmie podczas porodu, a także w czasie połogu. A skoro wiemy, że hormony związane z macierzyństwem przenikają do mózgu i dokonują tam zmian, to z całą pewnością w momencie porodu również wywierają wpływ. Opublikowaliśmy artykuł, w którym porównujemy zmiany w mózgu wśród kobiet, które urodziły

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA

W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

przez cesarkę w trybie nagłym, cesarkę planowaną i waginalnie.

Okazuje się, że na poziomie mózgu nie ma znaczenia, jaką drogą urodziło się dziecko, ale ma znaczenie, czy ciało miało okazję się do porodu przygotować – kobiety z planowanymi cesarkami najbardziej różniły się od pozostałych kobiet. Ale to badania na małej próbie, w których mierzyliśmy kobiety tylko w trzecim trymestrze i miesiąc po porodzie. Mamy za mało danych, by wyciągać na tej podstawie jakieś wnioski.

Wiemy jednak, że sposób porodu wpływa na percepcję kobiety. W innym badaniu prosiliśmy uczestniczki, by dokonały oceny doświadczenia porodu. Okazało się, że te, które miały bardziej traumatyczne czy trudne przeżycia, miały większe zmiany w rejonie hipokampu, związanym z pamięcią.

A wie już Pani, czy zmiany w mózgu kobiet w pierwszej i kolejnych ciążach są podobne?

Właśnie analizujemy dane z badania dotyczącego drugich ciąż, podobnie jak ekipy z Holandii i z USA, które z nami współpracują, więc nie mogę na to pytanie jeszcze odpowiedzieć. Jeśli spojrzymy na modele zwierzęce, to jednak wygląda na to, że pierwsza ciąża powoduje największą jakościową zmianę. Szczurzyce, które już raz były matkami, szybciej wchodzą w rolę macierzyńską niż te, które robią to po raz pierwszy – choć warto podkreślić, że w przypadku tych badań mówimy o zachowaniu, nie badaniach mózgu. Możemy te wyniki ekstrapolować na ludzi – trudności, jakie piętrzą się w związku z opieką nad pierwszym w życiu noworodkiem, mają mało wspólnego z tym, co dzieje się za drugim razem. Pojawia się co prawda nowe wyzwanie – opieka nad dwojgiem jednocześnie, ale wejście w rolę opiekunki jest o wiele bardziej gładkie.

Czy badacie też mikrochimeryzm?

Przyglądamy się mu, podobnie jak wielu badaczy na świecie. Wydaje się, że to *science fiction*, a tymczasem to czysta nauka.

Łożysko rozdziela obiegi krwi matki i dziecka, są jednak cząsteczki, które wzajemnie do nich przenikają – we krwi matki znajdziemy cząsteczki z DNA dziecka, i odwrotnie. Dlatego możliwe jest wykonywanie tak wcześnie rzetelnych badań diagnostycznych dotyczących chorób genetycznych dziecka przy pobraniu krwi matki. Co ciekawe, do niedawna sądzono, że po porodzie te komórki znikają z obiegu krwi matki. Jednak badania dowodzą, że zostają w tkankach matki przez całe dekady, a nawet na całe życie.



ARCHIWUM PRYWATNE

SUSANA CARMONA jest neurobiolożką, specjalizuje się w badaniach kobiet w ciąży i matek. Kieruje laboratorium Neuromaternal w Instituto de Investigación Biomédica del Hospital Gregorio Marañón w Madrycie. Opublikowała ponad 60 prac naukowych i popularnonaukową książkę „Neuromaternal".

Przeprowadzono pośmiertne badania mózgów kobiet, wśród nich była 90-latka, u której znaleziono DNA obojga dzieci. Inne badania znalazły DNA dziecka np. w bliźnie po cesarce i tkankach w piersiach. Nie rozumiemy do końca, jak to działa. Z jednej strony, ponieważ są to multipotencjalne komórki macierzyste, uważa się, że wędrują w kierunku uszkodzonych tkanek matki, by pomóc im się odbudować. Z drugiej strony łączy się ten fenomen z chorobami autoimmunologicznymi. Byłoby to jedno z możliwych wyjaśnień, dlaczego my, kobiety, jesteśmy w grupie podwyższonego ryzyka zapadalności na te choroby – jeśli jesteśmy też matkami, to cały czas nosimy w sobie DNA inne od naszego.

Co ciekawe, te komórki są w naszym ciele przed zajściem w ciążę – być może są to komórki embrionów, które nie zdążyły się rozwinąć? Te komórki zawierają DNA matki i ojca. Może więc być też tak, że do końca życia nosimy w sobie DNA ojca naszych dzieci. Otwierają się wrota do fascynujących pytań.

Na wyniki jakich badań czeka Pani z niecierpliwością?

Och, mnóstwa! Chcę się dowiedzieć, co się dzieje w mózgu w czasie kolejnych ciąż albo połączyć to, co się dzieje w mózgu, z procesami, które zachodzą w obwodach neuronowych. Do niedawna my, kobiety w ciąży, jako obiekt badań byłyśmy bezgłowe. Przywrócić nam mózg i zobaczyć, jak łączy się z układem krwionośnym czy odpornościowym – to fascynujące! Chciałabym móc przewidywać depresję poporodową, a tym samym jej zapobiegać. Albo obserwować, jak zmienia się nasze starzenie – są badania, które wskazują, że mózgi matek starzeją się wolniej niż innych kobiet – być może przez zmiany hormonalne, które długoterminowo chronią przed procesami zapalnymi w czasie menopauzy, być może także przez zmianę stylu życia na zdrowszy – pomyślmy choćby o częstszych spacerach w parku z dziećmi. Obie te hipotezy mogą być poprawne. Być mamą to jak rozwiązywać niekończące się sudoku. Z pewnością buduje to większe rezerwy poznawcze na starość.

Jednak to, co bardzo motywuje mnie teraz do działania, to również chęć dotarcia z dotychczas zebranymi danymi – szczątkowymi, ale jednak bardzo solidnymi – do publicznej wiadomości. W tym do potencjalnych sponsorów badań, także tych indywidualnych.

Rok temu napisała Pani książkę „Neuromaternal" – o tym, co dzieje się z mózgiem kobiet w czasie ciąży i macierzyństwa.

Chciałam, by posłużyła matkom w lepszym zrozumieniu siebie. Wydaje się, że w ciąży jesteśmy szalone, a po niej musimy jak najszybciej wrócić do tego, co było. Otóż nie. To najbardziej znacząca przemiana, przez jaką przejść może istota ludzka – na poziomie fizycznym i na poziomie mózgu.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

ELIZA

Kącka: *Skrzydła w domu*



Pociąg z Wrocławia, para przed trzydziestką kilka siedzeń dalej. Gadają tak głośno, że cały wagon podpięty. On: „Przemyślałem to, i mogę się z tobą spotykać". Pauza. „Skoro ci zależy. Ale to dla mnie jakieś ryzyko, musisz to wziąć pod uwagę. Wizerunkowe. Ja się muszę nagiąć". Ona na zdziwieniu: „Tomek, ja mam chłopaka". Pauza. „Jak to? Dlaczego o tym nie wiem?". „Hm, nie pytałeś". „Wiesz co, takie rzeczy się mówi. Czy on zdaje sobie sprawę, że ludzie o tym nie wiedzą?". „Przepraszam cię, nasi przyjaciele wiedzą". „Ale ja nie". „Ależ ja cię dopiero poznałam...". „Przez szacunek dla niego powinnaś mówić ludziom". „Weź przestań". „Uprawiasz dezinformację. Nie zasługujesz na związek". „Ej! Niech mój chłopak decyduje". „Chętnie bym z nim porozmawiał". „Nie porozmawiasz". „Obawiam się, że rozmowa nastąpi. Naciągałaś mnie na związek, żebrałaś o uwagę, mimo jego zaangażowania". „Matko". „Między nami w każdym razie koniec. U mnie nie masz szans".

Wrocław, wieczór późny. Ciemność w łepetynie, więc od rejonów dworcowych odbijam ku Podwalu. Krótka przebieżka, nade mną niebo w kolorze na nic nienaprowadzającym, nie ma się w czym odbić. Blisko fosy zmierzam ku arterii świateł. Stoję sobie i wgapiam się w brzeg. Podchodzi gość z torbami ruskimi na ramionach. „Ładnie". Potwierdzam: „Ładnie". „Pod takim niebem mogę spać". Uśmiecham się. „Już w porządku" – mówi. Poszedł.

Wrocław, tramwaj na Krzyki i dalej, jadę na rozmowę radiową. Tuż przy mnie dwóch mężczyzn siedemdziesięcioletnich na oko. Jeden stoi przy siedzeniu osłaniająco, jakby chciał temu drugiemu stworzyć z płaszcza zaporę przed ekspansją świata. Siedzący w wyraźnym zamieszaniu, w półobrocie, jakby miał poderwać się za chwilkę. „A mamy jeszcze czas?". Stojący kojąco: „Mamy". Po chwili: „Mamy czas?". „Mamy, braciszku". „Bo mówiłeś, że mamy". „Mamy, kochany". Pauza. Siedzący spogląda w okno, z niepokojem. Potem zawiesza się i z niedowierzaniem śledzi prawą dłoń, prostuje palce. Podnosi bezradny wzrok na brata: „A ja mogę mieć czas?". „Możesz, drogi, możesz". Z brata przenosi spojrzenie na mnie, uśmiecha się: „Widzi pani, ja mam czas". Patrzy przez chwilę, jakby już wiedział. Jego brat też się uśmiecha, rozluźniony. Wszystkim nam jakby odpuściło. Na krótko, bo raptem zaczyna mocniej się wiercić, jakby coś go gniotło. Brat przytrzymuje jego ramię, ale strąca dłoń z pretensją, z żalem. Puszcza niewidome, przerażone spojrzenie w wędrówkę po całym wagonie. I to spojrzenie trafia znów na mnie. Rzuca z bólem, zaciskając dłonie, na granicy płaczu: „Proszę pani, a co to jest ten czas?". Brat podnosi go, wysiadają na przystanku Orla. Łzy na policzku holującego.

Pociąg z Krakowa. Dialog dwóch, kilka siedzeń dalej. „Ej, pod drzwiami do tamtego wagonu siedzi chyba ta Nike". „I co?". „No nic. Chyba śpi". „Weź jej rzuć tekst". „Ale że co, mam jej naubliżać?". „Debil. Piszesz. Idź i rzuć coś". „Myślisz, że mam ot tak?". „Załamujesz. Wymyśl coś i wypróbuj na niej kawałek". „Oleje mnie". „Niee, ona to lubi, mówię ci. Śpi, bo nic nowego nie ma do czytania". „Myślisz?". „Stary, tylko tym żyje". „Ja też w sumie". „Będzie ci wdzięczna". „To może pójdę". „Grzeczny chłopiec". „A jak powie, że to do niczego?". „To jej powiesz, że takiego głupiego werdyktu to od lat nie było". No to śpię.

Targi Książki w Krakowie, ścisk i zamęt. Tłoczymy się jak w podgrzewanej, wybrzuszającej się puszce. Zaraz pęknie. Między salą Dunaj a salą Wisła ludzie poruszają się w masie tak zbitej, że nie trzeba używać nóg. Duchota. Tuż przy mnie przemieszczają się trzy rodziny: tokują, nawołują, negocjują. Ze zbitki ludzkiej najmocniej wybija się jeden ton: kobiety przepychającej wycieczkę w prawo, ku stanowiskom tuż przy przejściu. Druga linia, męska, coraz głośniej protestuje, sarka. „Idźidź, idźidź" – forsuje kobieta, podpychając dziećmi męża. Ten dzielnie to znosi, opiera się lekko. Forsowanie narasta. Kotłowanina. Przechylamy się na burtę tuż przy stanowisku Jedności. I cała nasza prawa burta słyszy: „Nie mam teraz czasu na Pana Jezusa!".

Z Rudą na zakupach, zagaduje: „Moja koleżanka chce wiedzieć, jak masz się po nagrodzie. Oczywiście, chodzi o Nike". „Domyślam się. Możesz odpowiedzieć, że dobrze, ale zmęczona, bo dużo się dzieje". „Co masz na myśli?". „No, wyjazdy, rozmowy. Nie jest to złe, oczywiście". „Jest dobre". „Racja, jest dobre". „Koleżanka radzi sprzedać tę statuetkę. Można też licytować". „Hm, ale że na cel jakiś?". „Nie, mówi, że można więcej w ten sposób zarobić". „Aaa, no dobrze, nie planuję". „Zgadzam się z tobą". „A dziękuję. Wiesz, taki przedmiot ma inną wartość, możesz przekazać, sentymentalną". „Ona pisze, że to tylko blacha, a zarobić można jak za inny metal". „Niezła jest. Brąz na złoto, rozumiem". „Napisała, że może ona też kupić, bo mają więcej pieniędzy". „Pięknie". „Tylko chciała wiedzieć, czy tam jest twoje nazwisko". „Na statuetce? Nie. Może udawać, że to jej wręczyli". „Napiszę, że ja nie oddam". „Aha". „To moje także". „Pewnie". „I napiszę, że to skrzydła". „Owszem. Dobrze mieć skrzydła w domu. Ciężkie, solidne". „Tak". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono" (Nagroda Nike 2025).

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center
dla Twojego biznesu
w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie



REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

LISTOPADOWE Ppremiery W TEATRZE TELEWIZJI

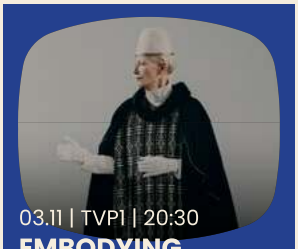

03.11 | TVP1 | 20:30

EMBODYING PASOLINI

Tilda Swinton i Olivier Saillard

Autorski projekt wybitnej aktorki Tildy Swinton, laureatki Oscara i Honorowego Złotego Niedźwiedzia na Berlinale za całokształt twórczości, oraz uznanego kuratora mody i historyka sztuki Oliviera Saillarda. To spektakl, który eksploruje granice między przeszłością i teraźniejszością sztuki, a także granice między teatrem, modą i filmem. „Embodying Pasolini" - czyli dosłownie „ucieleśnianie Pasoliniego" - to hołd oddany twórczości filmowej Piera Paolo Pasoliniego. Tilda Swinton prezentuje i ożywia kostiumy z filmów słynnego reżysera (m.in. *Ewangelia wg św. Mateusza*, *Król Edyp*, czy *Salò, czyli 120 dni Sodomy*) - bezcenne eksponaty muzealne, dotąd niedostępne dla widzów, powracają na scenę jako niemi świadkowie historii filmu, tworząc rodzaj „żywego muzeum". Blisko trzydzieści kostiumów autorstwa Danilo Donatiego nabiera nowego sensu w spotkaniu z ciałem Tildy Swinton – stroje „odzyskują głos", historia staje się materialna. Twórcy proponują rodzaj podróży przez historię kina i mody, nie odtwarzając, ale ucieleśniając role z filmów wybitnego włoskiego reżysera Piera Paolo Pasoliniego.

Twórcy prezentują ten niezwykły performance tylko raz w roku, w wybranym przez siebie miejscu na świecie. W 2025 *Embodying Pasolini* można było obejrzeć w Poznaniu, podczas Malta Festival. Dzięki realizacji TEATRU TELEWIZJI to niezwykłe spotkanie można powtórzyć i zarazem pogłębić, bo poprzez wielokamerową rejestrację spektakl zyskuje kolejny wymiar, skupiony na detalu, fakturze i krawieckim kunszcie prezentowanym w bliskim planie.

UWAGA! Po emisji spektakl nie będzie dostępny na platformie VOD.



04.11 | TVP Kultura | 20:00

PIEŚNI PIEKARZY POLSKICH

Mariusz Gołosz, reż. Klaudia Gębska, adapt. Patryk Kozłowski

Mariusz Gołosz, jeden z najjaśniejszych talentów młodego pokolenia twórców teatralnych, napisał tekst-manifest, w którym upomina się o godność pracowników na samym dole drabiny społecznej. Osią historii - niepozbawionej mocno autobiograficznych wątków - jest podróż, jaką dwójka piekarzy odbywa przez kraj w poszukiwaniu pracy. Kolejne odwiedzane przez nich piekarnie układają się w paradoksalny obraz świata, w którym rzemieślniczy chleb kosztuje kilkadziesiąt złotych, choć zarazem tych, którzy go wypiekają, już od dawna na niego nie stać. Spowita zapachem ciepłego chleba piekarenka staje się tu posępną miniaturą późnego kapitalizmu. Klaudia Gębska zrealizowała tekst Gołosza w formie prekariackiego rap-musicalu - to odjechana, rapowa baśń o mrocznych kulisach powstawania żytnich bułeczek i chlebów na zakwasie. Bajkowa forma splata się tu z obrazami ciężkiej, fizycznej pracy, a zwykła piekarnia staje się przestrzenią rozgrywki o godność człowieka.

Premiera *Pieśni piekarzy polskich* inauguruje nowy cykl w TEATRZE TELEWIZJI: NOWA DRAMATURGIA POLSKA. Będą to realizacje wartościowych tekstów współczesnej polskiej literatury teatralnej. Już niebawem kolejne przedstawienie w cyklu: *Królowa miłości* Sandry Szwarc w reżyserii Moniki Czajkowskiej.

Występują: Michał Badeński, Michał Królikowski, Piotr Tuleja, Alfreda Wodyńska, Filip Zaręba.



24.11 | TVP1 | 20:30

MATKA JOANNA OD ANIOŁÓW

Jarosław Iwaszkiewicz, reż. Weronika Szczawińska, adapt. Piotr Wawer Jr

Klasyka polskiej literatury w nowym wydaniu. Weronika Szczawińska - uznana reżyserka teatralna, laureatka Paszportu Polityki, badaczka kultury - proponuje współczesne odczytanie kultowego opowiadania. Uważnie i krytycznie przyglądając się kategorii „opętania", twórczynie i twórcy spektaklu proponują przekorną opowieść o bardzo silnej kobiecie (w tytułowej roli Beata Bandurska) - i nieco zagubionym mężczyźnie (w roli księdza Suryna - Piotr Wawer Jr). Na pierwszy plan tej historii wysuwa się ciało - tekst Iwaszkiewicza okazuje się w tym ujęciu świetnym materiałem na tzw. body horror, rozpiętym na pytaniach o to, w jaki sposób nasza kultura definiuje i wymusza to, co powinniśmy z naszymi ciałami i naszymi emocjami robić, a także o to, co dzieje się, kiedy ciało przestaje się mieścić w ciasnych ramach wyznaczonych kulturowo norm. Jaką grę toczy Matka Joanna, uznana za opętaną? I w jaki sposób postać egzorcysty, księdza Suryna, koresponduje z dzisiejszymi rozmowami o tzw. nowej męskości?

Spektakl, niepozbawiony humoru, zaprasza publiczność do odkrywania tajemnic Ludynia – i do zabawy teatralną formą, będącą mieszanką teatru dramatycznego, choreografii, muzyki, elementów teatru lalkowego i sztuk wizualnych. A wszystko to w monumentalnej, przepięknej architekturze zdesakralizowanego kościoła ewangelickiego w Pisarzowicach, gdzie zrealizowane zostały w całości zdjęcia do spektaklu.

Występują m.in.: Beata Bandurska, Rafał Cieluch, Alicja Czyczel, Milena Gauer, Anna Szymańczyk, Piotr Wawer Jr.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

TEATR TELEWIZJI

REPERTUAR – LISTOPAD

TVP1

Poniedziałki | 20:30

03.11 PREMIERA

EMBODYING PASOLINI*
Tilda Swinton, Olivier Saillard

MALTA FESTIVAL

10.11

KLUB KAWALERÓW (2001)
Michał Bałucki
reż. Krystyna Janda

24.11 PREMIERA

MATKA JOANNA OD ANIOŁÓW*
Jarosław Iwaszkiewicz
reż. Weronika Szczawińska

TVP KULTURA

Wtorki | 20:00

NOWA DRAMATURGIA POLSKA

04.11 PREMIERA

PIEŚNI PIEKARZY POLSKICH
Mariusz Gołosz
reż. Klaudia Gębska

11.11

NI Z TEGO, NI Z OWEGO (2020)
scen. i reż. Maciej Wojtyszko

18.11

UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECZKA (1974)
Stefan Żeromski
reż. Stanisław Brejdygant

25.11 TEATROTEKA

PRADZIADY (2018)
Wojciech Kuczok
reż. Michał Zdunik

SZCZEGÓŁOWY REPERTUAR ORAZ BOGATE ARCHIWUM DOSTĘPNE NA:

TEATRTV.VOD.TVP.PL

TVP VOD

TEATR TELEWIZJI TVP

* Po emisjach oznaczonych spektakli premierowych zapraszamy na teatralne **POSTSCRIPTUM**, czyli rozmowę z twórcami.

Trwa druga edycja konkursu na scenariusz NARRACJE NIEOBECNE
Termin nadsyłania scenariuszy: 28 lutego. Główna nagroda: 55 000 zł oraz realizacja scenariusza w formie spektaklu TEATRU TELEWIZJI. Szczegóły na teatrtv.vod.tvp.pl w zakładkce KONKURS.

KULTURA

TWARZE KAFKI

Poznajmy niezmordowanego wioślarza i piechura. Flirciarza, ale też czułego kochanka.W wolnych chwilach motocyklistę, ogrodnika i stolarza. Agnieszka Holland zrywa z ogranym do znudzenia repertuarem kafkowskich stereotypów.

ŁUKASZ MUSIAŁ



Słoneczny letni dzień. Do pływalni nad rzeką przybywają ojciec z kilkuletnim synem. Ten pierwszy – niedźwiedziej postury, pewny siebie, władczy. Lekceważąc obiekcje ratownika, za chwilę wypchnie syna z pomostu w mętny nurt Wełtawy i będzie kazał mu pływać. Wątły Franz (takie imię nosi chłopczyk) zdobędzie tę umiejętność dopiero w przyszłości. Na razie przypomina ciężki kamień bez opamiętania ciśnięty w wodę. Ojciec zdaje się tym wcale nie przejmować, a zdezorientowanemu ratownikowi rzuca niedbale dwa słowa: „Poradzi sobie".

To – tyleż przerażająca, co groteskowa – scena z najnowszego filmu Agnieszki Holland „Franz Kafka". Współczucie dla sponiewieranego malucha, zbyt słabego, by przeciwstawić się ojcowskiemu despotyzmowi, miesza się z coraz silniejszym poczuciem absurdu. Ostatecznie zaś przeradza się w śmiech na widok rosnącego zakłopotania obu dorosłych mężczyzn. Widząc, że chłopak nie wypływa na powierzchnię, mimo wszystko próbują trwać przy swoim i odegrać wyuczone role twardzieli.

Starszy brat

Co ciekawe, Franz naprawdę sobie poradził. Jako pływak, a później, dorastając, w wielu innych jeszcze rolach napisanych dla niego przez życie. Mało tego, po śmierci radził sobie... jeszcze lepiej! Został nie tylko najpoczytniejszym autorem XX w., także mitem i ikoną. Trudno wskazać innego klasyka światowego pisarstwa, który od dekad towarzyszyłby nam z podobną intensywnością.

Jego biografia i twórczość przekroczyły horyzont literatury. Z jednej strony nabrały wszelkich cech legendy, z drugiej – stały się czymś nadzwyczaj bliskim naszej codzienności. Ba, w wielu wypadkach życie i spuścizna praskiego pisarza w widoczny sposób kształtują ludzkie charaktery, postawy, opinie. Są narzędziem, dzięki któremu próbujemy tłumaczyć sobie trudny świat. Kto nie zna określenia „kafkowski" i nie użył go choćby raz.

Dlatego wcale nie popełniamy nadużycia, myśląc o autorze z Pragi, zmarłym przed ponad stu laty, jak o kimś wciąż obecnym i niezwykle nam bliskim. Bliskim tak po ludzku. Sama Agnieszka Holland powtarza w wypowiedziach towarzyszących premierze filmu, że pisarz jest dla niej od dawna niczym starszy brat. To reakcja na świat taki jak nasz, w którym życie stało się nierzadko trudne do zniesienia. I w którym wyjątkowo potrzebujemy „bliskich".

Kafka tańczy

Lubię powtarzać, że istnieje coś takiego jak „kafkometr", czyli urządzenie odmierzające skalę napięć, którym na co dzień usiłujemy sprostać. I tych lokalnych, i tych o zasięgu globalnym, a jednak w sposób przemożny oddziałujących na nasze jednostkowe losy. Wojny, epidemie, kryzysy polityczne, ekonomiczne, klimatyczne czy migracyjne – właśnie w tych okolicznościach powraca się do Kafki. To trochę tak, jakby szukano u niego nie tylko bliskości, lecz także kompasu w sytuacji, gdy wielu z nas staje nad przepaścią. Nie możemy odwrócić głowy, ale też nie potrafimy poradzić sobie z tym, co widzimy.

Tylko jak szukać „kompasu" u Kafki, skoro wciąż panuje przekonanie, że życie i twórczość tego człowieka były naznaczone nieusuwalną ciemnością? I że w związku z tym ostatnią rzeczą, której możemy od nich oczekiwać, jest zrozumienie lub nadzieja? Bodaj największą zaletą filmu Agnieszki Holland jest konsekwencja, z jaką walczy on z tym stereotypem, niewiele przecież mającym wspólnego z prawdą.



MARLENE FILM PRODUCTION / KINO ŚWIAT

Idan Weiss jako Franz Kafka w filmie w reżyserii Agnieszki Holland

Scena nad rzeką, nakręcona w konwencji czarnej komedii, to tylko jeden z całego szeregu przykładów, które pokazują, że życia i spuścizny pisarza nie wolno sprowadzać wyłącznie do ciemności. Są tu przykłady inne: Kafka energicznie policzkujący strażnika. Kafka tańczący. Albo w nieskończoność przeżuwający każdy kęs jedzenia, co budzi u domowników na przemian irytację i wesołość. Do tego niezmordowany wioślarz i piechur. Flirciarz i czuły kochanek. Regularny bywalec domów publicznych. Wysublimowany elegant. Doskonały prawnik. Motocyklista. W wolnych chwilach także ogrodnik i stolarz. Wreszcie człowiek, który śmieje się często i chętnie.

Scrollowanie pisarza

Ukazując wszystkie twarze Kafki, Holland nie tylko zrywa z ogranym już do znudzenia repertuarem „kafkowskich" stereotypów, lecz także kwestionuje tradycyjną chronologię. Czyni to chyba w przekonaniu, że trzeba rozbić zwierciadło, które dotychczas więziło pisarza w uproszczonym wizerunku socjopaty, najchętniej chowającego się przed światem w mrocznych piwnicach literatury.

Kawałków rozbitego szkła Holland nie zbiera oczywiście z powrotem, nie składa w nowy, spójny obraz. Przeciwnie, puszczając oko, zwłaszcza do młodszej części widowni, raczej te kawałki scrolluje. Skomplikowane relacje rodzinne (przede wszystkim z ojcem), krytyczny stosunek do wykonywanego zawodu prawnika, związki z kobietami (liczne, niemal wszystkie trudne), przyjaźnie, które pozwalały przetrwać najgorsze chwile.

Wreszcie choroba, która ostatecznie przyniesie pisarzowi śmierć ledwo po czterdziestce – wszystkie te węzłowe punkty biografii Kafki Holland „przewija palcem" w tempie przyprawiającym niekiedy o zawrót głowy. I zostawia na koniec z poczuciem, że tajemnicy to myśmy ledwie dotknęli. No tak, ale czy da się w ogóle dotknąć tajemnicy czyjegoś życia?

Inna rzecz, że scrollowanie ma w tym filmie jeden efekt cokolwiek wątpliwy: nie pozwala zmierzyć się z kwestią, dlaczego Kafka w ogóle pisał i dlaczego była to dla niego najważniejsza rzecz na świecie. A chyba możemy tego oczekiwać po filmie o człowieku, który literaturę utożsamiał z życiem. Nie mówiąc o innym pytaniu: co sprawia, że dla kolejnych pokoleń twórczość Kafki pozostaje tak istotnym punktem odniesienia?

Bohater (a)typowy

Agnieszka Holland robi w obu tych przypadkach unik trochę zbyt pośpieszny, może nawet zbyt łatwy. I skupia się na tym, co językiem współczesnej psychologii określilibyśmy mianem „atypowości" pisarza. W czym zresztą dostrzegam kolejny przykład puszczania oka ↦

↦ do młodszych widzów, dla których zjawisko „nienormatywności" jest już na dobrą sprawę doświadczeniem pokoleniowym. Nie odmawiam temu doświadczeniu ważności, jednak wydaje mi się, że to za mało, by opowiedzieć historię autora takiego jak autor „Procesu".

Toteż główne pytanie pozostaje. I pozostaje ważne: dlaczego Kafka w ogóle pisał i dlaczego skutki tego pisania z taką gwałtownością wykroczyły poza domenę literatury? Pisał, ponieważ utożsamiając literaturę z życiem, potrzebował literatury, by rozumieć i kształtować swoje życie.

A dlaczego ten rodzaj całkowicie „prywatnego" pisania zyskał popularność niemającą sobie równych w ostatnim stuleciu? Tutaj odpowiedź musi być bardziej złożona. Jeśli XX i XXI wiek przejdą do historii jako epoka globalizacji, to również jako epoka globalizacji doświadczeń egzystencjalnych. Przecież za sprawą bodaj żadnego innego twórcy ostatniego stulecia tak wielu ludzi w różnych miejscach świata nie poczuło autentycznej wspólnoty przeżyć, doznań, myśli, emocji.

A wszystko to niezależnie od własnego pochodzenia, pozycji społecznej, statusu ekonomicznego, wyznawanej religii, płci, orientacji seksualnej czy rasy. To tak, jakby w pochłanianych utworach Kafki, w jego zapiskach dziennikowych, listach, w świadectwach biograficznych oraz wielu innych odniesieniach do jego życia i twórczości poszukiwano detali, które pozwolą odkryć sekretny wzór życia.

Na pawlaczu

Stara to prawda (powtarzał ją Benedetto Croce), że cała historia jest tak naprawdę historią teraźniejszości. Dlatego nasze lektury Kafki w istocie zawsze więcej mówią o nas samych niż o Kafce. Ale skoro tak, to głód poznania jego twórczości i jego historii jest głodem samopoznania.

Weźmy choćby słynny „List do ojca", w którym pisarz przywołuje słynne „przeżycie na pawlaczu". W czeskich domach mieszkalnych pawlaczem nazywano otwarte zewnętrzne korytarze, wiodące do poszczególnych mieszkań i ciągnące się wzdłuż ścian naokoło podwórza. Którejś nocy kilkuletni Franz nieustannie budzi rodziców, z dziecięcej przekory domagając się wody. Ojciec Hermann, wyczerpawszy wszystkie inne środki perswazji i w końcu doprowadzony tym do wściekłości, wynosi syna na pawlacz, po czym zostawia w ciemnościach na kilka chwil samego, w koszuli nocnej.

> Naznaczone rozpadem życie i twórczość Kafki dają nam jakiś rodzaj chwilowego wytchnienia w obliczu wszechobecnych napięć. **Czy to nie paradoks?**

Być może dlatego niektórzy nazywają Kafkę Dantem epoki Freuda – w „Liście do ojca" daje on wyraz czemuś, co niemal dokładnie w tym samym czasie za sprawą twórcy psychoanalizy zyskało nazwę kompleksu Edypa. Iluż synów odnalazło się później w tej scenie! A także, z drugiej strony, jak wielu ojców! Synowie – ponieważ zrozumieli, że w pewnym sensie zawsze będą słabsi. Ojcowie z kolei pojęli, że odnoszą co najwyżej pyrrusowe zwycięstwa.

Niezależnie bowiem od tego, ile by później nie wyrządzili dobra swoim synom i jak bardzo ich nie wspierali, do historii przejdą wyłącznie jako brutalni despoci. Był to zresztą przypadek Hermanna Kafki: biografowie dostarczają wielu przykładów wsparcia, którego udzielał synowi i trzem córkom. Udzielał im także swobody niejednokrotnie większej niż w przeciętnych rodzinach mieszczańskich. Tylko co z tego? Nie na darmo Franz był przecież znakomitym prawnikiem i w „Liście do ojca" przyklеił Hermannowi łatkę tępego brutala. Wierzymy w to do dziś.

W realu

Innym wielkim tematem biografii pisarza są naturalnie kobiety. Najpierw matka, solidna mieszczanka, od świtu do nocy dbająca o gospodarstwo domowe i rodzinny interes. Przy tym bez reszty oddana mężowi i dlatego dość rzadko obecna w życiu czwórki swoich dzieci. Dorosły Kafka będzie jej zresztą czynił z tego powodu delikatne wyrzuty, nie dostrzegając wyjątkowej w tamtych czasach więzi, która łączyła jego rodziców. Wielką rolę w życiu Kafki odegrały, dalej, jego siostry, zwłaszcza najmłodsza z nich, Ottla. Z charakteru najbliżej jej było do starszego brata, ona też najlepiej rozumiała jego potrzebę tworzenia. Zdarzało się, że w późniejszych okresach wręcz zastępowała mu matkę, gościła u siebie, opiekowała się nim, troszczyła o wyżywienie, zdrowie.

A kobiety, w których się zakochiwał? Czy w nich również nie szukał przede wszystkim stabilnych punktów oparcia? Felicja Bauer, Milena Jesenská, Dora Diamant – by wymienić jedynie te najważniejsze. Jak piękne potrafił do nich pisać listy, jak pięknie do nich mówił.

Dopiero ostatnia miłość przyniosła mu spełnienie. To dla Dory zatwardziały kawaler wyprowadził się w końcu z rodzinnego domu, a następnie z Pragi, która przez całe dotychczasowe życie była zarazem jego klatką i schronieniem. Swój nowy dom i swoją nową rodzinę – małą, dwuosobową – budował odtąd przez pewien czas w Berlinie.

Wcale nie dziwi, że zwłaszcza życie uczuciowe Kafki budzi obecnie najżywszy oddźwięk wśród czytelników młodszego pokolenia. Całkiem niedawno dowiódł tego życzliwy odbiór, z jakim przyjęli oni powtórną edycję „Listów do Mileny". W znacznej mierze przeniósłszy swoje życie emocjonalne w przestrzeń wirtualną (na przykład do mediów społecznościowych), odnajdują w pisarzu swojego prekursora.

Czy może raczej właśnie „starszego brata", który przed stu laty słał do swych wybranek list za listem, a w każdym z nich żył nieledwie pełniej niż w „realu". Odwracanie głowy od rzeczywistości? Manipulowanie cudzymi uczuciami dla własnych korzyści? Może i po części tak, trudno temu zaprzeczyć, znając charakter Kafki. Ale też głęboko ludzkie pragnienie bezpieczeństwa, gdy się stoi nad przepaścią, a rzeczywisty świat odmawia gościny.

Nad przepaścią

Dla uczuć ostatecznie zawsze znajdzie się jakieś „wirtualne" schronienie, czy to w postaci tradycyjnych listów, czy w postaci emocjonalnych wpisów w mediach społecznościowych. Lecz jak ochronić swoją fizyczność? Oto kolejna kwestia, która przyciąga do Kafki. Jego ustawiczne perypetie z własnym ciałem obrosły już legendą. Największy cherlak w dziejach literatury. Mizerak, jakich mało. Wymoczek. Niezdara. Tak widziano go przez całe dekady.

Tymczasem dzisiaj wolimy postrzegać pisarza jako prekursora wegetarianizmu



MARLENE FILM PRODUCTION / KINO ŚWIAT

Peter Kurth (Hermann Kafka), Daniel Dongres (młody Franz) i Sandra Korzeniak (Julia Kafka) w filmie „Franz Kafka", reż. Agnieszka Holland

i nowoczesnych form pedagogiki ciała. Celują w tym znów przede wszystkim młodsi czytelnicy, nieobciążeni dawnymi stereotypami choćby dlatego, że w szkole rzadko dziś omawia się Kafkę.

Ci sami czytelnicy z wielką uwagą przyglądają się również ciałom portretowanym w tej twórczości, na przykład głównemu bohaterowi „Przemiany". Jego niespodziewana metamorfoza w budzącego wstręt robaka stała się ważkim punktem odniesienia dla współczesnych debat o cielesności chcianej i niechcianej; o niezgodzie na własne ciało albo, przeciwnie, o jego akceptacji. A także o transpłciowości, tranzycji, gender. Wreszcie o tym, w jaki sposób – nierzadko przecież wrogi – reaguje na to wszystko najbliższe otoczenie. Trudno nie doszukiwać się czytelnych aluzji do „Przemiany" choćby w jednej z najbardziej wpływowych powieści ostatnich kilkunastu lat, „Wegetariance" koreańskiej noblistki Han Kang.

Już tylko te przykłady obecnego zainteresowania Kafką dowodzą, że pozostawionej przez niego spuścizny nie da się sprowadzić po prostu do literatury, do której świata – świata iluzji – jesteśmy zapraszani. Dużo bliższe prawdy będzie stwierdzenie, że to my zapraszamy do naszego życia Kafkę. I czynimy go częścią realnego świata, w którym na co dzień mieszkamy; częścią prawdy o świecie „nad przepaścią".

Ale też o takim świecie, w którym wciąż nie wyczerpały się wszystkie zapasy ciepła, zrozumienia, nadziei. W przeciwieństwie bowiem do wielu zasobów naturalnych te są odnawialne. „Świat jest smutny" – melancholijnie stwierdza Kafka w jednym z listów. Po czym od razu dodaje: „Ale przecież w tym smutku zarumieniony, a czy żywy smutek jest daleki od szczęścia?" (przeł. Robert Urbański).

W ruinach

Na dobrą sprawę świat Kafki to świat ruin. Dosłownie i w przenośni. Dosłownie, ponieważ w ciągu krótkiego życia pisarza rzeczywistość, którą znał, rozpadła się na jego oczach. Przede wszystkim za sprawą I wojny światowej i jej skutków. Europa legła w gruzach i ostatecznie zaczęła się z nich podnosić dopiero u schyłku XX wieku, gdy upadał komunizm. Ale świat pisarza jest też światem ruin w przenośni: Kafka, głęboko dotknięty wszechobecnym rozkładem, sportretował go słowami, których siła oddziaływania do tej pory nie ma sobie równych. „Wyrok", „Przemiana", „Kolonia karna", „Proces", „Zamek" – wszystko to są światy umierające.

Rodzi się zatem pytanie, jak to właściwie jest, że w Kafkowskich ruinach tak często poszukujemy dla siebie azylu? Że chcemy tam pobyć choćby przez chwilę? Że lubimy korzystać z gościny naszego „brata"? Nie da się ukryć, że naznaczone rozpadem życie i twórczość Kafki bezsprzecznie dają nam jakiś rodzaj chwilowego wytchnienia w obliczu wszechobecnych napięć. Czy to nie paradoks?

Sądzę, że odpowiedzi nie należy szukać zbyt daleko. Kto uwielbiał w dzieciństwie zwiedzać na przykład stare średniowieczne zamki, będące jedynie bladym wspomnieniem swojej dawnej chwały, ten doskonale wie jedno: że ruiny istnieją poza historią, w przestrzeni, gdzie nic się nie dzieje. Pośród ruin przeminęło wszystko, co miało przeminąć. Stojąc tam, wiemy, że niczego nie musimy. A zwłaszcza, że nie musimy dokonywać wyborów, do czego gdzie indziej co chwila się nas zmusza. W epokach historycznych napięć ruiny to bezcenna oaza spokoju, która pozwala zdjąć z naszych barków dotkliwy ciężar powinności i czasu.

Pod gwiazdami

Nieprzypadkowo jednym z najczęściej używanych przez Kafkę słów jest spójnik „ale". To spójnik przeciwstawny, którego rolą jest osłabianie pewników, stwierdzeń uchodzących za niepodważalne. W ruinach Kafki podważać można wszystko i wszystko kwestionować. I zawsze wtrącić „ale". „Ale" jest przecież poza koniecznością, którą historia próbuje nam narzucić szczególnie wtedy, gdy stoimy nad przepaścią i gdy słyszymy, że nie ma alternatyw.

Oto powód, dla którego Kafkowskie ruiny potrafią dać wolność nieporównywalną z niczym: opuszczając ich przestrzeń i wracając do świata, jesteśmy innymi ludźmi. Co prawda w dalszym ciągu stoimy w obliczu przepaści, w pojedynkę nie odwrócimy losów świata. Ale uświadamiamy sobie, że gdzieś tam istnieje, być może, jakieś wyjście. Inny los i inny świat. Lub też, jak pisał Kafka w listach do swojej narzeczonej Felicji Bauer, szczęśliwa gwiazda. Trudna do znalezienia, lecz pod którą będzie można dalej żyć.

Czy nie dlatego swoją kapitalną powieść graficzną „Ameryka", opublikowaną przed kilkoma tygodniami i luźno nawiązującą do „Zaginionego" Kafki [znanego kiedyś pt. „Ameryka" – red.]. Piotr Dumała kończy portretem chłopca, który wpatruje się prosto w nasze oczy, ale robi to tak, że nie wiemy, czy uśmiecha się do nas, czy może jednak nie?

W gruncie rzeczy między tymi dwiema możliwościami zawiera się cały świat Kafki. Świat przegranych spraw, rozczarowań, ruin. Ale też świat ciszy. Świat nadziei – małej, niedorzecznej. Świat, w którym – przy wszystkich jego niedoskonałościach – można uspokoić oddech.

© ŁUKASZ MUSIAŁ



JACEK TARAN

Cały czas noc

KRZYSZTOF GIL, ARTYSTA WIZUALNY:

PRACOWNIA | Europejczycy długo wyobrażali sobie, że mieszkańcy innych kontynentów są zdeformowani, mają zwierzęce głowy. Hybrydy na moich obrazach są metaforą spojrzenia na Innych.

JACEK TARAN: Idealne miejsce pracy?

KRZYSZTOF GIL: Kiedy szukam mieszkania albo pracowni, zwracam uwagę przede wszystkim na światło i przestrzeń – chcę mieć dużo nieba. Zieleń za oknem i kontakt z naturą też mają znaczenie – bez nich szybko się męczę.

Twoje obrazy pełne są ochry i ugrów.

Tak, choć nie jest to do końca świadoma decyzja. Rzeczywiście lubię kolory ziemi – brązy, czerwienie. Jeśli nakładam na rzeczywistość zielony filtr, to dlatego, że tak właśnie widzę świat. Staram się pokazać jego wersję nieco odmienną od tej, którą widzimy na co dzień.

Zatem sztuka nie polega na odtwarzaniu rzeczywistości.

Dla mnie obraz jest opowieścią o alternatywnym świecie. Tworzę go, by zwrócić uwagę na coś istotnego. To sposób na opowiadanie historii – inny niż publicystyka czy literatura. Obraz działa metaforą, otwiera wiele możliwych interpretacji. Ważne też, jak działa na odbiorcę. To mnie fascynuje, bo intencja artysty to jedno, a widz może zobaczyć w pracach coś zupełnie innego.

A o czym opowiadasz?

Przede wszystkim o historii Romów, która jest historią dyskryminacji, prześladowań, czystek i cierpienia. To wątek w Polsce mało znany, a z braku wiedzy rodzi się wiele stereotypów.

Na przykład?

Na przykład o tym, że Romowie się nie asymilują, że są społecznością zamkniętą, że taka jest ich kultura. A to wszystko nie wynika wprost z romskiej kultury, tylko wielowiekowej tradycji prześladowań, które zaczęły się w XII wieku.

Inkwizycja hiszpańska karała śmiercią za posługiwanie się językiem romskim, uznając go za diabelski – tamtejsi Romowie do dziś go nie znają. W wielu krajach Europy urządzane były legalizowane prawem polowania na Romów. Obcięte nosy i uszy pokazywano jako trofea w gabinetach osobliwości, układano ofiary romskie w pokocie obok zajęcy i ptaków.

O polowaniach opowiada instalacja „Tajsa – wczoraj i jutro".

Tak, słowo *tajsa* oznacza jednocześnie „wczoraj" i „jutro" i tylko z kontekstu zdania wynika, o który czas chodzi. Dla mnie to zarówno metafora samego czasu, jak i powracających prześladowań.

KRZYSZTOF GIL (ur. 1987) jest artystą wizualnym. Posługuje się rysunkiem, malarstwem, rzeźbą i grafiką warsztatową. Ukończył Wydział Grafiki w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie obronił także doktorat. W roku 2016 r. uhonorowany Stypendium Twórczym Miasta Krakowa. Jego prace prezentowane były w wielu polskich i europejskich galeriach oraz muzeach.

Na zdjęciu: W swojej pracowni w Krakowie, 31 października 2025 r.

Strach stał się dziedzictwem Romów, jest wpisany w naszą codzienność. Kiedy robiłem wywiady do pracy doktorskiej, odkryłem, że ludzie ze społeczności romskiej traktują strach jako stan naturalny, który dziedziczymy z pokolenia na pokolenie.

Wewnątrz tej instalacji możemy posłuchać wspomnień Twojej babci.

Opowiadała o swoim ojcu, który został zamordowany tuż po wojnie, na Podhalu, skąd pochodzę. Pracował na budowach, a w soboty dorabiał grą na skrzypcach na góralskich weselach. Raz, przy budowie bloku w Nowym Targu, zwrócił uwagę polskiemu współpracownikowi. W odpowiedzi usłyszał: „nie będzie mnie Cygan pouczał". Doszło do kłótni i szarpaniny.

Kilka dni później pradziadek wracał rowerem z wesela w Zakopanem, ale do domu już nie dotarł. Jego ciało znaleziono w rzece. Był pobity, niedaleko leżał zniszczony rower. Nikt nie został ukarany. Moja prababcia była niepiśmienna, babcia miała kilka klas podstawówki. Nikt nie chciał ich wysłuchać, nikt nie chciał się zająć szukaniem sprawców, nikogo nie obchodził martwy Cygan. To zabójstwo było jakby poza kategorią przestępstwa.

Kiedy patrzę na to, co dzieje się w Gazie, widzę zresztą podobne rzeczy.

Mimo wszystko dobrze wspominasz dzieciństwo.

Nie byliśmy zamożni, ale miałem kochającą rodzinę. Dziadkowie wspierali nas w pasjach. Dziadek woził mnie na bagażniku swojego roweru na lekcje rysunku, a w kiosku Ruchu otworzył mi rachunek, żebym mógł mieć kredki i blok.

Równocześnie było to dorastanie w stworzonym sztucznie w latach siedemdziesiątych przez ówczesne władze romskim getcie. W blokach, do których przesiedlono Romów z obrzeży. I tam doświadczałem rasizmu, przemocy, odrzucenia.

Zawsze budziło to we mnie nie tylko gniew, ale też ogromne zdziwienie. Myślałem sobie – mam wspaniałą rodzinę, kochających rodziców, dziadków, kuzynów. Wszyscy pracują, są dla siebie dobrzy, uczciwi – czemu nas nienawidzicie?

Do Krakowa przyjechałeś w roku 2007. Coś się wtedy zmieniło?

W Krakowie zaczynałem edukację artystyczną już na serio. Jednak kiedy poruszałem tematy dyskryminacji, często słyszałem: „po co o tym mówisz, tego już nie ma". A dziś, piętnaście lat później, stało się jasne, że te mechanizmy istnieją i dotyczą nie tylko Romów, ale też Ukraińców, Palestyńczyków, Żydów.

Rodzina Cię na to przygotowywała?

Wiele razy słyszeliśmy, że nasze pochodzenie będzie budziło reakcję, że będziemy mieli trudniej. Moja kuzynka uczyła się w szkole handlowej i na którymś roku musiała zaliczyć praktyki w sklepie, ale nikt nie chciał jej przyjąć, bo wiadomo – Cyganka, będzie kradła. Udało się dopiero wtedy, gdy znajomy Polak za nią poręczył, choć i tak była nieustannie sprawdzana – zostawiano przy niej otwarte portfele, liczono pieniądze. Romowie zawsze musieli pracować ciężej i bardziej się starać, by zdobyć zaufanie.

W Twoich obrazach pojawiają się hybrydy ludzi i zwierząt. Skąd ten motyw?

Zanim Europejczycy zaczęli podbijać inne kontynenty, wyobrażali sobie, że mieszkańcy tych krain są zdeformowani, mają zwierzęce głowy. Są dziwni, straszni, a przede wszystkim: niebezpieczni. Te ryciny pokazują, jak postrzegano Innego, jak budowano figurę Obcego. Hybrydy w moich obrazach są metaforą tego spojrzenia: Inny jako zagrożenie, ktoś niegodny zaufania. Ale ja nadaję im ludzkie emocje – cierpienie, melancholię, refleksję.

Seria nosi tytuł „Czarna Noc, Biały Dzień" i nawiązuje do twórczości romskiej poetki Bronisławy Wajs, znanej jako Papusza.

Ona w swoim wierszu prosiła: „nie czyńcie czarnej nocy w biały dzień". Ja pokazuję, że ta noc jest cały czas, historia przemocy powtarza się nieustannie. Choć różnimy się kulturowo, fundamentalnie jesteśmy tacy sami – na co dzień pragniemy bezpieczeństwa, miłości, radości. Ale, gdy przychodzą trudne czasy, szukamy kozłów ofiarnych.

Wydawałoby się, że takie państwo jak Izrael powinno być szczególnie uwrażliwione na kwestie dyskryminacyjne, powinno być wzorem postaw opartych na szacunku, a jest zupełnie odwrotnie. I chcę podkreślić – mówię o państwie Izrael, a nie o Żydach jako grupie etnicznej.

W swoim malarstwie opowiadasz o romskich traumach, ale używasz języka, który nie ma nic wspólnego z folklorem.

Zdarza się, że na wernisażach ktoś mówi: „Nie wiedziałem, że jesteś Romem, zorientowałem się dopiero po lekturze tekstu kuratorskiego". Nie utożsamiam się z taborami, ogniskami, barwnymi strojami. Rzadko maluję Romów, a jeśli kiedyś wrócę do tego tematu, to nie będą to portrety powielające klisze.

Moja babcia szyła sobie spódnice, ale wyglądała raczej jak połączenie Romki i góralki. Ogniska owszem – ale rodzinne, zwyczajne, takie jak u wielu polskich rodzin. Chodziliśmy z dziadkami do lasu zbierać borówki czy grzyby, ale nie było w tym nic z folkloru.

To, co naprawdę jest dla mnie ważne w romskiej kulturze, to melancholia, szczególna wrażliwość, pamięć o przeszłości i przyszłości. Myślę o melancholii jako istocie romskiej kultury.

Jak romska społeczność reaguje na Twoje obrazy?

Zazwyczaj z szacunkiem. Nie zawsze wszystko rozumieją, ale doceniają, że opowiadam o naszej historii. Oczywiście nie wszyscy się zgadzają z moją wizją tożsamości – i dobrze. Nie może być jednego „narodowego stylu romskiego". Wolę grać kartą tożsamości rozumianej jako pewien zbiór cech i emocji, wspólnej historii, a nie tylko folkloru. Sami Romowie przecież nie są grupą jednorodną. Są też tacy, którzy wstydzą się tej traumy, nie chcą się do niej przyznawać i ja się im nie dziwię. A inni z kolei chcą analizować, choćby po to, żeby dzielić się czymś, ↦

↦ co ze swojej perspektywy uważają za wartościowe.

Dzięki temu Twoja sztuka jest uniwersalna?

Tak rozumiem rolę sztuki – powinna być ponadkulturowa. Wrażliwość, trauma i potrzeba wolności to doświadczenia wspólne Żydom, Polakom, Romom. Możesz jechać do Villi Borghese i zobaczyć rzeźbę „Apollo i Dafne" Berniniego, która wciąż robi wrażenie, choć powstała pięćset lat temu. Zmieniają się kontekst, moda i styl, ale emocje pozostają podobne.

Myślisz czasami o tym, jakie emocje wywołują Twoje obrazy u odbiorców?

Zwykle dopiero, kiedy skończę pracę, orientuję się: ojej, znowu smutny obraz. Ale nie mam na to wpływu – tak to we mnie pracuje. Po wystawach w Muzeum Manggha czy MOCAK-u dostawałem wiadomości od ludzi, że to, co zobaczyli w moich obrazach, jakoś ich poruszyło, coś w nich otworzyło. To ważny sygnał. Nie mogę malować, kalkulując na zimno: o, teraz sprawię, że ktoś się wzruszy.

A Twoje emocje w czasie pracy?

Malowanie działa na mnie oczyszczająco. Podczas konfliktu w Gazie byłem tym kompletnie pochłonięty – oglądałem wiadomości, czytałem relacje, wszystko to we mnie narastało. Wtedy powstał obraz ze zwierzętami ułożonymi jak w martwej naturze. Nie mogłem malować wprost ludzi z Gazy, bo to byłoby nadużycie – żyję tu, w bezpiecznym świecie, nie mam prawa mówić w ich imieniu. Ale mogłem użyć metafory, czegoś wspólnego: cierpienia, które rozumieją Romowie, Palestyńczycy, Żydzi, Polacy. Zwierzęta w tej pracy stają się metaforą zrozumiałą dla ludzi ze wszystkich miejsc na świecie. Poczułem wtedy ulgę i jakąś symboliczną sprawczość – choć realnie przecież żadnej sprawczości w tym nie ma.

Rozumiem, co znaczy być traktowanym jak obywatel drugiej kategorii. Mój brat, gdy pracował w Danii i zapuścił brodę, był wielokrotnie kontrolowany przez służby – tylko dlatego, że „wyglądał jak uchodźca". To drobiazg, ale pokazuje, że nie da się udawać kogoś innego. I nie powinno się tego robić – każdy powinien żyć w zgodzie ze swoją prawdą.



DZIĘKI UPRZEJMOŚCI GALERII MONOPOL X2



Krzysztof Gil, „Tylko wiatr mnie dotknął" (Only Wind Touched Me), 2025 r.

Powyżej: „Aniołki" (Angels), 2024 r.

To właśnie daje Ci sztuka, życie w swojej prawdzie?

W pracowni mogę być sobą – to jest prawdziwa wolność. Im jestem starszy, tym bardziej to doceniam. Bycie sam na sam z płótnem, w ciszy, bez żadnych oczekiwań – to dla mnie luksus. Malowanie staje się formą medytacji.

A gdzie znajdujesz nadzieję?

Mechanizmy wykluczenia będą się powtarzać, zmienia się tylko ich kostium. Ale wierzę, że zawsze będą ludzie, którzy staną po stronie dobra. Tacy, którzy będą wspólnie budować tamę wobec nienawiści. To daje nadzieję.

©℗ Rozmawiał JACEK TARAN

W szafranowej okładce

MAGDA HEYDEL

LITERATURA | Historia odkrytego i wydanego właśnie „Żywota Violety" Virginii Woolf jest smakowita, choć niepozbawiona goryczki.

Odkrycie trzech nieznanych opowiadań Virginii Woolf? Brzmi jak rzecz niemożliwa. Dzieło najważniejszej pisarki XX w., wybitnej twórczyni modernizmu, prekursorki feminizmu i queeru, a także ikony kultury popularnej to dziś potężna biblioteka (sam katalog Biblioteki Kongresu USA wyrzuca 34,5 tys. rekordów). Wokół życia pisarki kręci się cały przemysł. A jednak w tym stogu siana zagubiła się pewna igiełka, którą ku swemu zdumieniu odnalazła badaczka literatury modernizmu, Urmila Seshagiri.

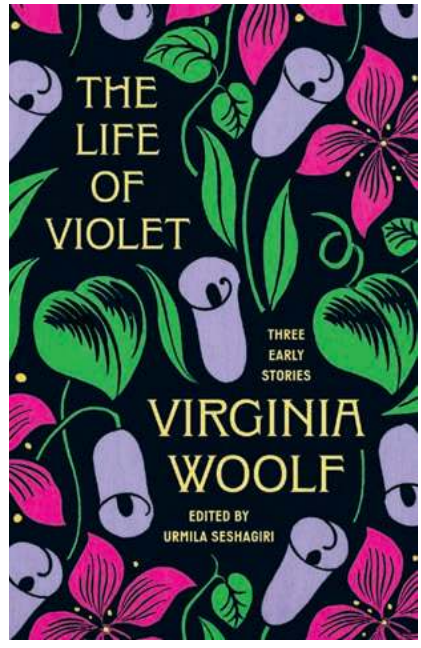

PRZYJAŹŃ | Historia „The Life of Violet", czyli „Żywota Violety", wydanego właśnie przez Princeton University, jest smakowita, choć i niepozbawiona goryczki. Zaczyna się w 1907 r., kiedy to dwudziestoletnia Virginia Stephen pisze trzy powiązane ze sobą opowiadania i ofiarowuje je jako żartobliwy prezent swojej przyjaciółce. Starsza od Virginii o siedemnaście lat Mary Violet Dickinson (1865--1948), majętna arystokratka, której cechą charakterystyczną był pozbawiający szans na zamążpójście wzrost (sześć stóp i dwa cale, czyli ok. 188 cm), to ważna postać w życiu młodej Virginii.

Zastępowała jej zapewne po trosze matkę i starszą siostrę, których strata była dla przyszłej pisarki żywą raną. Dickinson wprowadziła Virginię w towarzyskie kręgi arystokracji, wymieniała z nią obfitą korespondencję i była towarzyszką zagranicznych podróży. Opiekowała się młodszą przyjaciółką i gościła ją w swoim wiejskim domku w trudnym okresie 1904 r., gdy Virginia zmagała się z załamaniem nerwowym po śmierci ojca.

Porozumienie między Virginią i Violet wykraczało jednak poza standardową przyjaźń i troskę. Dickinson była osobą obdarzoną ogromną inteligencją oraz niewątpliwym talentem literackim, sama też trudniła się pisarstwem. Była autorką m.in. wspomnień o rodzinie Stephenów; opracowała i poprzedziła wstępem dokumenty z trzechsetnej historii rodu Dickinsonów, w tym przygody pradziada-kwakra, którego statek rozbił się u wybrzeży Florydy. Opisała też dzieje swego rodu po kądzieli, czyli Edenów, opracowała korespondencję prababki Emily Eden (1797--1869), malarki, podróżniczki i pisarki (recenzję tej książki dla „Times Literary Supplement" napisała panna Stephen).

W prezencie dla Virginii, oddanej w pieczę wątpliwej subtelności rodzinnego medyka Stephenów, doktora George'a Savage'a, stworzyła, przepisała i ręcznie oprawiła pastiszowy traktacik, stylizowany na XVII-wieczną angielszczyznę, zatytułowany „These Thoughts Were Written by Anthony Harte" („Oto myśli zapisane przez Anthony'ego Harte'a"). Skierowany do „wszystkich, którzy cierpią ciężarem boleści złożeni", zalecał, by „wystrzegali się swych niedoli, słabości i mizerii roztrząsania". Virginię zachwycił utwór, który, jak pisała, osłodził jej bezsenne noce, wypełnione odtąd słodyczą i pożytkiem.

Violet była także przenikliwą czytelniczką wczesnych tekstów Virginii, która w tym okresie zaczęła pisać pierwsze eseje krytyczne – i publikować je, również dzięki poleceniu Violet. Rola starszej przyjaciółki w kształtowaniu odwagi myślenia i swobody wyrazu przyszłej autorki „Własnego pokoju" była z pewnością znaczna i zasługuje na bliższe zbadanie, którego, miejmy nadzieję, po publikacji „Żywota Violety" ktoś się rychło podejmie.

SIOSTRZEŃSTWO | Nie trzeba zresztą czekać na jej uczoną biografię, żeby – znając choć pobieżnie twórczość Woolf – dostrzec, jak wiele ważnych dla pisarki wątków pojawia się w kontekście jej siostrzeństwa z Violet: kreatywność, niezależność i odwaga kobiet, niedoceniana w patriarchalnym świecie twórczość niewieściego pióra czy odnajdywanie dla siebie genealogii intelektualnej w żywotach i dziełach matek oraz babek. Oraz poczucie humoru.

Tworzące „Żywot..." opowiadania są cudowną mieszaniną satyry, komizmu i fantazji – cech nieczęsto kojarzonych z Woolf, a przecież doskonale znanych czytelnikom jej dziennika, listów i niektórych esejów, a także „Orlanda". W „Żywocie..." Virginia miksuje sceny z udziałem ekscentrycznych arystokratek oraz bogiń przybywających do Tokio na grzbiecie wieloryba, a wszystko opowiedziane zostaje z perspektywy anonimowego narratora, mężczyzny z niższych warstw społecznych, który podejrzanie gęsto tłumaczy się z zamiaru przedstawienia samych najszczerszych faktów z życia „dobrego towarzystwa", zaznaczając przy tym, że zmuszony został do wypowiadania się w obcym języku (dlaczego? dowiedzielibyśmy się z apendyksu, ale ten, tak się składa, zaginął). W ostatniej części bohater wciela się w japońską matkę opowiadającą dziecku bajkę na dobranoc.

Dodajmy do tego scenkę ze środkowego opowiadania, w którym pojawia się taki oto dialog między bohaterkami: „Słuchaj, zdaje mi się – wiesz, Violet, nie myślisz, że – że byłoby miło...", „Mieć własny wiejski domek? O tak, dobra kobieto! ↦

↦ – wykrzyknęła Violet". Ta wypowiedź, czytamy komentarz narratora, stała się „początkiem wielkiej rewolucji, która zmienia Anglię w miejsce całkiem inne niż dawniej".

Prywatny żart i marginalny tekst, czy może jednak brakujące ogniwo w rozwoju twórczym przełomowej pisarki, dzięki której nie tylko Anglia, ale świat jest miejscem innym niż dawniej? Urmila Seshagiri twierdzi, że to właśnie pastiszowa biografia Violet Dickinson stanowi próg między młodzieńczymi wprawkami panny Stephen a redefiniującą pisarstwo i świadomość twórczością Virginii Woolf. Od tego utworu można poprowadzić linie wiodące wprost ku centralnym kwestiom „Pani Dalloway", „Do latarni morskiej" czy „Między aktami", a także do rewolucjonizujących myślenie o człowieku biografii „Orlanda", „Flusha" i „Rogera Fry'a" oraz jej własnej, fragmentarycznej, czyli „Szkicu z przeszłości". Nie wspominając już o „Własnym pokoju".

RĘKOPIS | Wracając jednak do losów maszynopisu „Żywotu Violety": wiosną 1907 r. Virginia po raz pierwszy wspomina, że zamierza napisać tekst o przyjaciółce. W sierpniu wysyła jej utwór i prosi o zachowanie go tylko dla siebie, zapowiadając, że „za sześć miesięcy trzeba go będzie przepisać". Dowiedziawszy się, że prośba nie została uszanowana, domaga się zwrotu. Violet rzeczywiście odsyła maszynopis z naniesionymi odręcznymi poprawkami.

Dotychczas badacze byli przekonani, że odzyskawszy go, Virginia straciła zainteresowanie utworem. Maszynopis w adekwatnie fioletowym kolorze w nieznanych okolicznościach trafił jednak z powrotem w ręce Violet, a w 1955 r., już po jej śmierci, agencja działająca w imieniu rodziny zaoferowała go Leonardowi Woolfowi, który – i tu zapowiadana kropla goryczy w szczęśliwej historii odnalezienia dziełka Woolf – uznał, że nie jest to tekst wart publikacji, i odmówił jego nabycia.

Tekst wypłynął po pewnym czasie w jednym z londyńskich antykwariatów w cenie 1 szylinga (na dzisiejsze: 5 pensów). Kupił go Tom Maschler, inicjator nagrody Bookera. Wtedy jednak nie wiedział, że Virginia Stephen to... Virginia Woolf. Kiedy to odkrył, po raz kolejny próbował zainteresować Leonarda



GEORGE C. BERESFORD / HULTON ARCHIVE / GETTY IMAGES

Mary Violet Dickinson, 1903 r.



NIDAY PICTURE LIBRARY / ALAMY / BE&W

Virginia Woolf, 1902 r.

Woolfa, ale myśl o publikacji znowu spotkała się z oporem wdowca, który przygotowywał wtedy do druku starannie wyselekcjonowane części spuścizny żony, w tym wybór dzienników.

Maschler przekazał więc tekst z powrotem w ręce fundacji Dickinson, skąd wraz z innymi materiałami trafił on do New York Public Library i został włączony do największego archiwum dzieł Virginii, czyli Berg Collection, skatalogowany jako „Friendship's Collection". Nikt nigdy nie poświęcił mu uwagi, w opracowaniach miał on jedynie status marginalium biograficznego, nie trafił do kompletnego wydania opowiadań, a w zbiorczej edycji esejów pojawia się w apendyksie zawierającym szkice niedokończone.

W 2018 r. Urmila Seshagiri zwróciła się do kuratorów Longleat House, dostojnej elżbietańskiej siedziby markizów Bath w Wiltshire, gdzie przechowywane są papiery Violet Dickinson, z prośbą o udostępnienie wspomnień o rodzinie Stephenów jej autorstwa. Wraz ze zgodą otrzymała pytanie, czy nie jest zainteresowana także tekstem Woolf pod tytułem „Friendship's Gallery". Zdumiona badaczka zapytała, czy chodzi o faksymile dokumentu z NYPL. Tym razem zdumieni byli kuratorzy, którzy nie wiedzieli o istnieniu maszynopisu z kolekcji Berga. Seshagiri, która do Wiltshire dotarła dopiero po pandemii, pisze, że kiedy wyjęła maszynopis z kremowej koperty i zaczęła czytać, od razu uświadomiła sobie, że ma przed sobą tekst nowego dzieła Woolf, dla którego maszynopis z NYPL był tylko preludium. Jak to się stało?

ZAGADKA | Otóż w roku 1908 Virginia Stephen jednak siadła do przeróbek „Żywotu...", wprowadziła niektóre sugestie przyjaciółki i przepracowała tekst. Następnie przekazała go do profesjonalnego przepisania. Druga, poprawiona wersja utworu trafiła nie tylko do adresatki, ale i do siostry pisarki, Vanessy Bell i jej męża Clive'a, których reakcja była entuzjastyczna. Vanessa uznała tekst za bardzo zabawny i błyskotliwy, a także szalenie śmiały i niekoniecznie pochlebny, w najlepszej tradycji wyrafinowanej, pozbawionej konwenansu konwersacji. „Zastanawiam się coraz bardziej, jak w ogóle odważyłaś się pokazać to Violet?".

Cóż, odważyła się, a cienki tomik w szafranowej okładce czekał cierpliwie w archiwum, aż ktoś weźmie go do ręki i doceni jego zawartość. Piękna edycja Princeton University, u której początku był archiwalny traf, osładza teraz nieco gorycz cenzorskich decyzji Leonarda Woolfa, a niezwykła historia „Żywotu Violety" przywołuje aurę samych opowiadań i wspaniale oświetla wartość kobiecych przyjaźni i siostrzeństwa, które daje siłę do odwagi oraz fantazji. I które zmienia świat, by nie był taki jak dawniej.

© MAGDA HEYDEL

■ **TO KRAKÓW TWORZY METAMORFOZY**
feat. Smolik, 10 listopada, TAURON Arena Kraków



Ponieważ muzyki słuchamy przede wszystkim w streamingu, artyści zarabiają dziś głównie koncertowaniem. Tylko nieliczni polscy wykonawcy – jak Sanah czy Mata – potrafią sprzedać stadion, ale jeśli zbierzemy kilkanaście gwiazd, takich jak Krzysztof Zalewski, Katarzyna Nosowska, Grzegorz Turnau, Monika Brodka, Piotr Rogucki, Natalia Przybysz czy Dawid Tyszkowski, szanse na sukces rosną wykładniczo. Wszystkich wymienionych wokalistów i wokalistki będzie można usłyszeć 10 listopada w TAURON Arenie Kraków. Wykonają nie tylko swoje utwory, ale też piosenki napisane i zaaranżowane specjalnie na tę okoliczność przez Andrzeja Smolika, dyrektora artystycznego widowiska.

Hasłem przewodnim koncertu, jak wyjaśniają organizatorzy, jest metamorfoza, rozumiana zarówno jako przemiana życiowa, jak i artystyczna. Narracja muzyczna wzbogacona zostanie warstwą wizualną, za którą odpowiada krakowski twórca Adam Nyk, specjalizujący się w projektach multimedialnych łączących sztukę, technologię i interaktywne doświadczenia. Koncert jest produkcją własną TAURON Areny Kraków. Wydarzenie nie będzie w tej formule powtarzane ani transmitowane. W ubiegłym roku zorganizowano je po raz pierwszy z okazji 10-lecia funkcjonowania obiektu. Muzyczną opowieść przygotował wówczas raper i producent Miuosh, który tym razem wystąpi na scenie jako jedna z gwiazd.
©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

■ *Jenny Erpenbeck,* **KAIROS**, *tłum. Eliza Borg, Znak Literanova*



Przygodę z pisaniem zaczęła niedługo po upadku muru berlińskiego – jakby przeczuwała, że jej literaturze nie będzie po drodze ze zbyt prostymi podziałami. Zamiast wzdłuż, woli ciąć na wskroś – ludzką psychikę i przyzwyczajenia myślowe. W swoich tekstach komplikuje stereotypową wizję historii Europy Środkowej, nie stroniąc jednocześnie od wątków psychologicznych i egzystencjalnych. Jenny Erpenbeck to niemiecka pisarka i reżyserka teatralna. Polskiemu czytelnikowi znana jest przede wszystkim z osadzonej w totalitarnym Państwie Słońca powieści „Słownik" oraz melancholijnego „Klucza do ogrodu", którego bohaterem jest... dom, będący świadkiem trudnej historii współczesnych Niemiec.

W nagrodzonym Bookerem „Kairosie" Erpebneck opowiada o rozkwicie i rozpadzie miłosnej relacji Kathariny oraz kilkadziesiąt lat starszego Hansa. Początkowa egzaltacja dość szybko rozbija się tu o prozę życia, a całość stanowi nieprzyjemnie realistyczne świadectwo powolnego przenikania toksyn do świadomości idealistycznie nastawionych kochanków. Oprócz sprawnie poprowadzonego wątku romansowego, na uwagę zasługują kostiumy klasowe i historyczne. Autorce udało się stworzyć panoramiczny obraz Niemiec z czasów zjednoczenia, a jednocześnie uchwycić coś z ambicji, pretensji i pragnień początku lat 90. Przyglądając się zasłuchanemu w Mozarcie Hansowi, domyślamy się, dlaczego przyciągnął uwagę ówczesnej dwudziestolatki. A przedostając się na drugą stronę muru, czujemy, jak mógł smakować pierwszy łyk Coca-Coli. © ADAM WOŹNIAK



■ *Wystawa* **DÜRER I HOLBEIN NA WAWELU**
trwa do 1 lutego 2026 r.
Zamek Królewski na Wawelu

„On potrafi namalować duszę" – pisał o Dürerze Erazm z Rotterdamu. W jego „Muffelu" widać skupienie i powagę norymberskiego burmistrza. Artysta rezygnuje z ozdobnych detali, kierując uwagę widza na twarz modela – surową i skupioną, z trudnym do odczytania napięciem i spojrzeniem, w którym kryje się ulga albo oczekiwanie. Obraz powstał w 1526 r., w okresie największej aktywności malarza. Holbein, portrecista dworu Henryka VIII, pokazuje inny sposób widzenia człowieka. Na jego obrazie prawdopodobnie sportretowany został Hermann Hillebrandt de Wedigh, kupiec Ligi Hanzeatyckiej. Uwagę przyciągają gesty, stanowczość postawy i wzrok skupiony na odbiorcy – to zawsze elektryzuje.
Wawel staje się tej jesieni miejscem cichego dialogu między dwoma mistrzami północnego renesansu.
W ich spojrzeniach – Dürera, humanisty z Norymbergi, i Holbeina, kosmopolity z Londynu – odbija się nie tylko portret epoki, ale i pytanie o to, czym jest człowiek.
Warto zobaczyć te obrazy bezpośrednio – nie po to, by podziwiać technikę, lecz by – jak pisał Erazm – „ujrzeć mowę duszy, która promieniuje z ciała".

Tegoroczny listopad to już 14. edycja programu „Darmowy Listopad w Rezydencjach Królewskich". Biorą w niej udział m.in. Zamek Królewski na Wawelu, Zamek Królewski w Warszawie, Łazienki Warszawskie i Zamek w Wilanowie.
Przez cały listopad można korzystać z bezpłatnego wstępu na ekspozycje oraz z darmowych lekcji muzealnych.
©℗ JACEK TARAN

To o nas

ANITA PIOTROWSKA

KINO | Smarzowski robi wiwisekcję rodziny, prezentując całą serię psychopatologicznych zjawisk, na czele z gaslightingiem, syndromem sztokholmskim i DDA.



Kino Wojciecha Smarzowskiego to nie tylko pogrubiony charakter pisma czy najciemniejsza paleta arcypolskich tematów. To także specyficzny język, jakim się o tej twórczości mówi i pisze, z obowiązkową „siekierą" w roli głównej i nadużywaniem przedrostka „pato". Czyli z podręcznym wykazem oskarżeń o „eksploatację" i „pornografizację przemocy".

Przy każdym filmie co wrażliwsi widzowie i krytycy czują się straumatyzowani, jakby zetknęli się z tym kinem po raz pierwszy. Albo, dla odmiany, wyrażają swoje znużenie powtarzalnością strategii szokowej czy terapii awersyjnej w wykonaniu sadystycznego „Smarzola". Stąd prześlizgiwanie się z odrazą po jego filmach bądź po prostu ostentacyjne ich ignorowanie, jak w przypadku jurorów niedawnego festiwalu w Gdyni. Tymczasem to kino trudno zignorować. Twórca dwóch „Wesel" w swym własnym przerysowanym stylu próbuje „mącić narodową kadź". A nawet jeśli te ruchy są przewidywalne i toporne, potrafią skutecznie wytrącić z poczucia komfortu. Lecz o jakim właściwie narodzie reżyser nam opowiada?

Bo niektórzy twierdzą, że robi to z wyższościowej pozycji piętnującej tych mniej „fajnych" Polaków – słabiej wykształconych, mieszkających w małych miejscowościach, za mało europejskich. Pisał o tym młody krytyk filmowy Miłosz Spychalski w świetnym skądinąd tekście, nagrodzonym w tegorocznym konkursie im. Krzysztofa Mętraka. Dworował sobie, że bohater jego portretu, Wojciech Smarzowski, stał się „artystycznym demiurgiem klasy średniej". Że jego historie w swej rzekomej krytyce polskości mówią bardziej o jakichś gorszych „onych" aniżeli o nas. Ciekawe, co autor powiedziałby na najnowszy film, w którym twórca „Domu złego" bierze się za polską rodzinę niczym z katalogu Ikei. Czy „Dom dobry" rzeczywiście poszerza perspektywę, czy tylko zmienia scenografię?

Nie można mieć wątpliwości, że znowu chodzi o Polskę – wystarczy spojrzeć na tytuł filmu pisany na plakatach białymi i czerwonymi czcionkami. A główny bohater, domowy przemocowiec zagrany przez Tomasza Schuchardta, etatowego dziś odtwórcę czarnych charakterów, nosi nazwisko Nowak, najpopularniejsze w naszym kraju. Ktoś powie, że Smarzowski uruchamia zbyt wielkie kwantyfikatory, ale chodzi mu pewnie o statystyki. O skalę pokazywanego na ekranie zjawiska i skalę jego przemilczania oraz zasięg, bynajmniej nie ograniczający się do „domów złych". Tym razem będzie też o społecznym awansie.

Kiedy Gośka (świetna Agata Turkot) poznaje przez internet sporo starszego Grześka, nie przypadkiem zaczynają znajomość od gierek literackich, a rzut oka na biblioteczkę w jego mieszkaniu plus wysoka pozycja w miasteczku mówią o elitarnym statusie przyszłego męża. Dołóżmy do tego zagraniczne wojaże i romantyczne zaręczyny w Wenecji. Tyle wystarczy, ażeby stwierdzić, że oto dziewczyna po przejściach, wyrosła w „domu złym", złapała Pana Boga za nogi. Ów wątek aspiracyjny – marzenia o bezpieczeństwie finansowym, udanej rodzinie i kobiecej samorealizacji – jest ważny dla całej historii, gdzie przemoc będzie miała niejedno imię.

Smarzowski nakręca jej mechanizmy niepostrzeżenie. To znaczy, kamera Pawła Tybory niemal od początku wyłapuje rozmaite naruszenia, w przeciwieństwie do bohaterki, śniącej swój sen o instagramowym życiu przy piosenkach Grechuty. Będzie powracał w formie ironicznych migawek, kiedy Piękna zorientuje się, że poślubiła Bestię, przebraną dla niepoznaki za troskliwego opiekuna i zaopatrzeniowca.

Tak właśnie Grzesiek funkcjonuje na zewnątrz, w oczach bliższych i dalszych znajomych, co pozwala mu zamknąć ciężarną „Myszę" w domu i wmówić jej, że to z nią coś jest nie tak. I bystrą dziewczynę przemienić w zahukaną ofiarę. Stanowi wszak „Dom dobry" istny katalog psychopatologicznych zjawisk, na czele z gaslightingiem, syndromem sztokholmskim czy DDA. Dostarcza modelowych wręcz wzorów przemocy, powielanych z pokolenia na pokolenie, w niekończącym się, zapętlonym cyklu projekcji, przeniesień, uzależnień i wyparć. Jednocześnie, i to jest wobec filmu najczęstszym zarzutem, przemoc czysto fizyczną ukazuje bardzo literalnie.

Stąd głosy, że w istocie to sam reżyser pastwi się nad swoją bohaterką – i przy okazji też nad nami. Wytyka mu się również, że zawłaszczył kobiecy temat, chociaż wiadomo, że poddany on został wcześniej solidnej kwerendzie. Dyskredytuje się nawet robotę filmową, widząc w niej estetyczny popis. Albowiem Smarzowski stosuje w swym filmie wewnętrzny



PAWEŁ TYBORA / LUCKY BOB & WARNER BROS.

DOM DOBRY
– reż. Wojciech Smarzowski. Prod. Polska 2025. Dystryb. Warner Bros. W kinach od 7 listopada.

Wojciech Smarzowski każdym swoim filmem wywołuje dyskusje. Dotychczas wadził się na ostro z obyczajowością polskiej prowincji („Wesele”, „Dom zły”), z demoralizacją w policji („Drogówka”), rodzimym alkoholizmem („Pod Mocnym Aniołem”), nadużyciami duchowieństwa („Kler”) i z polską historią („Róża”, „Wołyń”, drugie „Wesele”).

Kadr z filmu „Dom dobry”

filtr, który od pewnego momentu zaburza narrację i różnicuje oświetlenie scen, oddając stan umysłu zaszczutej bohaterki.

Pokawałkowana historia, fantastycznie zmontowana przez Krzysztofa Komandera, staje się z jednej strony opowieścią o stopniowym gaśnięciu, psychofizycznej degradacji i zapadaniu się w klaustrofobiczną pułapkę, a z drugiej pozwala wyświetlić sobie zupełnie inne warianty losu Gośki. Stosując tryb „co by było gdyby”, poznajemy alternatywne wersje jej życia, w zależności od tego, czy kobieta uruchomi w sobie instynkt ucieczki i zacznie szukać pomocy na zewnątrz.

Nie jest to oczywiście żaden instruktaż, jakkolwiek twórca „Domu dobrego” nie ukrywa, że jego film ma charakter interwencyjny. Gdyby poprzestał na surowych obrazach domowego bestialstwa („bo zupa była za słona”), najprawdopodobniej byłby w tej interwencji mało albo nawet przeciwskuteczny. Dlatego tworzy na ekranie bardzo ciekawą wizję sytuacji przemocowej, z różnymi jej kontekstami, również społecznym czy religijnym.

Oczywiście, reżyser nie może sobie odmówić swoich ulubionych motywów. Jesteśmy ponownie w smarzowskim uniwersum, gdzie księdzem jest Arkadiusz Jakubik, lokalny burmistrz tak się upija, że fajda sobie koszulę w toalecie, a przydomowe szambo wybija jak najbardziej dosłownie. Owa skłonność do autocytatów bywa zastanawiająca i chyba nie chodzi wyłącznie o mruganie do widza.

Nie odbierają one jednak siły temu filmowi. Rządzi w nim nie tyle naga przemoc (chociaż doprawdy trudno się z niej otrząsnąć po seansie), co bezustanna dezorientacja widza. To ona sprawia, że takie kobiety jak Gośka skutecznie przypudrowują swoje siniaki, a my (podobnie jak niewydolny system) łatwo je prześlepiamy. Nie pasują bowiem do schematu polskiej rodziny patologicznej. W tak sugestywnie i wrażliwie zainscenizowanym koszmarze trudno mi dopatrzeć się tonów wyższościowych czy umywania rąk, bo znowu „to nie o nas”. ©

Lektor: *Podróż*



▪ *Hanna Krall*
POŻEGNANIE Z NARWIĄ. ROZMAWIA WOJCIECH TOCHMAN
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2025, ss. 182.

Podróż zaczyna się w Milanówku, kończy na działce nad Narwią. To podróż w przestrzeni i czasie, dlatego niektóre z miejsc, w których toczy się rozmowa, bardzo się zmieniły. Po domu dziecka w Otwocku przy ulicy Prusa 11 został plac zarośnięty samosiejkami. Na wejście do dawnej siedziby „Polityki” trzeba mieć zgodę obecnego użytkownika. A czy odnaleziony w Milanówku dom jest rzeczywiście tym, w którym Hanna Krall z matką i innymi uchodźcami z Warszawy witała na upchanym w kącie sienniku Armię Czerwoną?

Nie wiadomo, ale czy to ważne? Ważniejsza jest ta scena: żołnierze „wchodzili tak zmęczeni, że nic nie robili, nic nie mówili, o nic nie pytali i niczego od nas nie chcieli. Nie mieli siły ani gwałcić, ani rabować. Osuwali się i padali na naszą podłogę. (...) I widziałam na własne oczy z tego kąta na podłodze, że każdy z nich, zanim się osunął na podłogę, każdy się przeżegnał”. Po prawosławnemu. Kiedy kobiety – stare, bo młodsze ukryły się w piwnicy – zobaczyły to, zaczęły grzać wojenną kawę z cykorii, a potem poiły nią leżących...

Zapis podróży, które ze swoją mistrzynią odbył Wojciech Tochman, dobrze czytać, mając obok inne książki Hanny Krall. Zwłaszcza dwie ostatnie, genialnie lapidarne: „Szczegóły znaczące” i „Jedenaście”, którą autorka pisała już po śmierci męża, Jerzego Szperkowicza. By móc wrócić do „Postscriptum” czy „Genealogii” z „Jedenaście”. Ale i te wcześniejsze, bo przecież rozmaite wątki z nich powracają. Albo bywają dopowiedziane.

Jak wspomnienia okołomarcowe czy historia odejścia z „Polityki” w stanie wojennym. Jedni – zwłaszcza Mieczysław Rakowski – wypadają lepiej, niż się dziś zwykle o nich mówi, inni nieco gorzej. Jak Ryszard Marek Groński, który odejście koleżanki i wydrukowanie przez nią w „Tygodniku Powszechnym” rozmowy z Markiem Budzyńskim, architektem kościoła na Ursynowie, skwitował złośliwym felietonem. A proboszcz, który ten felieton zapamiętał, sprawił po latach, gdy obchodził swój jubileusz, że proroctwo Grońskiego się spełniło i Hanna Krall zasiadła w ławce przed ołtarzem...

Mógłbym tak długo, ale nie chcę psuć przyjemności z lektury. Dobrze, że jest ta książka – podziękujmy Wojciechowi Tochmanowi. A przede wszystkim: dobrze, że jest Hanna Krall. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Pozbierać, co się da



Dzieci są albo czyste, albo szczęśliwe. Teraz to mi łatwo gadać, bo już własne potomstwo zdążyłem przystosować do życia w społeczeństwie, przycinając jego osobowość do ciasnej ramy norm moralnych i higienicznych (a oba rodzaje czystości mieszają się nie do rozpoznania). I teraz łatwo mi gadać, a jednak to powtórzę: albo czyste, albo szczęśliwe. W nadziei, że chociaż zabłocone po uszy dzieci, które spotkałem kilka dni temu na polu zaprzyjaźnionego gospodarstwa ogrodniczego, nie spotkała potem reprymenda.

Szczeropolska gliniasta gleba mlaskała leśmianowsko pod kaloszami, wciągając z siłą bagiennej kikimory stopy zsuwające się ze śliskich bruzd. Liczne oka kałuż pobłyskiwały jak kusząca zagadka własnej głębokości, nierozwiązywalna przez ludzkie oko, wody stały bowiem mętne, jakby wisiał w nich jeszcze pierwszy założycielski osad materii po wybuchu wszechświata. Mimo późnej pory roku – rzecz się działa na chwilę przed świętym Marcinem, który w życiu wielu społeczności rolniczych, zamieszkujących do przedwczoraj nasze okolice, wyznaczał zamknięcie użytecznej części roku – mimo więc chłodu i braku życiodajnych fotonów (ten refleks z szaroszmacianego nieba pozwala odróżnić drogę od chodnika i drzewo od słupa, ale zwać to światłem byłoby bluźnierstwem) przeczuwało się, że w tej lepkiej zupie dzieją się jeszcze frenetyczne procesy, przy których zaawansowane laboratoria biotechnologii są jak przedszkolaki uczące się gry w chińczyka (a Chińczyk tymczasem jest w badaniach o pięć pól do przodu). Cały zresztą areał dookoła był wielką areną walki o to, by zdążyć przed mrozem z ostatnim obrotem koła stworzenia, w którym rozkład umierającej materii jest procesem równie ważnym jak narodziny, rozwój i rozmnażanie. Mówiąc mniej filozoficznie, a bardziej, nomen omen, przyziemnie, na zagonach leżały jeszcze ostatki rozmaitych ogrodniczych upraw, ogarniane przez uwiąd i gnicie.

I taki był sens naszej, dorosłej obecności tam, u boku dzieci, które po prostu się taplały jak duże robaczki. Pozbierać, co jeszcze się da, pobawić się razem w gronie stałych klientów i przyjaciół gospodarstwa w swego rodzaju polowania na zielony skarb. Znaleźć ostatnie, jeszcze jędrne fasolki, wyciąć kilka główek sałaty, która całkiem, całkiem jeszcze się trzymała, gdyby ją tylko rozebrać z lichych zewnętrznych liści. Oskubać nieliczne pozostałe różyczki brokuła, odnaleźć w glebie ostatnią kalarepkę i bulwę fenkułu, pościnać krzaczki ziół. Już wprawdzie uschłych i po prostu brzydkich, ale przecież nie po to człowiek dostał od Opatrzności zioła, by się na nie gapić. Owszem, cieszy moje oczy śródziemnomorska zieleń rozmarynu i arystokratycznie blade listki werbeny, kiedy uda mi się je podhodować na tarasie. Co nie zmienia faktu, że, jak powiadał wielki patron każdej polskiej rubryczki kulinarnej, autor Obserwatorium Gastronomicznego na łamach dawnego „Przekroju" – i tak to wszystko skończy w zupie.



Było w tym naszym plądrowaniu coś z pikniku, coś z gry terenowej i wyścigu – bo nawet ludzie mający wszystkiego po kokardę dostają szwungu, gdy się ich zawoła na wyprawę po Darmowe Runo. Wiedzą o tym specjaliści od tak zwanej gamifikacji, która jest szczytową postacią marketingu rzeczy i usług w najwyższym stopniu niepotrzebnych do życia. Cóż, może lepiej nam, żeby ludzie grali i się ścigali na niby, bo inaczej wolny czas przeznaczą na kłótnie. To już przecież Hezjod w „Pracach i dniach" ostrzegał, że człowiek, który ma pełen zapas jedzenia na zimę, jest bardziej skłonny do zatargów i sporów.

Dla mnie jednak w tej corocznej zabawie tkwi jeszcze inny ładny sens. Oto mieszczuch przez godzinę czy dwie pochyla się (składa pokłon? nie, to zbyt patetyczne) nad ziemią, która rodzi jego zieleninę, zazwyczaj nabywaną drogą kupna w postawie wyprostowanej. A nawet bardzo wyprostowanej, bo rynek spożywczy już jest tak urządzony, że ten, kto ma pieniądz, jest zawsze górą nad tym, kto ma skrzynkę z burakami. Ot, nic wielkiego, ale momentalna zmiana roli sprawia, że może potem sałatka z rukwi wodnej – nie macie pojęcia, ile

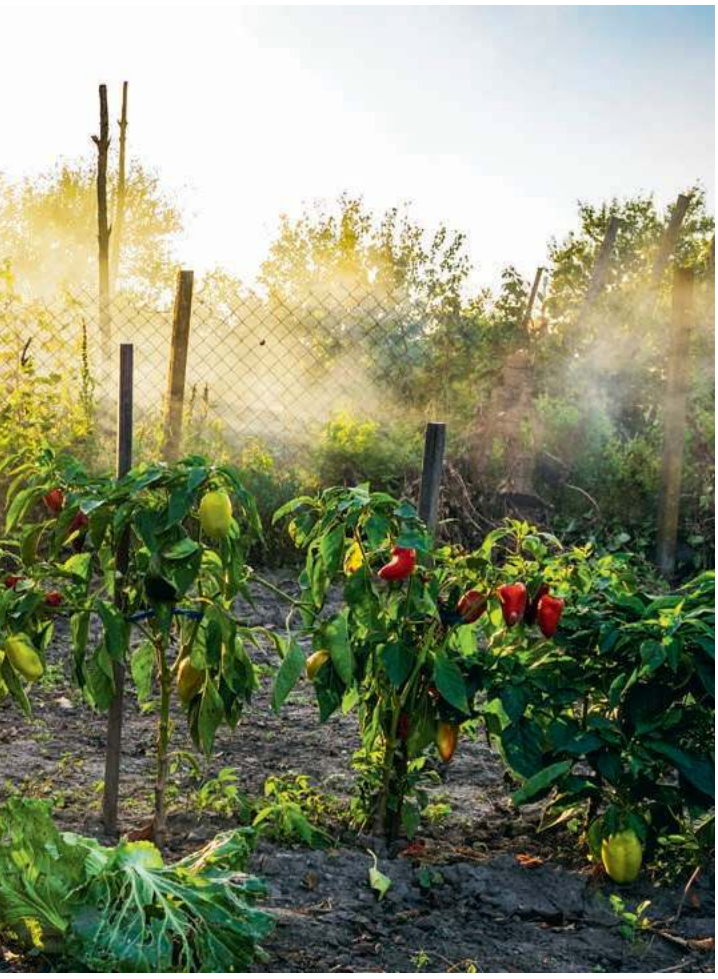

KRIMINSKAYA EKATERINA / ADOBE STOCK

się trzeba namęczyć, żeby wyskubać z grządki sensowną jej ilość – smakuje pełniej?

Krok za krokiem było dla każdego jasne, że to jest marsz po pogrzebowym jednak kobiercu. Na każde coś podniesione i wzięte do torby przypadało tyleż materii już w stanie rozkładu. A jednak było wesoło. Dlatego, że wiemy, iż to tylko początek krótkiej przerwy? Uzasadnione oczekiwanie. Coś więcej niż nadzieja – bardzo przereklamowany stan. Już wspomniany Hezjod, opisując, jak Pandora otworzyła swą beczkę (ta „puszka" to błąd przekładu, na nieszczęścia potrzeba sporego pojemnika), przypomina, że zdążyła zatrzasnąć wieko, zanim wyfrunęła nadzieja. Grecy nie byli wcale pewni, czy źle się stało. Nadzieja to ślepe oczekiwanie. Nie wiemy, co nas spotka i próbujemy od tego uciec. Chyba że dodamy do kompletu chrześcijańską wiarę i miłość, żeby się to składało w jakąś inną antropologię.

Będzie nad czym dumać w zimowe wieczory. W każdym razie moje pożegnanie jesieni było radosne, bo przenikała mnie pewność powrotu wiosny. Gdybym miał jakieś nadzieje, to tylko takie, żeby zima była akuratna – nie za sucha, ani nie za ciepła.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Pesto z musztardowca

Nie złóśćcie się na mnie – zebrałem cały musztardowiec, jaki tam jeszcze rósł i prawdopodobnie nigdzie indziej go na razie nie dostaniecie. Ale przecież mamy pewność, że wiosna powróci, a wraz z nią te arcyciekawe listki, w pewnych odmianach podobne w pokroju do rukoli, o jeszcze ostrzejszym smaku, którego typ zdradza od razu ich nazwa. Są też wystarczająco grube, mięsiste, żeby wytrzymały pracę blendera i dały gęste pesto, a nie trawiastą papkę – jak to się zdarza np. ze zbyt lekką bazylią, która powinna trafiać do ręcznego moździerza.

SKŁADNIKI:
300 g musztardowca 5 suszonych pomidorów 50 g nerkowców 1/2 ząbka czosnku ▪ co najmniej 150 ml oliwy ▪ sól ▪ duża garść tartego sera typu grana padano

A zatem wrzucamy po kolei listki, niekoniecznie od razu wszystkie, dalej orzechy, pomidory, po czym oliwę. Od razu sporo. Zaczynamy miksować. Zapewne się okaże, że część liści i orzechów od razu się zmieli, a część pozostanie przyklejona do ścianek naczynia. Ściągamy je delikatnie łyżką, dodajemy jeszcze trochę listków, jeśli je zostawiliśmy, dolewamy oliwy – z mojego doświadczenia wynika, że rzadko kiedy pesto wychodzi od razu zbyt rzadkie. Przeciwnie, zwykle jest za gęste, a to powinien być lekko kremowy sos do makaronu, który się gotuje obok na kuchni, a nie pasta kanapkowa! Znów miksujemy. Jak najkrócej, tylko żeby wszystko było sensownie połączone, a orzechy jeszcze trochę chrupały pod zębem. Potem przekładamy do miski i tam dopiero dodajemy ser. Mieszamy łyżką. Bierzemy po dwie łyżki na osobę i przekładamy do dużej szklanej lub metalowej miski – takiej, która się da mocno rozgrzać nad parą unoszącą się nad garnkiem z makaronem. Zależy nam, żeby miska nie zabrała za dużo ciepła z klusek, kiedy będziemy je łączyć. Jeśli po zmieszaniu potrawa wyda nam się zbyt lepka, zbyt „gliniana", to parę łyżek wody skrobiowej z garnka zawsze robi dobrą robotę. W tym przepisie warto zostawić na pierwszym planie lekką ostrość i roślinność – dlatego staram się użyć w miarę łagodnej oliwy i łagodnego sera. Na pewno nie żadne pecorino czy superszlachetne sery dojrzewające trzy lata. ©℗



PAWEŁ BRAVO

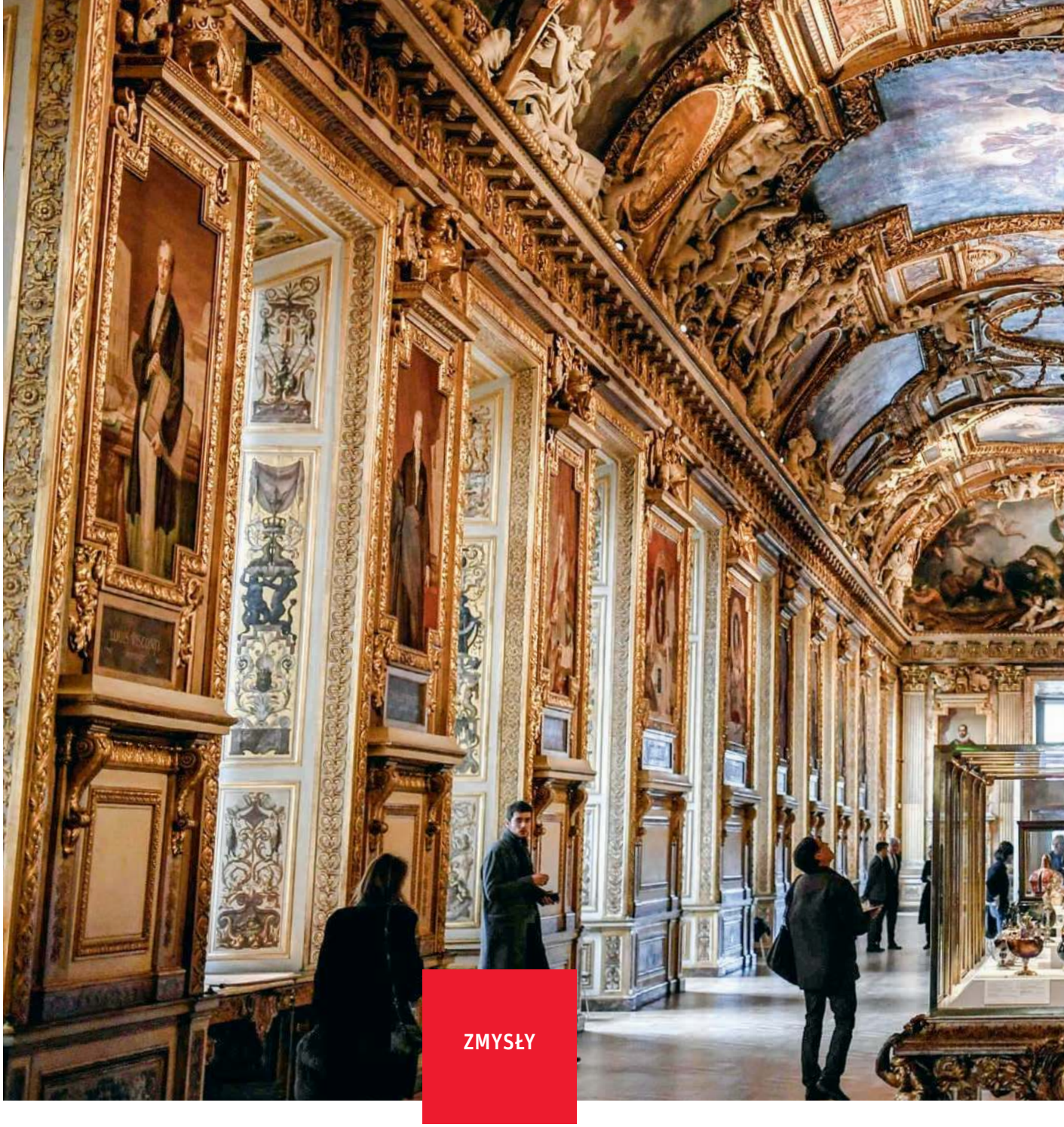

ZMYSŁY

SIEDEM MINUT W LUWRZE

Czy skradzione kosztowności odnajdą się niczym szmaragd w komiksie „Klejnoty Bianki Castafiore”? Mimo że paryskie śledztwo prowadzi ponad setka Tintinów, szanse na szczęśliwy finał maleją z każdym dniem.

DOROTA MALINA Z PARYŻA



STEPHANE DE SAKUTIN / AFP / EAST NEWS

Galeria Apollina w Luwrze

Niedzielny poranek był spokojny. Były prezydent Nicolas Sarkozy cieszył się ostatnim weekendem na wolności, politycy odpoczywali przed ciężkimi negocjacjami budżetowymi. Francuzi, mocząc croissanty w porannej kawie, nie mieli pojęcia, że w sercu ich stolicy właśnie odbywa się „kradzież stulecia".

Problem w tym, że pracownicy Luwru też nie. Siedem minut – tyle czasu potrzeba na usmażenie dwóch omletów. Albo na wyniesienie z muzeum kilku bezcennych sztuk biżuterii.

Zgubiona korona

Złodzieje zastosowali metodę na bezczelnego. Najgorzej się krygować – uczyła mnie babcia, pewnym krokiem wchodząc do eleganckiego hotelu, żeby skorzystać z toalety. Odziani w kamizelki odblaskowe bandyci w biały dzień podjechali pod Luwr wypożyczoną ciężarówką z podnośnikiem, szlifierką kątową sforsowali okno Galerii Apollona, wparowali do środka, rozbili gablotki i zabrali dziewięć artefaktów, jeden z nich, koronę cesarzowej Eugenii, gubiąc po drodze. Potem wsiedli na skutery i tyle ich widziano.

Alarm uruchomił się zbyt późno, żeby ująć sprawców. Zresztą protokół, który, jak podkreślają analitycy, został wdrożony skrupulatnie, i tak nie zakłada pościgu: zadaniem personelu jest ewakuacja zwiedzających, a nie walka z przestępcami. Dzięki temu nikt nie ucierpiał. Może tylko wizerunek Francji, o czym za chwilę. ↦

↦ System Ramzes zakłada, że sygnał alarmowy z Luwru dzwoni bezpośrednio w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, które automatycznie przysyła odpowiednie służby. Ramzes zadziałał. Niestety złodzieje zdołali uciec, zostawiwszy za sobą wspomnianą koronę, ciężarówkę, szlifierkę i kamizelki. No i mnóstwo śladów, które po tygodniu intensywnego śledztwa i analizie stu pięćdziesięciu próbek DNA oraz odcisków palców pozwoliły policji zatrzymać dwóch podejrzanych. Jeden wybierał się do Algierii, drugi do Mali. Mężczyźni przebywają w areszcie, egzekwując swoje prawo do milczenia. Po cennym łupie nadal ani śladu.

Co zabrali? Osiem sztuk biżuterii z okresu pierwszego i drugiego cesarstwa. Są wśród nich tiara, naszyjnik i kolczyki z zestawu królowej Marii Amelii i królowej Hortensji, wszystkie zdobione cejlońskimi szafirami; szmaragdowy naszyjnik i para szmaragdowych kolczyków z zestawu cesarzowej Marii Ludwiki; diamentowa broszka w kształcie kokardy oraz perłowo-diamentowa tiara należące do cesarzowej Eugenii; a także jej diamentowa broszka relikwiarzowa.

Jest w tej opowieści wątek polski: po abdykacji Napoleona Maria Ludwika Austriaczka wróciła do ojczyzny, zabierając ze sobą swój szmaragdowy zestaw. Po jej śmierci przeszedł on na spadkobierców z rodu Habsburgów i tak po wielu latach trafił do matki Kazimierza Badeniego, czyli wuja prezesa Fundacji Lanckorońskich hrabiego Piotra Pinińskiego. Luwr nabył je dopiero na początku XXI w.

Jest w tej opowieści wątek polski: skradzione z Luwru szmaragdy Marii Ludwiki Austriaczki były przez lata własnością rodziny hrabiego Piotra Pinińskiego. Francuzi odkupili je dopiero na początku XXI w.

Stracone złudzenia

Jak podkreśla brytyjska ekspertka Joanna Hardy, środowisko jubilerskie jest w szoku – bo choć turyści na objazdówkach zwykle zaliczają tylko Mona Lisę, Wenus z Milo i galerię egipską, skradzione klejnoty w oczach ekspertów były co najmniej tak samo ważne. Z emocjonującej wypowiedzi Hardy wywnioskować można, że takiej maestrii i takich kamieni dziś już po prostu nie ma. Nawet antyrojaliści muszą przyznać, że to prawdziwe majstersztyki.

Słowo „bezcenne" pojawia się w co drugim zdaniu, choć już dwa dni po kradzieży prokurator Paryża Laure Beccuau podała do wiadomości publicznej, że szkody szacowane są na osiemdziesiąt osiem milionów euro. Kwota imponująca, choć znikoma w porównaniu ze „szkodą historyczną". Jak zatem ustala się wartość unikatów?

Zwykle cenę dzieł sztuki wyznacza rynek – w dużym uproszczeniu dzieło sztuki kosztuje tyle, ile ktoś jest skłonny za nie zapłacić. W przypadku artefaktów, które nigdy nie trafią na aukcję, podawane liczby to z reguły wartość ubezpieczeniowa, czyli kwota, którą właściciel otrzyma od ubezpieczyciela w razie straty. Tyle że dzieła z Luwru nie są ubezpieczone – przynajmniej prywatnie. Ubezpiecza je skarb państwa.

O dwóch zatrzymanych mężczyznach na razie wiadomo niewiele. Podobno obaj są po trzydziestce, jeden jest Francuzem, drugi ma podwójne obywatelstwo francuskie i algierskie. Ich DNA było w policyjnej kartotece, bo brali już udział w „skomplikowanych kradzieżach". Zdaniem ekspertów to zapewne najemnicy działający na zlecenie.

Czyje? Być może bogatego kolekcjonera, który zamknie łup w swoim sejfie. Albo zwykłego mafiosa, który przetopi złoto i srebro, potnie rozpoznawalne kamienie i sprzeda je pojedynczo. Co byłoby, jak zgodnie twierdzą eksperci, „niepowetowaną tragedią" – biżuteria, która przetrwała upadek cesarstwa i dwie wojny światowe, miałaby trafić do skupu kruszców...

Włamywacz dżentelmen

To scenariusz najbardziej prawdopodobny, choć brawura sprawców i precyzja, z jaką przeprowadzili operację, grając na nosie strażnikom i systemowi Ramzes, sprawia, że zbiorową wyobraźnię rozpalają opowieści o genialnych przestępcach.

Media przywołują innych słynnych złodziei dzieł sztuki – Vincenza Peruggię, który w 1911 r. wyniósł z Luwru „Mona Lisę", Człowieka-Pająka, który ograbił Muzeum Sztuki Nowoczesnej z bezcennych obrazów (dokument „Vjeran Tomic: Spiderman z Paryża" święci właśnie triumfy na Netfliksie), czy dwóch spryciarzy, którzy, korzystając z tego, że wszystkie oczy zwrócone były na ceremonię otwarcia zimowych igrzysk olimpijskich w Lillehammer, przystawili drabinę do fasady muzeum w Oslo i po cichu wynieśli „Krzyk" Muncha.

Sporo mówi się też o innych bezczelnych złodziejach biżuterii. Na przykład o zuchwałych rabusiach, którzy w latach 2021-2023 organizowali napady na luksusowe butiki przy placu Vendôme, czy „o gangu dziadków", który w 2016 r. okradł Kim Kardashian z wartej kilka milionów dolarów biżuterii (w maju tego roku stanęli przed sądem).

W medialnych opowieściach nie brak rzecz jasna także Arseniusza Lupin, słynnego dżentelmena-włamywacza, który też ukradł cenny naszyjnik noszony rzekomo przez samą Marię Antoninę. Sprytnie wyniósł go z posiadłości zadufanego arystokraty, księcia Dreux-Soubise. Po wielu latach napisał do księcia, informując go, że naszyjnik był jednak fałszywy. Opowiadanie Maurice'a Leblanca „Naszyjnik cesarzowej" to archetyp gatunku: elegancki włamywacz, który dyskretnie okrada rozpuszczonych arystokratów.

Różowa Pantera

Sprawca jest inteligentny (nie daje się złapać) i ma swój kodeks moralny (jego ofiarami są wyłącznie bogacze, zwykle antypatyczni). W dodatku często kradnie klejnoty i dzieła sztuki. Nie jest więc pospolitym, chciwym złodziejaszkiem łasym na (brudne) pieniądze. Nie, to koneser sztuki, który zna się na wartości klejnotów, a czytelnik praktycznie mu kibicuje. No bo skoro potrafi docenić wartość dzieła i zręcznie je sobie przywłaszczyć, to przecież zasługuje na nie bardziej niż gnuśny arystokrata, który po prostu je odziedziczył.

O fetyszyzowaniu postaci złodziei opowiadała niedawno profesor kryminalistyki Magdalena Grzyb. Jej zdaniem pewne



THIBAULT CAMUS / AP / EAST NEWS

Po kradzieży klejnotów z Luwru fotograf Thibault Camus uchwycił na zdjęciu elegancko ubranego mężczyznę przechodzącego obok policjantów blokujących wejście do muzeum. Obraz obiegł świat, stając się internetową sensacją. Użytkownicy mediów społecznościowych okrzyknęli nieznajomego detektywem, choć Camus twierdzi, że to po prostu przypadkowy przechodzień. A może francuska policja trzyma jego personalia w tajemnicy?

kategorie przestępców są bardzo „romantyzowane": złodziej, który kradnie artefakty, zwłaszcza wykazując się sprytem i inteligencją, wydaje nam się sympatyczniejszy niż ten, który okrada nas w tramwaju czy wynosi nam z domu telewizor.

Według ekspertki „sublimacja" dzieła sztuki spływa na przestępcę i przydaje mu szlachetności. Pewnie dlatego, myśląc o tego typu sprawcach, zamiast zwykłych zbirów oczyma duszy widzimy przystojnego sir Charlesa Lyttona z „Różowej Pantery" czy bystrego Cumę z „Vinci".

O tym, że tak właśnie postrzegani są złodzieje napoleońskich klejnotów koronnych, świadczą liczne memy i rysunki satyryczne, które po 19 października zalały internet: „Jeden facet nie odpisuje ci całą dobę. Inny w siedem minut okrada Luwr. Wybierz rozsądnie" – poucza użytkowniczki Tindera anonimowy internauta.

„Goście, którym udało się zaparkować w centrum Paryża, przepiłować okno i wyczyścić plac budowy w siedem minut... Gdybym był przedsiębiorcą, natychmiast zaproponowałbym im etat" – kpi „Le Canard enchaîné". Tymczasem na Instagramie króluje elegancki kot włamywacz w czarnej masce, który spokojnie ciągnie za sobą worek z biżuterią.

Błędy przeszłości

Od środy 22 października największe na świecie muzeum znów otworzyło podwoje dla zwiedzających. Pod oknem, przez które weszli rabusie, jest teraz tłoczniej niż przed Mona Lisą. Przewodnicy we wszystkich językach świata z podnieceniem opowiadają o „kradzieży stulecia". Internet kipi od teorii spiskowych (współpraca z wewnątrz? prowokacja?) i prześmiewczych rysunków.

A dyrektor Luwru Laurence des Cars stanęła na dywaniku senackiej komisji do spraw kulturalnych. Jak zwykle w takich sytuacjach równolegle z poszukiwaniem sprawców odbywa się bowiem szukanie winnego. Warkot złodziejskich motorów jeszcze dobrze nie ucichł, a Jordan Bardella, przewodniczący Zjednoczenia Narodowego, już tweetował, że to „upokorzenie" dla Francji.

„Rana na francuskiej duszy" – wtórowała mu Marine Le Pen. Nawet rząd musiał przyznać się do klęski: „Zawiedliśmy" – stwierdził minister sprawiedliwości Gérald Darmanin, „skoro przestępcy byli w stanie podjechać ciężarówką pod muzeum, w ciągu kilku minut wspiąć się do środka i wynieść bezcenną biżuterię, co fatalnie rzutuje na wizerunek Francji".

Oczywiście natychmiast zaczęły się rozmowy o pieniądzach. Luwr nie dostaje od państwa wystarczającej dotacji – od lat jest taka sama, sto milionów euro, co w obliczu inflacji sprawia, że praktycznie z roku na rok środków jest mniej. Są jeszcze prywatni darczyńcy i wpływy z biletów, ale 320 milionów euro nie wystarczy, żeby zabezpieczyć i odpowiednio wyremontować giganta o powierzchni dwudziestu czterech hektarów.

Już w styczniu Laurence des Cars wystosowała notę do minister kultury Rachidy Dati, w której domaga się pilnych działań ze względu na zły stan infrastruktury. Trybunał Obrachunkowy miał z początkiem listopada opublikować raport – z wstępnych doniesień, ujawnionych po rabunku, wynika, że „stwierdza się znaczne opóźnienia w unowocześnianiu instalacji technicznej".

„W tym skrzydle Luwru w jednej trzeciej sal nie ma kamer. Tymczasem w dziale z nabiałem każdego supermarketu Franprix są cztery" – tak anonimowy youtuber skomentował wywiad z ekspertem, który opisywał karygodny stan zabezpieczeń największego muzeum świata. Ogromna powierzchnia, brak sprzętu, niedobór personelu, niewystarczający budżet: to wszystko sprawia, że napad na Luwr był tak naprawdę kwestią czasu.

Widoki na przyszłość

Emmanuel Macron, który w styczniu ogłosił plan renowacji „Louvre – nouvelle renaissance", teraz obiecuje, że klejnoty zostaną odzyskane: „Kradzież w Luwrze stanowi naruszenie drogiego nam, bezcennego dziedzictwa. Odzyskamy dzieła, a sprawcy zostaną postawieni przed sądem".

Miejmy nadzieję, że prezydent się nie myli. Warto jednak przypomnieć, że pejzaż francuskiego malarza realisty Camille'a Corota „Le Chemin de Sèvres. Vue sur Paris", skradziony z Luwru w maju 1998 r., nadal nie został odzyskany.

© DOROTA MALINA

TOMASZ

Stawiszyński: *Stara żoliborska szkoła*



Działo się to w grudniu 1989 r., na warszawskiej Chomiczówce. Śnieg jeszcze wtedy zimą padał regularnie, a jak już spadł, to trwał w śnieżnej formie skupienia miesiącami. Było więc biało, tylko przy ulicach i na skwerkach panowała ponura szarzyzna, bo namiętnie posypywano ten śnieg solą i piaskiem, wskutek czego roztapiał się i tworzył okropną pluchę. Przed sklepem Społem przy ulicy Conrada kwitł świeżo upieczony kapitalizm, sprzedawano ozdoby, choinki, a do tego gumy Hubba Bubba, papierosy, pończochy, nagrania zespołu Polskie Orły i mnóstwo innych niezwykłości, które ówcześni drobni przedsiębiorcy sprowadzali nie wiadomo skąd. Atmosfera zdawała się ożywiona, a nawet w jakiś szczególny sposób euforyczna, nie tylko z powodu zbliżających się świąt, ale i tego, co się przez ostatnie miesiące w kraju działo. Okrągły Stół, wybory, radykalny przełom, nowy początek, wielkie nadzieje. Tamtego dnia i ja się w środku tego ferworu znalazłem, wybrałem się z mamą do sklepu po świąteczne zakupy, a ponieważ w środku kolejka była długa, postanowiłem poczekać na zewnątrz.

Stałem sobie gdzieś z boku i przyglądałem się wrzawie, aż nagle dostrzegłem, że tuż obok formuje się krąg podekscytowanych gapiów. Słychać było wrzaski, stłumione przekleństwa, nieartykułowane dźwięki. Bardzo mnie to naturalnie zaciekawiło, bo w tym wieku wciąż jeszcze podobne sprawy człowieka ciekawią. Przecisnąłem się więc przez całkiem gęsty już tłumek, a moim oczom ukazało się dwóch zdecydowanie nietrzeźwych panów, popychających się i wymyślających sobie w sposób do cna pozbawiony oryginalności. Od razu rzucała się w oczy różnica wieku. Jeden – choć w przypadku takich panów pomiary na oko mogą być nieprecyzyjne – wyglądał na sześćdziesiąt kilka lat, drugi na góra trzydzieści. Był też od starszego znacznie większy oraz (chyba) trzeźwiejszy, szybko się zorientowałem, że to właśnie on był prowodyrem całego zajścia, tłum zaś moralnie i emocjonalnie stał po stronie napadniętego.

Był to pierwszy raz, kiedy widziałem na własne oczy dorosłych ludzi, którzy naprawdę się biją. I nie wyglądało to wcale tak efektownie jak na filmach z Brucem Lee czy Sylvestrem Stallone. Wręcz przeciwnie – szarpanina, bluzgi, krew z rozbitych nosów, wytytłane w błocie ubrania, porozrywane koszule. Z pomieszania fascynacji i lęku, w jakim się pod wpływem tego widowiska pogrążyłem, wyrwał mnie dopiero osobliwy dźwięk. Jakby łupnięcie, ale głuche, przytłumione, a zarazem wwiercające się w uszy. Nie wiem, jak i kiedy starszy to zrobił, ale kiedy młodszy okładał go pięścią, a drugą ręką trzymał za kołnierz, ten w pewnym momencie wymierzył agresorowi straszliwy cios „z główki".

Młodszy padł natychmiast, ale szybko się zaczął w tym błocie i śniegu gramolić, przykląkł na kolano, coś tam zazłorzeczył pod nosem, tłum natomiast głośno domagał się krwi i zachęcał starszego, żeby zafundował wrogowi ostateczny nokaut. Ale starszy zszedł z pola walki. Tłum, szepcząc z szacunkiem, posłusznie się przed nim rozstępował, a on człapał powoli, dyszał, świszczał i gorączkowo szukał po kieszeniach papierosów. W pewnym momencie zatrzymał się, zapalił, spojrzał na jednego z gapiów, najwidoczniej swojego znajomego, a następnie wychrypiał: „Panie Bogusławie, ja jestem stara żoliborska szkoła, leżącego się nigdy nie bije, kropka, k**** mać".

Cóż, słowa te wracają do mnie jak bumerang, zwłaszcza kiedy oglądam jakąś walkę MMA. Wcale nie freakową, lecz jak najbardziej sportową, nierzadko na poziomie mistrzowskim. Otóż nagminnie się podczas takich walk zdarza, że jak już ktoś padnie po nokautującym ciosie, ten drugi wcale nie przestaje, lecz z furią młóci dalej nieprzytomne ciało – aż do chwili, kiedy nie odciągnie go odeń sędzia. Widziałem to wielokrotnie, na polskich i zagranicznych galach. Tak właśnie np. Roberto Soldić potraktował w 2021 r. całkowicie już bezbronnego Mameda Khalidova. Jestem oczywiście w stanie zrozumieć, że w ferworze można stracić orientację – adrenalina, nerwy, presja, wiadomo – niemniej mówię o przypadkach ewidentnych, kiedy zawodnik wie już, że wygrał, a mimo to z premedytacją zaczyna dobijać leżącego przeciwnika.

Nie pisałbym o tym jednak, gdybym nie sądził, że jest to ledwie symptom zjawiska szerszego i większego. Okoliczność, że nikt nie wstydzi się takich zachowań, ba, że się one potem stają wiralami, zdaje mi się niezwykle wymowna. Proces, którego takie ekscesy są tylko jednym z przejawów, wiąże się, mam wrażenie, z postępującą gargantuizacją sfery publicznej, z jakimś coraz bardziej wszechobecnym nadmiarem, brakiem dystansu, przerośnięciem, przesterowaniem. Znać to zarówno w popkulturze – pisałem o tym przy okazji remake'u filmu „Road House" czy ostatniej części „Mission Impossible" – ale i w życiu politycznym, trendach lifestyle'owych, mediach społecznościowych. Czy to jest tylko późnokapitalistyczne nienasycenie, poszukiwanie coraz mocniejszych wrażeń, zatrata granic – a to wszystko z braku poczucia bezpieczeństwa i deficytu sensu? Czy może kryje się w tym coś więcej, z czego do końca jeszcze nie zdajemy sobie sprawy? Niezależnie od tego, jak brzmi odpowiedź na te pytania, przyznam, że w świecie, w którym – w różnych obszarach i sferach – panują zasady starej żoliborskiej szkoły, czułbym się znacznie bardziej zadomowiony. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

KSIĄŻKA 2024 ROKU W SZWECJI.

POWIEŚĆ, KTÓRA ROZGRZAŁA ZIMNE SERCA CZYTELNIKÓW Z PÓŁNOCY.

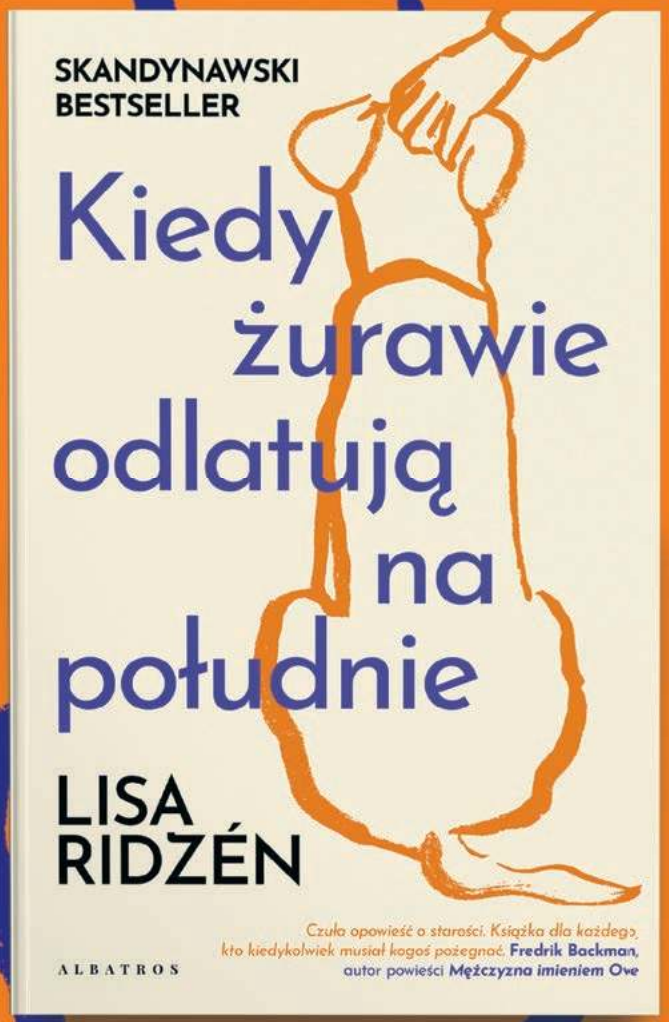

Patrzę na góry i jezioro. Żyję tu od dziewięćdziesięciu lat, ale nadal nie mogę się nacieszyć tym pięknem. Nie chcę stąd odchodzić. Nigdy i za nic. Żałuję, że ostatni raz widzę te piękne widoki.

Bo wkracza w dziewiątą wiosnę życia i właśnie rozpoczął swoją ostatnią batalię. Jeszcze nie wyobraża sobie, że jej nie wygra. Choć już czuje, że został w niej sam...

Na szczęście najwierniejszy z towarzyszy wciąż przy nim trwa. I dopóki jego dłoń ma siłę, by głaskać ciepłą psią sierść, a wilgotne psie oczy wpatrują się w niego z ufnością i wiarą, Bo wie, że jeszcze żyje. I że nigdy, przenigdy, nie pozwoli odebrać sobie Sixtena...

POWIEŚĆ O ODCHODZENIU I ŚMIERCI, KTÓRA NADE WSZYSTKO AFIRMUJE ŻYCIE. SUBTELNA, CIEPŁA, BEZPRETENSJONALNA.

Książka dla wszystkich, którzy kiedykolwiek musieli kogoś pożegnać. I każdego, kto w pewnym momencie swojego życia będzie musiał pogodzić się z tym, że nie jest nieśmiertelny.

WYDAWNICTWO ALBATROS

REKLAMA

REKLAMA

Narodowy Instytut Fryderyka Chopina

magia winyli

Narodowy Instytut Fryderyka Chopina
otwiera nowy rozdział
w swoim katalogu fonograficznym



Limited edition
2 LP — 180 G heavyweight vinyl pressing
hardcover, 16-page booklet enclosed
Further releases available soon

sklep.nifc.pl